

D Z I E Ł A

KAZIMIERZA

BRODZINSKIEGO.

D E I L A

A M E R I C A

H O B B I N S O N & C O .

887.037
[10]

DZIEŁA

KAZIMIERZA

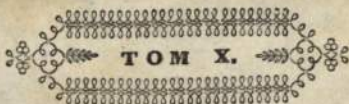
BRODZIŃSKIEGO

WYDANIE ZUPEŁNE

I

POMNOŻONE PISMAMI

DOTĄD DRUKIEM NIE OGŁOSZONEMI.



WILNO.



NAKLAD I DRUK TEOFILA GLÜCKSBERGA

KSIĘGARZA I TYPOGRAFA SZKÓŁ BIAŁORUSKIEGO NAUK. OKR.

—
1844.



1000172175

Pozwolono drukować pod warunkiem złożenia
po wydrukowaniu exemplarzy prawem przepisanych
w Komitecie Cenzury.

Wilno, 1844 roku, 26 Sierpnia.

Cenzor JAN WASZKIEWICZ.

R Z E C Z

O wymowie u dawnych Polaków



Towarzystwo uznało potrzebę zadać zapytanie, 1) w jakim rodzaju nauk celowali szczególnie Polacy . w tak zwanym złotym wieku Zygmunatów. W odpowiedzi na to, dosyć było wskazać najlepsze i najliczniejsze dzieła w tym lub owym rodzaju. Lecz otwartość każe tu wyznać, że złoty wiek Zygmunatów nie może iść w porównanie z wiekami złotymi dla nauk Augustów, Medyceuszów albo Ludwików. Nie wślawił on się w żadnym rodzaju nauk tą doskonałością, jaka powyższe wieki cechuje. Jednakże wiek ten słusznie uważać można za czas, w którym się naród najwięcej rozwinął i pod każdym względem umysłowo był czynnym, uwa-

1) Rozprawę tę czytał nasz Autor na posiedzeniu Towarzystwa przyjaciół nauk dnia 4. Grudnia 1827. roku.

zać go można raczej jak złote kopalnie, z których praca, sztuka i smak w dzisiejszym wieku wiele korzystać może. To przyjąwszy, pozostaje odpowiedzieć, nie już w jakiej nauce celowali, ale do której najwięcej przywiązani byli.

Trudno zaprzeczyć, że wymowa była najpierwszą nauką, której skłonności dawnych Polaków, rząd i obyczaje najwięcej odpowiadały. Udowodnienie tego, wymagałoby obszernego pisma, gdyż się powinno opierać, na historycznym rozbiórze ważniejszych sejmów, mówców świeckich i religijnych, tak w łacińskim jak w polskim języku. Tu pozostaje mi tylko w krótkiej treści z woli Towarzystwa zdać sprawę: co szczególnie sprzyjało w tym wieku wymowie, i co było przeszkodą do jej klasycznego rozwinięcia.

Czém w średnich wiekach była dla południowych narodów poezya, tém była dla Polaków wymowa. Jak we Francji powszechną były zabawą najsubtelniejsze zadania względem zalotności, tak tu treścią posiedzeń społecznych były sokratyczne rozmowy o sprawach rycerskich lub politycznych. Ztąd to przodkowie nasi, lubili sposób pisania w rozmowach, w czém mówcy starożytni celowali i czego piękne ślady zostawił wymowny Orzechowski, Górnicki, Lubomirski i inni. Zważając nudne obrzędy czasów Trubadurskich i Galanterji Francuzkich, których duszą była poezya, powiedzieć można, że w domowych obrządkach Polaków równe

miejsce zajmowała wymowa, bez której nie obydły się żadne domowe ani publiczne czynności. Szczególna była sprzeczność między południowym, a Sarmackim rycerzem, tamten łagodził swe obyczaje przez miękie pieśni miłosne; ten przez wymowę, którą się razem do obywatelstwa sposobił.

Wszystkie ludy Słowiańskie, więcej może, niż inne narody, odznaczają się szczególną do poezji skłonnością, która dotąd prostemu ludowi równie w pracach rolniczych jak i uroczystościach towarzyszy. Gdy w Polsce stan rycerski zupełnie się od reszty ludu, oddzielił, i politycznie czynnym bytć zaczął, pozbył się niejako łagodnych poezji uniesień i w miejsce onęj, przybrał wymowę.

Znajome są *np.* ślubne uroczystości wieśniaków polskich, na których każdemu szczególnemu obrządkowi inne pieśni towarzyszą, te same prawie obrządki zachował dawniej stan wyższy, z tą różnicą, że pieśni przy tychże obrządkach mowami zastąpił. Na jedném weselu kilkadziesiąt mow musiano powiedzieć *np.* prosząc o rękę, dziękując rodzicom, przy oddaniu pierścienia, wieńca, perel, upominków, przy cukrach, przy rostruchanie, włożeniu łańcucha na szyję i t. d. Wszystkie te godła i obrzędy miały swoje symboliczne znaczenie, tak że cała uroczystość weselna, zawierała allegorye nauczające pożycia w małżeństwie. Ojcowie zaślubionych i pan młody musieli wtedy rozwinąć wszystko, na co ich wymowa zdobyć się mo-

gła. W zbiorach mów takich pozostały dotąd weselne mowy, Radziwiłłów, Tarnowskich, Chodkiewiczów, Sobieskich i wielu znakomych mężów. I pod względem obywatelstwa, nie były te mowy czczym tylko obrządkiem. W nich młodzieniec rodu znamienitego miał sobie wyliczone czyny przodków swoich i przyszłej małżonki i brał na siebie święty obowiązek sławę obudwu domów popierać. Kto zna karność w jakiej ci republikanie synów swoich wychowywali, ten pojmie, jakie wrażenie czynił podobny obrządek na młodzieńcu, wstępującym tak uroczyście w zawód obywatelski. Te hojne pochwały dla znakomych rodzin, chętnie składane były i przez mniejszą szlachtę, gdyż w istocie dzieła i zasługi niektórych rodzin, czyniły je dla narodu świętymi pamiątkami, i od bierały patryarchalne uszanowanie. Gdy we Francji najęty Trubadur opiewał przygody rycerzów, których wpływ nie rozciągał się za granice ich zamków, tu towarzysze obrad i wypraw sławili rodziny znane z przewag w ojczyźnie od morza do morza rozciągnionej.

Królowe, przy których córki wojną zajętych rycerzy mieszkaly, zwykle po wyprawach rycerskich oddawały je w ślubne związki młodzieńcom przez wodzów zaleconym, i tu zwycięzca Tatarów obowiązany był do dworskiej wymowy, i słuchał towarzyszków oręża w uroczystych mowach mężstwo jego sławiących.

Liczna młodzież przy dworach Biskupów i panów obowiązana była popisać się z wymową

w dni uroczyste dla pana, co ośmielało zdolności tak dalece, że taka młodzież często w sprawach sądowych, zastępowała swych panów przed sądem królewskim.

Któż zliczy owe nieprzebrane mowy akademickie, gdzie każdy ze stopniem wychodzący uczeń, i każdy jego Professor z téj okoliczności musiał mowę powiedzieć. Licząc do tego panegiryki dla znakomitych osób, któremi się uczący głównie zajmowali, sądzić potrzeba, iż Polacy połowę wieku na słuchaniu mów tracić musieli.

Tak w szkołach i domowych obrządkach doskonalili się młodzieniec w téj sztuce, nim wiek dozwolił mu zająć miejsce na sejmikach, które były wprawą do wymowy na wielkim sejmie. Kto tu wymową ujął spółbraci, na tego wkładali pieczę o dobro swój ziemi w kole poselskiem.

Dziwny widok wystawia to tak liczne sejmujących koło, dziwna cierpliwość i zapał, z jaką posiedzenia w szczerem polu, w obozach i na cmentarzach w czasie deszczu i skwaru słońca często przez cały dzień przerywane nie były.

Podział obrad na izbę senatorską i poselską niemniej sprzyjał wymowie. Owi Hetmani i Biskupi, znani z przewag politycznych, w których świetle, skarbach i dostojności los ojczyzny polegał, wspaniałą wystawiali sporność obok prostej szlachty z obozu, albo od

pługa na obrady przybyłej. Tam powaga i przebiegła ostrożność, tu szczerść i zapał niewczesny, wyświecały rzecz z stron różnych, chociaż rzadko szczęśliwie do skutku doszła; owa, że ją tak nazwę, galanterya wymowy w domowém pożyciu, przeniosła się i do sejmów.

Tak trzeba było bydz do krasomówstwa namiętnym, jak byli Polacy, ażeby czas drogi obradom poświęcony, formom grzeczności poświęcać. Ileż czasu nie zabierały mowy przy odebraniu i złożeniu laski marszałkowskiej, pieczęci i mnóstwie urzędniczych obowiązków! Były one z początku prostem wynurzeniem serca ohywatelskiego, dopóki ich szkolnictwo w nudną nie zmieniło formalność.

Ciekawe są dla badacza dziejów różne rodzaje sejmów, a szczególnej, elekcyjnych, na których najwięcej były poburzone umysły, najwięcej sprzecznych widoków tam gdzie koniecznie jednomyślności potrzeba było; na których dumni ci republikanie, publiczne i prywatne życie Xiążąt europejskich roztrząsali, ich zdatność i ofiary wazyli. Tu wymową do jednomyślności nakłonic, było to prawdziwie władać morzem rozhukanem.

I wodzowie polscy więcej musieli zakładać na sztuce wymowy, niż w innych narodach. Wódz polski działał z popolitým ruszeniem, z możnymi panami, dumną szlachtą, która o swoim koszcie, z ludem przez siebie zebrany walczyła, a często, przez samę emulacyą była nie zgodną. Wymowa jedynie mogła tako-

we wojsko trzymać na wodzy. Takięj wymowy piękne zostawili przykłady hetmani polscy. Chodkiewicz na śniegach obozując, wymową zagrzewał do wytrwania wojsko niekarne, nieubrane i niepłatne.

Kościół Katolicki był obfitem źródłem wymowy, można powiedzieć, narodowo religijnęj. Kaznodzieje nie odstępowali w czasie sejmu Monarchy i posłów. Mówcy w sprawach publicznych szli do świątyni słuchać religijnęj wymowy, aby natchnęła ich duchem, bez którego według Psalmisty płonne są wszystkie narady. W rządzie gdzie prawa sprężystości nie miały, gdzie każdy namiętny albo uporny, mógł być tyranem wszystkich, tam Religija tylko mogła się odzywać do sumienia i być szczęśliwym hamulcem, być tém dla wszystkich, czém jest jedynie dla władców najwyższych.

Po licznych sejmach w różnych województwach naznaczanych, byli w polu z rycerstwem kapłani. Kazania sejmowe Skargi, Birkowskiego, należą równie do naradnej, jak do religijnęj wymowy. Tłumy często zawziętęj na siebie szlachty, słuchały o wschodzie słońca naprzód mówcy religijnego, nieraz jak mówi Skarga, gniewy swoje składały: nigdzie może jak tu nie było dla kaznodziejów piękniejsze pole. Przerażeniem przejmuje głos Skargi, który na dwa wieki przepowiedział zgon narodowi, gdy wolność nad ojczyznę przekładać zaczął, jak rospustnik który bezrządne użycie nad życie prze-

nosi. Za zwycięzkami obozami hetmanów ciągnęli kaznodzieje królewscy, zachęcać do męstwa chrześcijańskiego, połączonego z ludzkością dla bezbronnych i zwyciężonych. Po każdej wyprawie rycerska szlachta ciągnęła do stolicy, składać przed ołtarzem zwyciężkie sztandary. Ci sami mówcy religijni, świadkowie czynów na polu bitwy, ogłaszali chwałę poległych, dziękowali wodzom, nie przepuszczali nawet uchybień, karcili młodzież, jeżeli raczej zapałowi niż porządkowi winna była zwycięztwo, uczyli przypisywać zwycięztwa BOGU i świętości sprawy. Wojny najwięcej przeciw poganom prowadzone, tém więcej takiej wymowie sprzyjały. Nie tylko w stolicy, ale i w świątyniach wszystkich powiatów, witał kapłan zwycięzców w imieniu pozostałych żon i starców, tam każda rodzina słyszała, o losie i czynach swych krewnych. To wszystko, żywiło miłość ojczyzny, to wszystko zastępowało zaniedbaną u przodków naszych rycerską poezją.

Według tego sądzić można, iż po Grekach i Rzymianach nie było w Europie narodu, któryby wymowie większe otwierał pole, nad naród polski. — Że jednak Polacy nie tyle się w tej sztuce wstawili, ileby żądać można, należy tego wykazać przyczyny. Temi są: związki z Włochami, przewaga języka łacińskiego, kształt rządu, obyczaje, ówczesna reformacja.

Włochy więc wplywały w wieku XVI. na Polskę, niż na inne narody. Dla młodych Polaków nieodzowną było potrzebą Włochy od-

wiedzić. Znakomitsza klasa tam tylko pobierała nauki. Atoli ówczesne szkoły włoskie nie były Polakom właściwe. Rozumowe szermierstwa najwięcej w nich czasu zajmowały: w sławnych dysputach akademików i uczniów nie szło o prawdę lub postęp światła, ale o sztukę przegadania; młodzież polska wszelkie wyobrażenia w łacińskim powziawszy języku, długo zaniedbała swój własny. Przyniosła do kraju żądze dysput, szkolną napauszystość i dumę erudyków, co właśnie dla narodu sejmującego więcej szkody przyniosło, niżeli dla Włochów.

Wśród powszechnego zapału Włochów do starożytności, Polacy, przynajmniej pod względem wymowy, mało dla siebie zyskali. Celem téj nauki nie było przejście się prostotą i praktycznym starożytnych rozsądkiem, bo Włochy za nadto w ten czas były zepsute i w ogólności charakter obudwu narodów był sobie za nadto przeciwny, ażeby z tego źródła jednako korzystać mogły.

Polacy, jako naród nieprzekwitły, lecz dopiero rozwijający się, nie chcieli być erudykami w starożytności, ale usiłowali rząd prawa i zdania Greków, do swego kraju stosować. Gdy Włoch objaśniał Arystotelesa jako filolog, Petrycy stosował jego dzieła polityczne, do swego narodu. Mieszkańcy Włoch przejści byli jednym zapałem do erudycji i sztuk pięknych, ci gorzeli za chwałą obywatelstwa i rycerstwa, u tamtych były nauki stanem i celem, u tych środkiem do służenia ojczyźnie, lub pozyska-

nia publicznych urzędów. Tamci ćwiczyli się w wymowie szkolnej brzmiącej, bo jej do szkół tylko potrzebowali, dla tych pożądaną była prosta i męska wymowa, lecz tylko ze szkolną do obrad przychodzili. Szczęściem, że wielu oddanych zaraz obywatelskim czynnościom, mieli sposobność rozwinać naturalny rozsądek, i przytłumić w sobie włoskie szkolnictwo.

Slepa cześć dla starożytnych, inny daleko miała wpływ na Polaków niżeli na Włochów. Jak Włosi chcieli powtórzyć talenta i wymowę Rzymian bez ich rządu i obyczajów, tak Polacy usiłowali zbliżyć się nie już do ich sławy naukowej, lecz do zwyczajów, praw i rządu. Tego usiłowania i smutnych onego skutków, pełno jest śladu w ich dziejach. Właśnie gdy szczątki oświeconych Greków do Włoch się schroniły, Polacy zyskali barbarzyńskie sąsiedztwo w ich miejsce, co kulturę narodu tak znacznie wstrzymać musiało. Włochy już od 13 wieku liczyły znakomitych poetów w ojczystym języku, którego przeto nowi łacinnicy zastracić nie mogli, język Polski dopiero rozwijać się zaczął, i ucierpiał wiele na przewadze łacińskiego. Dziwna rzecz, że Polacy we wszystkim Rzymian uwielbiając, nie naśladowali ich w przywiązaniu do własnego języka. Cycero i Horacy wyszydzą greckie makaronizmy, Polacy wzięli to za pierwszą okrasę wymowy. Większą daleko część prac swoich naukowych, zostawili Polacy w łacińskim niż w Polskim języku. Przyczyną wyłącznego prawie oddania się temu ję-

zykowi, była powszechna moda w Europie, stosunki z Rzymem i obcemi dworami, przez co gościnni Polacy w obec Legatów i posłów zagranicznych w łacińskim obradowali języku. Wreszcie żądza sławy Europejskiej kazała pisać w łacińskim powszechnym języku, przez co poeci wieńce od Cesarzów i Papieżów, a statystyci związki dyplomatyczne zyskiwali. Mniej się Polacy wsławili w tym języku od Batawów i Włochów, bo wszyscy oddawali się wyłącznie przedmiotom własnego narodu. Ich literatura nie rozkwitnęła w gabinetach uczonych, ani w dworskich salonach, nie byli nigdy pisarzami z professji; celem ich było obywatelstwo, autorstwo z niego wypływało, lub do niego dążyło. Każdy o tem pisał, co w boju widział, co na sejmach słyszał lub radził, przeto ich pisma łacińskie mniej powabne, w ówczas dla filologów i humanistów, stały się dla Polaków narodowemi, powszechnemi i tłumili gorliwość wielu o język ojczysty. Otóż dwie główne przeszkody do rozwinięcia wymowy.

Lecz nawet w Epoce, gdy pod Zygmun: Aug. język polski szczerzej hodować zaczęto, miała wymowa inne przeszkody, w formie rządu i obyczajach — Mniej one daleko sprzyjały wymowie, niżeli u Greków. U Greków mówca był osobnym urzędnikiem, był to stan, któremu się zdatny obywatel wyłącznie poświęcał. U Polaków każdy miał prawo i był obowiązany mówić. Tam mówca miał jako mówca szacunek, u Polaków, pomyślność mówcy, zależała

najwięcej od osobistej przewagi. Lud grecki milczący na wszystko przyzwał, gdy jego miłość własną głaskano, cieszył się omamieniem, że rozkazuje to, co w niego wmówiono: tu każdy według własnych widoków i rozkazywał i rządził. W małej Rzpltej Ateńskiej której czoło w jednym mieście skupione było, mieli wszyscy sposobność, znać dobrze przedmioty narad i wprawić się w ową wymowę attycyzmem zaleconą. To samo Rzymianie żyli w stolicy świata skupieni, Polacy z obozu albo od pług z rozległych zagród na obrady przybywali, i często w prostocie swojej, to tylko na sejmie wiedzieli, co im w domu pozostali bracia względem swęj ziemi powierzyli. U Greków wymowa była siłą przebiegłych, przez którą ten lud płochy rządzili, u nas tylko stronnictw między możnymi, albo z wrzawą uporną broniła swych przywilejów. Wnet elekcyje otwały pole obcym zabiegom, a rozdawnictwa starostw i urzędów, niszczyły coraz więcej czystą miłość kraju. Wytargowane berła skępowały dwór, związały możnym ręce dla dobra narodu, zostawując im sposobność dogodzenia prywatnemu:— Szlachta zaś uwikłana w własnych swobodach, stała się tylko narzędziem swojej i wszystkich zguby.

W takich czasach, już nie wymowa mieć świetnego nie mogła. Im więcej sejmów i rządzących, tém bardziej weszło w modę wielomowstwo. „Gdy każdy, jak mówi Fredro może być językiem szczęśliwy; poszła dawna prawność w niepamięć. Patrzajcie, (mówi dalej),

dla czego ten na sejmach tyle żarliwości dobywa, dla tego tylko, aby mu cnotę drożej płacono.”

Mimo tych i innych przeszkód, które tu dla braku czasu pomijam, mogę powiedzieć, że dawni Polacy w wymowie, najwięcej rozwinięli talentów, że w tym oddziale literatury najjaśniej odbija się ich charakter i obyczaje; godne tém bardziej uwagi, że podobnych żadne dzieje nie miały i mieć nie będą.



Rozprawa.

O łagodzeniu języka polskiego.



Łagodzenie języka należy raczej do stylu i smaku, a niżeli do grammatyki lub ortografii; nawet miękkość większej części języków zwykle kosztém grammatyki osiąganą bywa. Klasy wyższe w obeowaniu, poeci i śpiewacy, tak język dla miękkości zmieniają, że późniejsi grammatycy do tychże zmiękczeń, częstokroć najdowolniejszych, przepisy swoje stosować muszą. Chcieć przez teorye tę często szkodliwą dla języka skłonność uprawniać, a nawet ją uprzedzać, byłobyto jedno, co ogłaszać zasady miękkości obyczajów, które same przez się, są nieszczęsnym cywilizacji owo-

cem. Miętkość języka nabywaną bywa zwykle kosztem mocy i precyzji onego, tak jak ułagodzenie obyczajów kosztem dzielności narodu. Dla tego, co do téj części ortografii, postępować trzeba z największą ostrożnością, zwłaszcza, gdy wymagania smaku w tym względzie są dowolne, wyłączające się od prawideł grammatyki, i gdy raz obudzona chęć nowatorów niebacznie i fałszywym smakiem prowadzonych, tu najłatwiej może język kaleczyć i osłabiać. Ta obawa tém jest słuszniejszą, gdy język z natury swojej jest giętki, a takimi są języki słowiańskie, z których np. serbski, chociaż piśmiennie mało ukształcony, stał się przez sąsiedztwo dyalektem może najmiększym, nie więcej przeto dobitnym i miłym.

Stosownie do klimatu, zatém narzędzi mowy, rozwinięcia sił fizycznych i dzielności umysłu, języki są więcej miękkie lub twarde, więcej w nich panują samogłoski niż spółgłoski; lecz język twardy z natury, pewniej z czasem ogładzić się może, a niżeli miękki nabrać męskiej energii. W klimacie surowszym, surowszy umysł, silniejsze ciało, azatém głos i uczucia, tłumaczą się silnie i twardo: ztąd zbieg spółgłosek, tony chrapliwe lub syczące i skłonność do samogłosek głębokich. Z czasem gdy przez stosunki towarzyskie rozważa bierzże górę nad imaginacją i namiętnościami, gdy człowiek czuć zaczyna nową potrzebę podobania się przez ułagodzenie swojej postaci, uczuć i głosu; język nabiera w wyrażaniu się

więcej jasności, w brzmieniu więcej oglądzenia. Szczęśliwy język, który z natury swojej zdolny jest zachować potrzebny w tej mierze środek; w którym natura i sztuka podają sobie ręce, aby wyszedłszy z jednej ostateczności, w drugą nie popadł.

Zdaje mi się, że język polski w dzisiejszym stanie jest na tym szczęśliwym stopniu, że jest ograny instrumentem, który miękkie i ostre brzmienia, niskie i wysokie tony, pod ręką umiejętną, harmonijnie i według natury uczuć wydawać może. Chcieć go pozbawić mocnych i brzmiących tonów, byłoby to zamienić go na inny, pięściwy instrument; byłoby to chcieć fletu za skrzypce.

Mowa ludzka w ogólności, jest takim instrumentem zawierającym twarde i miękkie brzmienia, niskie i wysokie tony, który, nieograny jeszcze, może być brzęczącym i chrapliwym, a który różne narody po swojemu ogrywają, to jest, według wprawy, siły, uczuć i smaku, tworzą język mniej lub więcej śpiewny, energiczny, łagodny. Niektóre brzmienia i tony, bywają w wykonaniu zarzucone, jakby ich w instrumencie zupełnie nie było: inne stają się więcej wydatnymi przez kunsztowne przejścia, stapianie brzmień, szczęśliwy ich związek, następstwo, i t. d.

Nie wiem, czy uprzedzenie za mową macierzyńską, czyli to, że ją najlepiej znam i czuję, twierdzić mi każe, że język polski zachował najwięcej odcieniów między twardem i mięk-

kiem brzmieniem; że ma twardość i miękkość nieznaną innym językom: że więc jest instrumentem, który tylko ogrania i ręki mistrzowskiej potrzebuje, aby zachwycał brzmieniem mocnych i łagodnych, swych tonów.

Ponieważ wiele na tém zależy ażeby oznaczyć granice o ile język polski jeszcze zmiękczony być może, nawet w samej tylko ortografii; niech mi wolno będzie zwrócić pokrótce uwagę na naturę mowy ludzkiej, którą przykłady języka polskiego objaśnia, a od którejto natury, bez szkody dla języka i harmonii onego, oddalać się nie można.

Powiedzieli niektórzy grammatycy, i to zdanie jest powszechnie, że samogłoski są odgłosem uczuć, spółgłoski zaś naśladowaniem natury zewnątrz słyszanej. Ja odważyłbym się powiedzieć, że jedne i drugie są w ludzkiej naturze, jedne i drugie w przedmiotach natury głos wydających. Człowiek i natura nie mogą być rzeczą oddzielną; natura, jak on, wydaje dla jego ucha tony i brzmienia; on ją w koło siebie uważa jako czującą; w stanie natury jednako z nią mówi, a przynajmniej swojego jęć czucia udziela. W przedmiotach natury, słyszymy tony wysokie i niskie; w odgłosie uczuć człowieka słyszymy równie spółgłoski, które nie są żadnem naśladowaniem, lecz prostem objawieniem natury człowieka, np. w brzmieniach, z których pochodzą wyrazy *harczyć*, *chrapać*, *świstać*, *stękać*, *drzczyć*, *trwoga*, *chuchać*, *dmuchać*, *wiać*, *dygotać* i wiele

podobnych. Lecz do tych brzmień dopiero silniejsza natura ludzka dochodzi, a gdy z tą razem mnożą się postrzeżenia i wyobrażenia, przeto do tonów i brzmień, do jakich już z natury nawykł, a których analogią znajduje w zewnątrz słyszanej naturze, łączy brzmienia naśladownicze, na oznaczenie nie tylko wrażeń ale i pojęć. Takich brzmień naturalnie większa jest liczba, i dla tego może nazwano spółgłoski naśladowaniem rzeczy słyszanych. Tak powoli powstała mowa, którą zmysłową, a jeżeli się wreszcie podoba, naśladowczą zowiemy.

Dziecię objawia swój byt przez samogłoski czyli wykrzykniki, i z tych nawet nie wszystkie wyraża. Zdolne później wydawać brzmienia z własnej wiedzy, które przez słuch pojęte, z siebie i z zewnętrznych przedmiotów naśladuje; tworzy sobie pierwiastkowe wyrazy już ze spółgłoskami łagodnymi. To samo postrzegamy u ludów, które nie dzikimi lub barbarzyńskimi, lecz dziecinnymi zowiemy; to samo u ludów łagodnych klimatów, jakiegobądź są cywilizacyi. Jak każde dziecko tworzy sobie, brzmienia swoje właściwe na oznaczenie tego, czego jeszcze nazwać nie umie, tak ludy podług właściwej sobie organizacyi, uczuć i natury ich otaczającej, tworzą sobie brzmienia szczególne, które są naśladowaniem natury, a jednakże tyle różnią się w brzmieniach, że jedne tak, drugie inaczej naturę słyszeć się zdają. Tak np. nie mamy bezstronnych sędziów, którzyby powiedzieć mogli, czy Niemcy czy Po-

lacy wierniej naśladowają naturę w wyrazach

Donner, Schall, rauschen, pfeifen,
grzmot, dźwięk, szumić, świstać, i t. d.

Pod tym względem wszystkie ludy są dziećmi natury mającemi jednakże swoją indywidualność, bo natura wszędzie mieć chciała jedność i rozmaitość.

W samogłoskach, mianowicie pierwotnych *a, e, i, o, u*, jako malujących odgłos uczuć, nie wyobrażeń, języki więcéj są sobie podobne, gdyż uczucia nasze są jedne, i natura chciała, aby ludzie, jako czujące istoty, wszędzie się rozumieli, tak *jęk, śmiech, wołanie* i t. p. wszędzie się jednak wyrażają. W ogólności, wszelkie samogłoski wyrażają głównie uczucie, spółgłoski wyobrażenia zmysłami pojęte. Bez spółgłosek nie masz mowy, lecz tylko odgłos, tak jak bez zmysłów nie masz pojęcia. Jak ciało z duszą, tak spółgłoski i samogłoski są nierozdzielne, i tak te, wzajem działają na siebie.

Co do spółgłosek, te mogły być tylko samém naśladowaniem natury w języku bardzo jeszcze ubogim, u ludu surowego, gdy jeszcze nie czuł potrzeby, albo nie umiał oznaczać umysłowych pojęć; lecz im więcéj siebie i język umysłowo kształcił, tém bardziej zatracał brzmienia, które naśladowczemi są zwane. Takowe brzmienia zachował był jeszcze język grecki i rzymski, nawet w czasie najwyższego udoskonalenia, jako u ludu więcéj zmysło-

wego; lecz te znikły prawie w językach dzisiejszych, równie jak śpiewność starożytnych języków. Są dotąd pisarze, tak obcy jak polscy, usiłujący wyjaśnić początek i naturę każdej spółgłoski, które to usiłowanie tak jest daremne, jak poetów dzisiejszych w jakimkolwiek języku chcących na wzór Homera lub Wirgilego, odgłosy natury dla ucha malować. Jednakże zabytki tego naśladowania, są i dziś niezaprzeczone. Tak np. brzmienie *t*, które wydajemy wypuszczoném powietrzem z zetknięcia się języka z podniebieniem, lub które słyszymy tupnąwszy nogą o ziemię, wydało mnóstwo wyrazów toż brzmienie naśladowanych: *tupać, stapać stopa, stać, stanowisko, ostatni*; dalej *postać, dostojny, rozstanie się, stolik, stolica, stopień*; dalej *stan, ustawa, stanowić, zastanowienie się* i wiele podobnych, któreto brzmienia mniej więcej, wszystkie prawie języki w takowych wyrazach zachowały.

Języki wykształcone przestają na tém, gdy do wyrażenia, dla ucha, uczuć albo obrazów mocnych i łagodnych, mają w ogólności dostatek brzmień twardych i miękkich. Język polski ma ich podostatkiem, gdy wszystkie prawie spółgłoski może stwardzać, lub zmiękczać. Ma brzmienia najostrzejsze i najmiększe. Języki z łacińskiego pochodzące, nigdy mu nie wyrównają w energii, nie wiele go przechodząc w miękkości; przeciwnie germańskie, z któremi twarde brzmienia podziela, nie mogą nigdy mierzyć się z jego miękkością. Jest on

jak ten, który nim mówi. twardy, ostry, chrząszczący wśród wrzawy Marsa, ale miękki i łagodny na roli, i przy śpiewach godowych. Słychać w nim i grzmiącą trąbę marsową i slet pieściwy. Wydaje on brzmienia obudwu tych instrumentów z takim oznaczeniem, jak tego żaden żyjący język nie zdoła.

*Gdy się na polu Marsa oba wojska znidą,
Wnet się puklerz z puklerzem, dzida mięsza z dzidą,
Mąż na mężu uderza, tarcza prze o tarczą,
Zgiętk się szerzy pociski po powietrzu warczą.*

DMOCHOWSKI.

Jakże obok tego jest miękkim, gdy łagodną maluje naturę, np. w Sielance Szymonowicza:

*Tu lasy, a po lesiech słowicy śpiewają;
Tu tąki, a po tąkach piękne stada grają;
Tu byśmy z sobą lube, oranki pędzili
I do późnej starości lata przetrawili;
Tu jamy w liść odziane, tu gaje i cienie,
A polem uciekają wędrowne strumienie.*

Zgoła, jak natura wśród ryku morza i szumu wichrów przeraża ucho, i razem wśród kołysania gałązek miłą je słodyczą napawa; tak język polski wiernie tę okropną i miłą, wojenną i spokojną naturę maluje. O nim można powiedzieć, co o téjże naturze Dmochowski z tak właściwym dobozem zgłosek powiedział.

*W nim się zielenią lasy, w nim się taki śmieją,
Grzmia pioruny, wrą morza, dna wiatry, dżdże leją.*

Grzmot, gwar, szum, łoskot, tentent, świat, ryk, skrzypiec, szczęk, wrzask i t. d, tak wyrażają dla ucha groźną i przerażającą naturę; jak spokojną i miłą, wiernie oddają wyrazy *liście, gaik, cienie, zieloność, zdroj, cichość, polot* i t. p.

Według tych zewnętrznych wrażeń fizycznego świata, maluje Słowianin dla ucha uczucia zewnętrzne i świat umysłowy. *Trwoga, zbrodnia, zgroza, srogość, rozpacz, śmierć, morderstwo* i t. p. równie mają pewną odrazę dla uczucia naszego; przeciwnie, jak przyjemne są w samém wymawianiu wyrazy *nadzieja, pociecha, lubość, spokojność, cichość* i t. p.

Dobrzy pisarze roztropnie używają téj własności języka, inni uczynić go mogą barbarzyńskim, albo niewieścim. Większa jest obawa o drugie niż o pierwsze (*).

Jak ostre klima łagodzi się przez kulturę, jako z nią razem umysł surowy nabiera de-

(*) Autor niniejszej rozprawy w tém miejscu kładnie w przypisku za przykład wyjątek z tragedji Jurkowskiego pod tytułem: *Polski Scilurus*; Lecz ponieważ całą tę rozmowę między sługami po śmierci pana pijącemi; położyliśmy w Tomie VIII pod artykulem: *o miękości i twardości języka polskiego* (Obacz str. 56. T. VIII). zatem dla uniknienia powtórzenia, opuszczamy tu wspomniany przykład. P. W.

likatniejszych uczuć, tak równie język, chociaż twardy z natury, w miarę rozwijania się kultury dąży zawsze do łagodności. W tém jednak dążeniu trzeba go nakoniec miarkować i starać się aby nie na samėj miękkości piękność wysłowienia zasadzał.

Polski język, dążąc do podobnego udoskonalenia, ma do tego środki:

1. Zmiękczenie, lub stwardzanie spółgłosek.
2. Dodawanie lub wypuszczanie tychże spółgłosek, lub samogłosek:
3. Zamiany wszelkich głosek podług potrzeby na inne.
4. Wyrzucanie lub dodawanie do wyrazu całych sylab na początku, lub na końcu onego.
5. Inwersye wolniejsze w języku polskim niż w innych żyjących europejskich; i te dla harmonii mowy są najważniejsze.

Z tych środków niektóre już się zupełnie ustaliły; niektóre zostawione być muszą uchu każdego, jako prawidłami, ani jednostajnym zwyczajem nieuświęcone. Ostatnie, mało do grammatyki, a tém mniej do ortografii należą.

Prócz twardych zgłosek, które są wspólne innym językom, stwardzamy jeszcze spółgłoski

c, l, s, z. Jednakże prócz słabych, czyli miękkich, daleko więcej liczymy zmiękczonech, jakimi i włoski język pochlubić się nie może; to samo *c, s, z*, zmienione na przyciskowe *CZarny, oSZczerca, Żniwo* zmiększamy na *Ciemny, Słano, Zlele*. Prócz tego wszystkie inne spółgłoski, podlegają zmięczeniu tak dalece, że częściej miętko, niż twarde są używane: *BieLić, DzieLić, Kiedy, Miasto, kaMieN, Pióro, Wiara*.

Spoczywanie i dzielenie sylab odbywa się powszechnie na samogłosce; największa także liczba wyrazów i zakończeń cechowych przypada na samogłoskę albo na spółgłoskę zmiękczoneą. Dodawszy do tego środki wspomniane wyżej, to jest, wyrzucanie lub zamianę twardych; przybiéranie miękkich głosek; nakoniec, przy ustaleniu brzmień pojedynczych, obszerna wolność używania iuwersyj; przyznać należy, iż język polski zdolny jest do ułagodzenia takiego, jakie oznacza najmiejsze języki. Jednakże południowe narody, które męźkiej mocy języka polskiego pojąć nie mogą, i w uszach naszych są dziećmi, gdy go pomawiać usiłują, nie są równie zdolne czuć delikatnych jego piękności; przestając na postrzeżeniu, że wszystkie północne języki skłonne są do spółgłosek, wszystkie zarówno twardemi uznają.

Rozważając atoli bliżej budowę języka polskiego, przyznać należy iż pod względem

skupiania spółgłosek i stosownego przedzielenia ich samogłoskami, łagodniejszym jest od języka niemieckiego, mimo, że tenże od wieków przez *minnesängerów* i teraz przez grammatyków i poetów tyle jest wykształcony. Prawda, iż trudno jest o własnym języku bezstronnie sądzić; jednakże następujące postrzeżenia może w części moje zdanie usprawiedliwiać. Polacy mają więcej brzmień syczących, Niemcy istotnie twardych, np. *zima, wiosna, lato, jesień; Winter, Frühjar, Somer, Herbst* (*). Niemiec mówiąc po polsku stwardza zawsze miękkie *b, d, w, p, t, f*; nie jest w stanie wymówić głosek zmiękczonych *ń, ś, ć*. Polacy łagodzą najwięcej brzmienia przez dodawanie zakończeń grammatycznych; Niemcy je przeciwnie stwardzają: *ich sterbe, du stirbst, er stirbt; umieram, umierasz, umiera;— ich stehe, du stehest, er steht; stoję, stoisz, stoi;— grzesznik, grzesznika; der Sünder, des Sünders, — ich merke, du merkst;— miarkuję, miarkujesz*. Wyrzucanie samogłosek służy u nas powszechnie mo-



(*) Wiem, że kilka wyrazów, rzeczy nie udowodnią, że Niemiec mógłby równie miękko niektóre polskie wyrazy tłumaczyć; lecz znający obadwa języki, musi być o tej prawdzie przekonany. Od czasów najdawniejszych język niemiecki wydawał się Polakom, równie jak poludniowym ludom, wardym i niemiłym. Mówią za ten przyśłowia, np. że Adam po upadku w Raju, po niemiecku był łajany.

cnemu i gładkiemu wystowieniu, gdy u Niemców, ustępuje tylko dla umniejszenia sylab, co styl najszcześciej stwardza, np. *dacht ich doch, schneid'st die Zeichen*. Polacy skupiając spółgłoski, miękczą je razem albo stwardzają, przez co w jedno brzmienie spływają, gdy mnożą postacie dla oka, ujmują brzmień dla ucha. Nie znajdzie w polskim języku brzmień równie twardych jak np. *vorwärts, graenzt, Kopfschmerz, ernst, jetzt strebt der Ritter, eilends sprang er*, i t. d. Są to brzmienia, z których każde oddzielnie wymówione być musi, gdy w polskim najtwardsze, np. *chrząszcz*, ośm postaci spółgłoskowych zawierające, ma istotnie brzmień cztery. U Niemców prócz *e*, które się dodaje, lub zmienia, nie kończą się prawie nigdy wyrazy na samogłoskę; gdy w polskim języku twardy zbieg spółgłosek na nie przyjemnie spływa, i to nie tylko w słowach, ale i w szczególnych sylabach. Prawda, iż wyrazy tylko na samogłoski spływające, nawet i do śpiewu mniej są dobre, dla tego słusznie niektórzy przyznają pod tym względem pierwszeństwo językowi hiszpańskiemu nad włoskim; lecz język polski stoi tu w środku między ostatecznościami Niemców i Włochów. Gdy śpiewacy wrócą do tego, że piękność, nie na zwyciężaniu trudności w skokach nadnaturalnych i szybkości zależeć będzie, ale na zastosowaniu śpiewu do natury wyrazów; w ten czas poznamy, ile i spółgłoski pod względem muzycznym są ważne. Cze-

ste, u Niemców dyftongi, mimo swojej rozma-
itości, nie nadają przyjemnego brzmienia wy-
mowie, czynią spółgłoski wydatniejszymi; gdy
przeciwnie w polskim języku, otwarte wyma-
wianie samogłosek, spoczywanie tonu na tych-
że, nadaje im w mówieniu równą wartość ze
spółgłoskami. Z tego powodu język polski, lu-
bo nie mający oznaczonego trwania samogło-
sek, jest w wymawianiu rozciąglejszy od in-
nych żyjących. Równa liczba wierszy, da się
prędzej odczytać głośno w języku francuzkim
niż w polskim, co pewnie z pełniejszego wy-
mawiania samogłosek pochodzi, i co dało po-
wód do ich częstszego wyrzucania niż w innych
dyalektach słowiańskich; i dla tego w mowach
uroczystych, w recytatywach, brzmi poważnie
i pięknie. Samogłoski, chociaż zwykle spół-
głoskom uległe, ten mają przywilej, że naj-
częściej zakończają sylabę, i że na takie tylko
przypada akcent oratoryczny, że zawsze pełno
i otwarcie są wymawiane: *nie-szczę-śli-wy*,
un-glück-lich; *nie-zró-wna-ny*, *un-er-reich-
bar*. Gdy zaś sylab nie zakończają i spływać
muszą na spółgłoski po nich następujące, w ten-
czas, albo nie mają akcentu oratorycznego; lub
jeżeli go mają, muszą mieć brzmienie ściśnione:
podziat, *stanął*, *całość*, *otworzyć*, *otwór*,
moje, *mojém*, lubo ta reguła nie jest bez
wyjątków. Polak pewny najczęściej spoczynku
na samogłosce, lubi spółgłoski skupiać, szcze-
gólniej na początku wyrazów; lub dodaje przy-
imki: *w-s-pomnieć*; lub wyrzuca samogłoski

u innych Słowian zachowywane: (*czołowik*), *gród* (*horod*), co nadaje moc wysłowieniu, a twardość łagodzi. Ztąd bardzo rzadko zaczyna wyrazy od samogłosek. *I*, tudzież *u*, są tylko powszechniejsze, z przyczyn, o których niżej się powie. Nie ma na *e* żadnego zaczęcia wyrazu, ta bowiem samogłoska jest tylko potrącaną sługą spółgłosek, nie ma z siebie żadnego charakteru: najmniżej zdolna wydać ton mocny bez spółgłoski; jest tylko niezbędnym środkiem do wymówienia sylaby, jako najłatwiejsze przejście od jednej spółgłoski do drugiej. Ztąd Czechowie tę samogłoskę w piśmie wyrzucać zwykli: *prstn*, *smrt*. Na *a* ma tylko kilka wyrazów: *ani*, *albo*, *ale*, które rzadko na początku okresu stać mogą, a zatem mniej wymagają dobitnego brzmienia. *O* jest tylko przymikiem i mieści się jedynie w słowach z tego przyimka złożonych, parę może wyrazów wyjąwszy, jak *ojciec*, *orać*, *osiła*, i te wyrazy w innych dyalektach słowiańskich zwykle *w* poprzedza. Tém bardziej nie zaczyna się żadne słowo polskie od samogłosek ściśnionych *ó*, *é*, (a nawet u gminu od *á*), tudzież od *y*, ani od *a*, i *ę*, które tak przez spółgłoski poprzednie urobione bez nich nie znaczyć nie mogą.

Ten język zawsze zdolniejszym jest do śpiewu płynnego i enegrycznego, w którym raczej mocne spółgłoski na samogłoski spływają, niżeli ten, w którym sylaby i słowa, zbiegiem spółgłosek są zakończone. Pierwsze bo-

wiem nadaje moc tonowi i trwanie onego czyni w śpiewie nieograniczoném, zostawia wolne pole uczuciu i smakowi; drugie nagle go ogranicza. Piérwsze jest własnością polskiego języka, które główną część jego śpiewności stanowi; każdy przyzna że wyrazy *twardy, serce, środki, stary*, śpiewniejsze są, niżeli mniej twardo się zaczynające niemieckie *hart, Herz, Mittel, alt*. Ztąd téż najwięcej pochodzi, skłonność języka polskiego do miary—; innych przeciwnie języków żyjących do —; tak dalece, że język polski nie ma ani jednego wyrazu *jamb* stanowiącego.

Jak Polacy ton samogłosek na końcu zniżają, tak miękczą najpospoliciej w tém miejscu spółgłoski przez formacye grammatyczne; a gdzie tego czynić nie mogą, tam twarą od twardej przedzielają przez *e* podręczne. Tym sposobem przez zakończenia grammatyczne pozbywają się wyrazów jednosyllabnych: *most, moście, mostu; czas, czasie: matka, matek*. A jeżeli niektóre przypadki formują się przez odcięcie samogłoski, i spółgłoskę twarą na końcu zostawują, jak *taska task, miaru miar*, to językowi żadnej nie dodaje twardości, gdy słowa jednosyllabne, nigdy się na końcu wyrazów nie mieszczą, a w środku konstrukcyi umieszczone, spływać mogą na samogłoski lub na miękkie spółgłoski wyrazu następującego.

Zakończenia grammatyczne w języku pol-

skim, są oraz najpierwszém bogactwém do jego ułagodnienia, i do urozmaicenia samogłosek, np. ze słowa źródłowego zarzuconego *mit*, formują się spadki na wszystkie samogłoski: *mili, mity, mite, mile, mita, mito, mitemu, mite, mitą*, tudzież na spółgłoski miękkie: *mitej, mitych, mitym*; też same spadki obejmują imiesłowy ztąd pochodzące *mitujący, mitosierny, mitościwy, mitowany*; podobnież zakończone są czasowniki: *mituje, mituję, mitujcie, mitujemy, mituj, mitować*; toż samo, rzeczowniki z różnym zakończeniem cechowném względ oznaczającym: *mitość, mitowanie, mitosierdzie, umilenie*, które znowu w dalszych przypadkach przybierają wszelkie samogłoski i miękkie spółgłoski. Przełożmy te spadki na język niemiecki, a zobaczymy jaka ztąd łagodność i różnaitość tonów wyniknie.

Jednakże mimo tych własności, czujemy potrzebę, by język polski jeszcze złagodzić i dążymy do tego. Wiele przyczyn wpływało na to, że w miarę o ile mu natura i zdolność pozwala, jeszcze na pożądanym stopniu nie stanął.

Nie mieli Polacy w średnich wiekach poetów śpiewających, którym nowe języki tyle oglądzenia są winne, którym i starożytnie winne są swoją dźwięczność i śpiewność. Ich język kształcił się tylko w obozach, i na sejmach przez rozkazy i spory, nie przez łagodne uczucia, nigdy przynajmniej stał wyższy, nie godził

brzmień jego z tonami lutni. Szlachta polska była stanem w narodzie najmniej muzykalnym. Śpiewacy i muzycy włoscy, pochlebiali zbytkowi i okazałości panów, lecz na śpiewność języka polskiego najmniejszego nie mieli wpływu. chyba ten, iż Polacy tak późno się ośmielili własnego języka do śpiewu wyższego użyć, i że ten, przymuszony giąć się pod ich muzykę, wcale jeszcze dźwięku własnego rozwinąć nie mógł.

Opera polska, czyli śpiewy wyższe, rozwijać się dopiero poczęły w ten czas, gdy już włoscy kompozytorowie w obawie, aby przez Mozartów i Glucków zrównani albo przewyższeni nie byli, zaczęli, się oddalać od śpiewu zastosowanego do deklamacyi i uczuć, a sztukę zasadzali na trudnościach, na brawurach, które ich język tylko przezwyciężyć był w stanie. Tym, można powiedzieć, podstępny sposobem, utrzymawszy się jak dotąd, przy pierwszeństwie, zrzadzili szkody i dla samej sztuki i dla innych języków. Mniej bowiem myślący artyści, naśladują w tém Włochów, bez względu, czy na tém prawdziwa sztuka zależy, a bardziej jeszcze bez względu, czy temu ich język ojczysty poddał. Ztąd i w publiczności pogarda dla języka, do takiej włoskiej muzyki niestosownego; ztąd stało się przywilejem wszystkich polskich śpiewaków, wypuszczać zupełnie prawie spółgłoski w śpiewie, tak, że nie śpiewają, lecz tylko nieartykułowany głos powszechnie wydają.

Tym sposobem język w śpiewie nie nie znaczący, udoskonalić się nie zdołał; i śpiewacy nasi w operach dowodzą tylko głosu i znajomości metody, ale nie sztuki śpiewu, który nietylko ucho głaskać ale i do pojęcia i do wyobraźni mówić powinien.

Jak mowa wiązana, tak proza cierpiała pod przemożnym wpływem obcych języków. Łaciński nie dozwolił jej w samych związkach rozwinąć się według słowiańszczyzny, francuzki ogładzić się w posiedzeniach wyższego społeczeństwa.

Oprócz Zygmunta i Stanisława, Augustów, żaden monarcha językowi polskiemu nie sprzyjał; ci nawet mało mieli środków, i mało, zwłaszcza pierwszy, dla niego uczynili. I pisarze ówczesni, oprócz dwóch lub trzech poetów dawnych, dwóch lub trzech mowców kościelnych, nie wiele go ogładzili. Kilku tylko uczonych naliczyć możemy istotnie o język troskliwych, a ci wszyscy narzekają na obojętność narodu w tej mierze, i ci wszyscy nietylko na grammatykę, ale i na porządną ortografiją nie byli w stanie się złożyć, jak to Bohusz uważa.

Ci kilku postrzegali delikatne odcienia brzmień w różnych prowincjach, i chcieli wszystkie przepisy objać, głoskami i znamionami oznaczyć niebacząc, że brzmienia nie mogą wszystkie dla oka być malowane, i że nie wszystkie te ich odcienia są potrzebne i piękn-

ne. W narodzie prawie bez stolicy, którego wyższa klasa po odległych włościach żyła rozproszoną, którego dwór rzadko był szkołą narodowości i języka, nie mogli grammatycy brać sobie za wzór dobrego wystąpienia oświeconych społeczeństw, gdyż te wcale języka nie kształciły jak w innych narodach. Nie dziw więc, że oglądzenie języka polskiego, do jakiego jest zdolny, nie mogło tak prędko nastąpić.

Łatwo było miękczyć i oglądać słowa w innych językach, które po większej części grammatycznym zakończeniem nie podlegają; w polskim trzeba je różnić przekształcać, i słowo najdźwięczniejsze w jednym przypadku, stwardzać w drugim, dla zbiegu spółgłosek. Tę niedogodność pomnażają jeszcze litery łacińskie brzmieniem polskim nie wystarczające, które jeżeli nie dla ucha, to dla oka twardość pomnażają. Gdy Niemiec często nie kładzie brzmienia, które wymawia: *Sprache, stand*; gdy Roszjanin dwa nawet brzmienia jedną literą pisze: *szcz*; my przeciwnie, blisko połowę brzmień dwoma literami oznaczamy, ztąd i pismo nasze ma dla cudzoziemców odrażającą fizyognomią dla której sam język niesłusznie jest posądzany.

Czyli oglądzenie języka wiele od dobrej ortografii zawisło, czyli ona więcéj do zwyczaju, czy zwyczaj do niej stosować się winien: jestto zagadnienie trudne do rozwiązania.

nia. Ortografia może się trzymać długo zastarzałego zwyczaju, zwyczaj może się zmieniać na szkodę języka, i tym sposobem mogą z sobą być w sporze, i nieprzyjaźnie wpływać na siebie. Lecz oboje mogą działać dla języka korzystnie z właściwych swoich stanowisk, jeżeli im przewodniczyć będzie smak dobry który we wszystkiem żąda pewnej miary. Wymawianie dąży do pozbywania się dawnych błędów i nieogładzenia; ortografia wzajem, nie dopuszcza błędów nowych, chroni od nałogów prowincyi i indywiduów, i dąży do ideału należytego wymawiania. Jak wymowa tak i ortografia nieukształconego jeszcze języka jest zawsze niepewną; jedna dla ucha, druga dla oka nieprzyjemną. Ludzie mający smak i czucie, doskonałą pierwszą; umiejący się zastanawiać ulepszają drugą; a lubo w tém zwyczajowi ulegać muszą, oznaczają przecieź granice, aby zwyczaj, albo się od udoskonalenia nie cofał, lub nie przechodził kresu, założonego nietylko pięknemu, ale i właściwemu wyśłowieniu. Bardzo źle czyniłaby ortografia, gdyby zwyczajowi zupełnie ulegać miała. Byłoby to jedno, co wystawiać uczniowi malarstwa zwierciadło zamiast ideału do naśladowania. Jak do prawodawstwa sledzenie obyczajów, tak do niej należy badanie zwyczaju, i stosowanie do niego swoich przepisów, pozwalających albo broniących. Ona powinna upatrywać w zwyczajowi dążenie języka od natury mu wskazane, w tém go popierać, bronić, od

nałogów, nadużycia i mody. Popierając go, nie może nagle nowości jego przejmować; a stając przy dawném, nie powinna zostawiać go na drodze sobie przeciwnój, aby pismo nie stało się rzeczą, zupełnie od wymowy oddzielną. Muszą więc, ortografia i zwyczaj wzajem się znosić, wzajem sobie coś ustępować, ażeby na siebie zbawiennie wpływały. Wymowa powinna uznawać w ortografii swój ideał, w głównych tylko zarysach wskazany; ortografia zaś powinna odpowiadać zwyczajowi, ile uzna za słuszne, i malować wymowę o ile może, przez postacie liter. Nigdy bowiem nie należy sądzić, ażeby pismo mogło być zupełném mowy wyobrażeniem: w ten czas nie byłoby nawet ortografii, lecz tylko dowolne naśladowanie mowy przez pismo; naśladowanie niedokładne, bo w żadnym języku postaci liter brzmień wszystkich nie objęły, a tém bardziej w językach, które tych postaci od innych nabyły.

Mowa i pismo, można powiedzieć, są dwie oddzielne sztuki, chociaż ściśle z sobą spowinowaczone. Mówimy i pjszemy aby nas rozumiano, lecz mówimy dla ucha, piszemy dla oka. W mówieniu niknie to, co jest malowane tylko dla oka; w pisaniu nie można pomieścić tego, co dla ucha głos tylko wyrazić może. Pismo samo ma przywilój zachowania zgłosek w wymawianiu opuszczanych, ale których zatracać nie należy, bądź dla etymologii, bądź dla oznaczenia cech grammatycznych.

Wzajem mowa przechowuje w tonowaniu wyrazów indywidualność języka, których żadne litery ani ich znamiona objać nie potrafią, a na których często największa część piękności języka polega. Pismo nadaje językowi główne rysy, mowa koloryt i cienie. Jak żaden malarz nie użyje wypukłości do odmalowania jakowej postaci, tak żaden rzeźbiarz nie zechce pociągać kolorami posągu; bo obadwa mają swoje osobne powołanie i granice, chociaż jeden cel główny. Słuchając, więcej czujemy; czytając, więcej rozumujemy: brzmienie więc do czucia mówiące, w zimnej figurze zamknąć się nie da. Dla tego pismo i mowa mogą być wzajem siebie dopełnieniem, ale nigdy nie zdołają być rzeczą jedną i tą samą. Znający dobrze grammatykę obcego języka, nie będzie łamał konstrukcyi, ale dobrze wymawiać tylko się przez słuchanie nauczy.

U starożytnych, gdzie wymowa i poezya nie były tylko do czytania przeznaczone, ale gdzie obiedwie deklamowano, naksztalt może dzisiejszych recitatiwów, języki miały daleko więcej śpiewności; w dzisiejszych czasach, gdy więcej piszemy i czytamy, mają mniej wdzięków dla ucha, lecz więcej jasności dla pojęcia. Ortografia przyczynia się wiele do jego jasności, chociaż dla ucha nie może go zupełnie malować. Dla doprowadzenia języka do gładkości z poprawnością grammatyczną połączonej, pragnąć nam trzeba grammatyków ostróżnych w zaprowadzaniu prędkim

nowości, cierpliwych w znoszeniu powszechniejszych zwyczajów, nie upornych jedynie za t \acute{e} m, co ich systematom dogadza, a najwi \acute{e} c \acute{e} j grammatyków, którzyby r $\acute{o$ wnie o j \acute{e} zyku rozumować, jak czu \acute{c} go umieli, dla których wdzi \acute{e} ki poezyi i muzyki nie s \acute{a} obcemi.

Piękny w teoryi przepis: *pisz jak mówisz, nie mniej, nie wi \acute{e} c \acute{e} j, nie inaczej*, jest, jak tyle maxym moralnych, tylko ideałem, do którego dążyć należy, ale który osiągnąć się nie da. Polacy, chlubiący się nieślusnie zachowywaniem tego przepisu, wi \acute{e} c \acute{e} j może na nim stracili ni \acute{z} eli zyskali. Ten bowiem przepis tam tylko wskazywanym być może, gdzie j \acute{e} zyk grammatycznie jest ustalony gdzie do j \acute{e} zyka pismiennego nie mogą ju \acute{z} wpływać nałogi i uwiedzenia szczególnych osób i dyalekty prowincyi. Je \acute{z} eli z pisma \acute{z} adnego narodu nie można powzi \acute{a} ść wyobrażenia jak je wymawia; t \acute{e} m mniej z pisma, którego j \acute{e} zyk nie był jeszcze grammatycznie ustalony. S \acute{a} jednak \acute{z} e w dawn \acute{e} j ortografii ślady, s \acute{a} napomknienia niektórych pisarz $\acute{o$ w, z których pewnym być można w og $\acute{o$ lności, że wymawianie dawnych Polaków wcale (przynajmniej według naszego ucha) nie mogło być piękne, a ślady tego s \acute{a} w akcentach nad samogłoskami i w stwardzaniu albo przyciskaniu spółgłosek. Nie podobna, aby tak wymawiano jak teraz, wyrazy tak dawn \acute{e} j pisane: *Pyrrzwy Psalm, masz myłoszczywy na sztoylczu szyedzyał, myślicz, owoc, czokoty u-*

czynny zdarzy się, przetoż w sądzie w radzie prawych, zwolęnik, mam ręką, dzień i t. d. Brzmienia podobne słyszymy dziś jeszcze pomiędzy gminem, a mianowicie sadzenie spółgłosek syczących w małych miasteczkach.

W ogólności nieprzyjemność brzmienia w polskim języku, polega *najprzód*, na sadzeniu spółgłosek syczących które najczęściej się zbiegają, *powtórę*, na częstym pochylaniu samogłosek do tonu niższego, czyli na tak zwanych samogłoskach ściśnionych. Obiedwie te niedogodności są jego własnością, których przecięż smak wzrastający ile możności umniejszał. Głoski syczące *c, ć, cz, dz, dź, dż, rz, s, ś, sz, z, ź, ż*, tak często przypadają, z sobą się łączą, zakończenia cechowe stanowią, z innych głosek się urabiają, (*mtót mtócić; mógt może* i t. d.) że językowi naszemu można przyznać przymiot języka syczącego. Zaniedbanie zaś samogłosek, a ztąd może częste onych pochylanie, nadało mu wiele tonów niskich, i uczyniło go mniej śpiewnym niż do tego jest zdolnym.

Mroziński pierwszy zwrócił uwagę na system spółgłoskowy w języku polskim, przez co dopiero grammatyka stanęła na pewnej drodze. Postrzeżenia jego, i pod względem harmonii języka bardzo są ważne. Zaniedbanie samogłosek zupełnie spółgłoskom poświęconych, przyczyniło się do zbiegu wielu spółgłosek, na-

dało początek samogłoskom ściśnionym, zatra-
ciło prozodyą, jeżeli jaką ze słowianszczyzny
Polacy odziedziczyli. Późniejsi Polacy, za-
stawszy system spółgłoskowy już ustalony, nie
mogli nie zwrócić uwagi na samogłoski, na
których śpiewność języka, a nawet gładkie o-
nego brzmienie, znacznie polega. Usiłowa-
nia względem prozodyi były i będą daremne;
atoli badania pod względem pełnego lub ści-
śnionego wymawiania samogłosek, ich wyrzu-
cania, lub dodawania, nie mogą już dzisiaj
być obojętnymi. Brzmienia przez spółgłoski
ustalone, przez samogłoski być upięknione po-
winny. Samogłoski w towarzystwie głosek są
tém, czém kobiety w towarzystwie ludzkim.
One wyobrażają uczucia i są węzłem harmonia
stanowiącym. Bez nich spółgłoski są niczém,
i gdzie, jak u dawnych Polaków, nie mają praw
żadnych, gdzie się przed spółgłoskami wscho-
dnim zwyczajem niewolniczo pochylać muszą,
tam i spółgłoski są dzikie i twarde. Powin-
ny więc samogłoski, obok uległości spółgło-
skom mocniejszym, mieć swoje pewne prawa
i poszanowanie.

We względzie ortografii, samogłoski wa-
żne są tylko z powodu znamion. Lubo rzecz
o tychże, już przez członków Deputacyi do-
statecznie jest rozebrana; niech mi wolno bę-
dzie przełożyć niektóre postrzeżenia, i zwró-
cić uwagę na szczegóły, jeszcze pod wzglę-
dem harmonii na uwagę zasługujące.

Ktokolwiek rzuci okiem na pismo Słowian, dostrzeże, iż język ich najskłonniejszym jest do samogłosek *i* tudzież *u*; ktokolwiek zaś zastanowi się nad historią polskiej pisowni, przekona się, iż Polacy starali się gdzie mogli obudwu tych brzmień unikać. Pozna razem, iż jak u innych Słowian tak i u nas Polaków, samogłoski *a*, *e*, *o*, były obojętne. Zobaczmy tego przyczynę.

Natura samogłosek, najlepiej daje się poznać w odgłosie samych uczuć, to jest, w wykrzyknikach, które powszechniej wymawiamy łącznie z głoską *h*, przed albo po nich położoną. Te samogłoski różnią się tylko przez ton wyższy lub niższy, dla tego pod tym względem kładą je grammatycy w porządku *u*, *o*, *a*, *e*, *i*: bo wtenczas stanowią naturalną skalę ludzkiego głosu w mówieniu, od niniejszego do najwyższego tonu. *U*, *hu!* ma ton najgłębszy, wyraża przeto uczucia najwięcej głos tłumiące. Nagłe np. przerażenie odejmuje siłę, przy czém krew zatrzymuje się, ustępuje z części zewnętrznych, czujemy jakby dreszcz zimny, a to zwykle głos zniża; tak jak przejęci zimnem, zwykle ten odgłos wydajemy: *t-h-u*.

I, tudzież wykrzyknik *hi!* jest tonem najwyższym, właściwym przeto uczuciom, które najwięcej głos wznoszą. Jestto odgłos śmiejącej się wesołości, bo ta ożywia siły, a zatem i narzędzia głosu, jednakże bez tej mocy i gwałtowności jak inne uczucia; dla tego tym tonem śmieją się zwykle dzieci, a nawet kobiety, gdyż

ich głos z natury jest wyższym ; dla tego, prócz wesołości i śmiechu, należy ta głoska do innych uczuć temu wiekowi i téj płci najwłaściwszych. Tak *z* albo *hi* wydajemy będąc zniecierpliwieni, unudzeni; w uczuciu lekkiej zmysłowej przyjemności: drażniąc kogo i t. p.

Te odgłosy wydaje człowiek nie wiedząc o tém, z wewnętrznego popędu ; zdaje się słyszeć je w odpowiedniej zewnętrznej naturze, lub jéj sam onych udziela.

Ptaki nocne, zwierzęta ponure, ciało ciężkie w głębię spadające, ogień, woda, wiatr z dala w utłumieniu słyszany, ton *u* wydają.

Przeciwnie do tonu *z* skłaniają się wszystkie drobne stworzenia, wszystko co ma głos ściśniony lub wzniesiony, ciała w górę lecące i t. p. Małe ptaszki i zwierzęta *śpicwaja*, *skwierczą*, *piszczą*, *świszczą*, wiatr *świszczy w cienkie krzewy*, *szumi w dęby (duby)*. Stróna najcieńsza, instrument krzykliwy, dzwonek mały, ten odgłos wydawać się zdają, tak jak tonem *u* brzmia struny grube, duże dzwony. Ztąd naśladowcze najprzód wyrazy, *tłum*, *chuk*, *rum*, *szum*, *mruc*, *sztuk*, *puk* ; *świst*, *pisik*, *kwik*, *sik*, *cisk*, *smyk*, *krzyk*, *ryk*, z których mnóstwo wyrazów pochodnych : *smigać*, *ciśkać*, *chichotać*, *ściskać*, *tryskać* ; *rzucać*, *tłumić*, *dusić*, *szumić*, *głuszyć* i t. p.

Lubo podobne naśladowcze wyrazy w mowie ukształconej powszechnie giną, lub się zmieniają, jednakże polski język zachował ich jeszcze wiele w słowach od nich pochodzących i ce-

chach grammatycznych, i tych stale się trzyma. Krótkie tego przykłady, może tu będą na swó-
jém miejscu.

I miękkie, lub twarde *y* mieści się zwykle we wszystkich wyrazach oznaczających wyno-
szenie z nizkości do góry, działanie z wewnę-
trza na zewnątrz; *u* oznacza rzeczy w treść
ułożyć, skupić, ująć, uzupełnić. W wyra-
zach oznaczających działanie wewnątrz nas, pa-
nuje *u*, oznaczających zaś działanie zewnątrz
nas, panuje *i*:

Imam, tkliwość, chciwość, młtość, sła.

Umiem, czUcie, chUć, lUbość, moc
(słowia. *mUc.*)

Mówimy *dychać, dyszeć, dychanie*, jako
działanie powietrza z wewnątrz; *dusić, dusz-
ność, zaduch* jako działanie powietrza z ze-
wnętrza wewnątrz nas. Z tego względu, przy-
czynę tego fizycznego działania w człowieku bę-
dącą, nazwano *dechem, duchem duszą; du-
chem i duszą*, nazwano moralną władzę w czło-
wieku, tudzież wyobrażenie o władzy moralnej w
człowieku. Tak te dwie samogłoski są w naszym
języku źródłem wszelkich wyrazów wprost do
duszy, istoty myślącej należących, te chyba
wyjawszy, które przez przenośnię oznaczamy,
tak dalece, że od wyrazów: *ja, jąć, imać, um*,
tysiące pochodzi wyrazów oznaczających oder-
wane pojęcia. Postrzeżenie powyższe jasno jesz-
cze popierają przedimki *wy-* (słowiańskie *iz*),
tudzież *u*: *wykrzyk, wydymać, wybuch, wy-
twor, wyskok, wykład, wykryć* i t. p. *uchwy-*

cic, *ułożyć*, *ująć*, *umieć*, *ukryć* i t. p.; łączą one się z sobą jak przyczyna ze skutkiem, jak wewnątrz z zewnątrznością, początek z końcem: *wyjsć*, *ujść*, *imać*, *umieć*, *wyskoczyć*, *upaść*, *wylać*, *wlać*, *wyraz*, *uraza*. Dwie te samogłoski tę mają jeszcze własność, że wtenczas, gdy są źródłowemi, zmieniają się jedna na drugą: *imać*, *umieć*, ale nigdy na samogłoski pośrednie *a*, *o*, *e*; powtóre, że obiedwie są przejściem do spółgłosek; i tak *i*, wspólne jest najniższej spółgłosce *j*, *u* wspólne spółgłosce *w*. Obie nie zakończają nigdy rzeczowników, lecz za to do odmian grammatycznych w dawnym i w nowych słowiańskich dyalektach, najwięcej są używane, co także dowodzi, że wyłącznie do abstrakcyjnych pojęć należą. One nakoniec stanowią najliczniej używane przyimki *iz*, *u*, *wy*, z wyrazami spojone. Tym sposobem, rzeczone samogłoski, najpowszechniej towarzyszą na początku i na końcu wyrazom, tak są czynne między samogłoskami, jak z pośród spółgłosek. Stanowiąc najwyższy i najniższy ton głosu, one same, i pochodzące z nich wyrazy oderwane, zdają się mieć swe źródło w czuciu ludu silnego i blizkiego natury, należą jedynie do duszy i myśli; i człowiek przeto myśli że czuje.

Tych tonów, jako najwyższego i najniższego, które zatém pięknemu wystowieniu sprzyjać nie mogą, unikają ile możności wszystkie wykształcone języki, w których także są liczne, lubo nie tak jak w językach słowiańskich; albo

je zastępują przez różne pośrednie tony, albo zmieniają zupełnie na inne samogłoski, albo przynajmniej wymawiają je krótko, nie kładą na nie akcentu, i chronią się przeciągać je w śpiewie.

Polacy, którzy język swój przynajmniej pismiennie, najwięcej ze sławiańskich narodów obrobili, starali się tam, gdzie *i* lub *u* nie było wyraźnie źródłowem, zastępować je albo łagodzić przez inne samogłoski: *mira miara*, *wira wiara*; najpowszechniej jednak zastępowali pierwsze przez *e* otwarte lub ściśnione, drugie przez *a* lub *ę*, rzadziej daleko, przez *o* ściśnione; *dąb dub*, *ręka ruka*, *moc muc*, *ruku muku*, *rękę mękę*, *daju moju*, *daję twoję*, *wirch wierch*.

Samogłoski *a*, *e*, *o*, muięj ważne dla grammatyki, obojętne dla etymologii, tém więcęj znaczą w harmonii języka. Są to głoski, na których ton mowy chętnie spoczywa, które przedłużać lubi, które przeto w śpiewnych językach panują. Pomijam zbyt subtelne, a najczęściej naciągane tłumaczenia tych tonów i wykrzykników, nadmienając to tylko, co do naszej rzeczy należy.

Trzy te samogłoski zmieniają się zwykle pomiędzy sobą: *wianie*, *wietrzy*, *wionie*, *mieść*, *zmiatać*, *miotła*, *ktaść*. *leże*. *toże*, *las leśny*. *przód przedni*, i t. d. Obojętność tych tonów dla znaczenia wyrazów, dozwoliła tworzyć z nich półtony, czyli tony pośrednie, samogłoski znamionowane, do których należą jeszcze samogłoski nosowe *a*, *ę*. Niektóre z tych zna-

mion stały się niepozbedzą naturą języka polskiego, posłużyły do oznaczenia cech grammatycznych, i te właśnie nie były harmonii języka przeciwne.

Nim do tych samogłosek w szczególności przystąpię, niech mi wolno będzie poprzedzić je uwagami w ogólności, co do samogłosek znamionowanych.

Z najdawniejszych pism i druków polskich okazuje się, że Polacy skłonni byli, wszystkie tony wyższe na niższe zamieniać. Najwyższe *i* na następujące po niēm *e*; *a* na *o*; *o* na *u*; *u* jako najniższe, na samogłoski zbliżające się już, według Mrozińskiego, do spółgłosek, *a*, *ę*. W znizeniu tych tonów, nie wiele zważano na wyraźne oznaczenie ich zmiany jeden na drugi, czego ślady widzimy w dawnych drukach przed wprowadzeniem znamion, a nawet dziś słyszymy w mowie ludu prostego. Ztąd utworzyć się mogły tony tak zwane pośrednie, później w piśmie akcentem rozróżniane. Jedne z tych tonów zupełnie upadły, inne były tylko zwyczajem niektórych prowincyj, inne stały się już niewzruszoną własnością języka.

I tak, upadły brzmienia, do postrzeżenia których grammatycy i słownikarze mieli delikatność ucha, lecz nie mieli dosyć smaku, aby je uznać za niepotrzebne w piśmie, a nieprzyjemne w wymawianiu. Knapski np. wspomina

o trzeciém *o* zbliżoném do *ó*, ale brzmiacém przez nos w wyrazach *stoń, stońce, stoma, sledziona, dzwonią*. Inni oznaczali nadto *o* poprzedzone tonem *u*, którego ślady są jeszcze w Wielkiej Polsce, np. *otwuorzyć*; a Górnicki, nieszczęśliwy w całym swém piśmie o ortografii, radzi same *o* ściśnione pisać przez *uo*. Kładli inne znamiona np. od lewej do prawej, których brzmienia dziś już wcale nie wiemy. Dołączmyż do tego *u* ściśnione wielko polskie, dołączmy *q, e*, pisane często bardzo przed *m, n*: *ręńka, kłątica*, a nie bez powodów sądzić możemy, że jak przez skłonność do głosek syczących, tak przez skłonność do samogłosek niskich, i przez niedbałość w ich oznaczaniu, dawni Polacy nie mogli pięknie mówić; że może dziś słyszani Zamojski i Orzechowski, zdawaliby się nam pod względem wymawiania ludźmi nieokrzesanemi. Prawda, iż nie jesteśmy w stanie sądzić z pisma dawnego, jak je wymawiano, lecz możemy się tego domyślać, z napomknięć grammatyków, np. z Górnickiego, *otwuorzyć*; z rymów dziś już z sobą nie rymujących, i z zabytków pomiędzy prostym ludem, odpowiednich często dawniej ortografii.

Jakkolwiek wielu i z gruntownych powodów przeciwko znamionowaniu samogłosek powstaje, powiedzić jednakże można, iż one są epoką, w której język pod względem harmonii udoskonalać się zaczął. Za tém mniemaniem mówi szerególniej to, że *a* i *e* otwar-

te, nie ściśnione znamionowano (*). Ściśnione *á*, utworzyło się zapewne razem ze skłonności narodu do tonów niskich i z niedbałego wymawiania samogłosek: a chociaż *é* i *ó* po-

(*). Kopczyński w zaczęciu Słownika polskiego, którego tylko parę arkuszy w rękopisnie zostawił, mówi pod literą *A*.

„Czy dawać znamię nad otwartém, czy nad ściśnioném *a*, spór ten dopiero za komisaryi edukacyjnej zakończony. W dawniej książeczce Januszowskiego pod napisem *Charakter nowy*, czytamy, że Jan Kochanowski, radził pisać znamię nie nad otwartém, ale nad ściśnioném *a*, np. *nasza wola* a nie *nasza wola*: dając za prawdziwą przyczynę, że to tylko powinno się różnić w pisaniu, co się różni w wymawianiu. A ponieważ jedno *a*, zwyczajem wszystkich narodów, wymawiamy wyanko i otwarcie, piszmy je tedy, zwyczajem tychże narodów, otwarcie i bez znamienia. Drugie *a* wymawiamy po naszemu, to jest, niżej i ściśnione: dajmy mu tedy znamię dla okazania tejże różnicy. Widziano prawdę płynącą z natury języka naszego, ale nie śmiano poprawić pospolitego już zwyczaju, kręskowania otwartego *a*. Kłopotliwi nawet, wkrzesieli pisowni czyli ortografii polskiej wiele potrzebnych odmian poczyniwszy, zostawił znamię nad *a* otwartém. Komisaryja dopiero edukacyjna, jako najwyższa języka i nauk wszystkich urzędniczka, idąc z radą Kochanowskiego, a bardziej jeszcze za logiką, przeniosła znamię górne z otwartego *a* na ściśnione, tak jako z niższemi samogłoskami *e*, *o*, zrobiła, tworząc to powszechne, jednostajne prawidło: samogłoski polskie *e*, *o*, *o*, piszą się ze znamieniem u góry, kiedy są w wymawianiu ściśnione, np. *sám tэм król*. Zły był dawniej sposób pisać kręskę nad *a* otwartém, gorszy teraz nie pisać nad żadnym, a najgorszy nie wydawać nawet w wymawianiu tej różnicy. Baczność na wymawianie prostego ludu, przywrócenie w druku rozróżniających znamion, skrziesi i uwieczni w całym narodzie, polski prawdziwy zwyczaj mówienia i pisania.“

wstało bardzo naturalnie i koniecznie ze zbiegu spółgłosek, tak jak *i*, lub *y*, przecież i tu, mianowicie co do *e*, wiele się zły nałóg przyczynił. Gdy baczniejsi postrzegali, iż ta dążność daleko już posunięta, szpeci wymowę, że to zniżanie powszechniej przy pewnym zbiegu spółgłosek ma miejsce, czuli potrzebę ratować samogłoski otwarte *e* i *a* przez znamiona ostrzegające, że te otwarto wymawiać należy. Inne woleli zostawić pochylonemi do niższych tonów, niż je na zupełnie niższe zamienić, czego i sama grammatyka wymagała. Według tego utworzyło się następstwo tonów i półtonów następujące, od najwyższego do najniższego:

i	y	}
	é	}
	e	}
	a	}
	á	}
	o	}
	ó	}
	u	}
	á	}
	é	}

Widzimy tu że *e*, lub *é* zniżając ton *i*, już się dalej nie zniża, że przeciwnie *a*, *á*, *o*, *ó*, *u*, aż do *i* i *e* ciągle się zniżają, tak dalece, że *a* otwarte, mogło być zniżonem nietylko na ton *á*, *o*, *ó*, *u*, ale nawet na *a*, nie wiele bowiem różnicy *a* ściśnionego *mám*

od *mom*, *móm*, *múom*, *mum* i *mąm*, przynajmniej w ustach ludu niepiśmiennego. Widzimy, że zamiana tonu najwyższego na niższe *e*, jest zupełnie eufoniczną; zamiany zaś na tony niższe od *a*, aż do ostatniej, takimi nie są; że przeciwnie, kształtujące się w harmonii, języki dążą od tonów niskich do wyższych, a mianowicie do *a*, który ze wszystkich jest najpiękniejszy. Samogłoskę *e* nazywa Mroziński podręczną, właśnie dlatego, że jest eufoniczną, do wymawiania najłatwiejszą; dlatego we wszystkich językach dla harmonii zmieniana lub dodawana, w polskim języku nadto najpowszechniej *i* zastępuje. Że jednak w wielu wyrazach, przejście od *i* do *e* otwartego sprzeciwiało się nałogowi ucha, że nawet w niektórych wyrazach z powodu zbiegu spółgłosek, pięknym i naturalnym być nie mogło, a najwięcej, że *e* otwarte, zły nałóg na ściśnione, lub wcale na *i* mógł często zamieniać; uznano potrzebę *e* otwarte oznaczyć znamieniem, które przez swoją obojętność *e* i *i* dogodziło potrzebie. Podobny zapewne był powód znamionowania *a*, które się zniżało do tonu niższego *o*, lecz nie do piękniejszego, jakim jest *i*, *é*, w porównaniu z *a*, *à*. Ztąd postęp smaku, kazał wszelkie *a* otwarcie wymawiać, i w tym już się ustalił, dotąd zaś ciągle do tego się skłania, ażeby *i* na *é*, na *e* otwarte *e* zamieniał, gdzie tego panowanie właściwych spółgłosek, albo inne względy na harmonią nie zabraniają.

Znośniejszém było dla ucha *o* do *u* niżone, dlatego że *o* same już nie jest tak pełnóm i otwartém jak *u*, i że w zbiegu niektórych spółgłosek, brzmi daleko piękniej i łagodniej niżeli same *o*, ponieważ *o* otwarte, spływając na słabe spółgłoski, albo je stwardza, np. *czasof królof*, albo przy zostawieniu spółgłoski miękkiej same przeciągło wymawiane być musi, jak: *punoow*, i dlatego mieli je niektórzy za długie, i kazali przeto pisać je niewłaściwie przez dwa *oo*. Francuzi sami w wielu zdarzeniach *o* na *ou* zamienili; *oblitus*, *oublic*; *ourdir*, *ordiri*; itp. Ścisłejsze coraz stosunki z obywatelami Litwy, którzy znamienia tego nie zachowując, wprowadzali lub twarde wymawianie głosek słabych, albo ton śpiewający, radziły potrzebę znamionowania ciągle *o* nie otwartego, ale ściśnionego, gdyż ta harmonia *o* ściśnione ratować kazała.

Z tych postrzeżeń te można wyprowadzić wnioski względem *a*, *e*, *o*, ściśnionych.

A, jako harmonii przeciwne upadło zupełnie, *ó* jako téjże pomocne, zatrzymało się dotąd; i prawdziwi Polacy nigdy się w znamionowaniu onego nie różnią; względem *e* są dotąd wątpliwości, to jednak pewna, że język dąży ciągle do tego, aby przemieniać *i* na *e* ściśnione, gdy takiego tylko zbieg spółgłosek dopuszcza, *e* zaś ściśnione, rad na otwarte zamienia.

Zdaniem mojem postępują w téj mierze z korzyścią dla harmonii, i ci grammatycy prze-

niknieni są duchem języka, którzy mu w tém tamy nie kładą. Sądzę nawet, że ortografia w niektórych względach, to dążenie wspierać powinna, że jej należy przynajmniej dotąd zachodzące wątpliwości względem *i*, *y*, *é*, na korzyść harmonii rozstrzygać.

E, É, I, Y.

Te samogłoski pod względem eufonicznym ściśle z sobą są połączone, dlatego razem o nich wypada mi mówić. Nie czynię tu żadnej różnicy między *i*, *y*. *Y*, jako samogłoska, jest już w naszym języku zupełnie ustalone gdy w służbie którą dotąd jako spółgłoska czyniło, przez *j* wyręzione zostało. Kto rzuci okiem nie tylko na księgi innych Słowian, lecz i na dawne polskie, przekona się, ile było dążeniem Polaków pozbywać się *i*, *y*, które w słowiańszczyźnie jest najpospoliczsze, a dla ucha nieprzyjemne. Serbowie i Dalmatowie najmiej więcej ze Słowian mówiący, za świadectwem Dobrowskiego, wszędzie, gdzie my północni *y* wymawiamy, *e* przyjęli, np. *woda wody*, u nich *wode*. Wyrzucano je, zmieniano na inne litery, lub łągodzono. Dotąd jeszcze nie stanął język co do téj głoski na tak pewnej granicy, jak z innymi samogłoskami.

1. Wyrzucone zostało *i* z większej części wyrazów słowiańskich od niej się zaczynających, a mianowicie z przedimka *iz* (*z*) *Izwoltie*, *Izbawiti*, (*zbawić*): to

samo z zakończeń; które znamiona miękczące zastąpiły: *izbawitI*, (*zbuwić*) *spatj*, *datI*, *matI*. Takowe zakończenia i w dawnych polskich drukach postrzegać się dają. Budny pisze *karzy mię*, *namaży mię* i t. p.

2. Wyrzucano je z imiesłowów więcej-sylabnych na końcu wyrazu, według upodobania: *poślubion*, *zapozwan*, *rówien*, *mocen* i t. d. to samo w czasownikach: *czujem*, *dajem*, *niesiem* i t. p., zamiast *równy*, *dajemy* i t. p.
3. Zmieniano je na inne samogłoski, np. dawniej pisano *złomic*, *złapic*, *myślic*, później zaś *złamać*, *złapać*, *myśleć*.
4. Zmieniano je na spółgłoskę *j*, aby się nie łączyło z drugą samogłoską, np. *pojmuje*, *przyjście*, *ujdę*, *rękojmia*.
5. Najwięcej jednak zmieniano *i* na samogłoskę *e* otwarte, albo łągodzono przez *e* ściśnione. W dawnych książkach polskich czytamy *szyroki*, *czyrwony*, *cyl*, *cyrkiew*, *roztyrki*, *krys*, *krysa*, *wstrzymięźliwość*, *rozszyrzać*, *szczyry*, *pirwszy* i wiele podobnych, które później na *e* lub *é* zmieniono, a które dotąd przez *i* wymawia ten sam lud, który *a* ściśnione zachował.
6. Samogłoska *i* na *j* zmieniona, przybięra *e* dla oznaczenia sylaby bądź z prawej, bądź z lewej strony: *sejm* od *z-im*, *przy-*

jemny od przyimny, podejmować, podejście i t. d.

7. Często bardzo samogłoska *i* nie niknie zupełnie, lecz zamienia się tylko w brzmienie poprzednią samogłoskę łagodzące, sama zaś zastąpiona jest przez *e* najczęściej znamionowane: *zwiierz, dopiero, wierzch, pierwszy*.
8. Gdzie dawniej w zakończeniach cechowych pisano *ij* lub *yy*: *gorzyy, kompanij*, dodano później *e* ściśnione, *gorzój Turcycój* i t. p. *rwij, drzyj, rwiój, drzój*, lubo w tych ostatnich, prawie nie jest słyszane.

Z tych i podobnych przykładów, przekona się każdy, że dążeniem języka było: 1^{mo}, pozbywać się samogłoski *i*, gdzie tego natura języka dozwalała; 2^{do}, że do tego użyto prawie wyłącznie głoski *e*, tak dalece, że w tém dążeniu, łamano przepisy i samej grammatyki i harmonii języka.

W *Postylli Reja* czytam: *z człowieczy mi syny, będą wszystkie roskoszy moje*; w którejto krótkiej konstrukcyi teraz trzy *i* przez *e* są zastąpione. Lecz razem czytam we społecznych Rejowi, a więcej jeszcze w późniejszych: *nie wzgardzaj dusze, podbił ludzie, on jest król ziemie, nie trać nadzieje* i t. p. Piotr Kochanowski w pierwszej edycyi Jerozolimy pisze: *beł, beła, beły*. Bardzo często skłaniają się pisarze nasi do pisania: *wsie, ptcie, koscie, wiadomości* i t. p. Tém *e* tak się po-

sługiwano, że nawet bez potrzeby inne samogłoski zastępować musiało, np *siestrze, żenie, na ledzie, pietrze* (*Świętopietrze*); zamiast *w czasach, miastach, w czasiech, mieściech, niewieściech* i t. p. Późniejsi położyli tamę podobnemu pisaniu, lubo *e* do zastąpienia *i* używać nie przestali.

Widząc to dążenie, które jeszcze daleko posuwać się może, zobaczymy, ile z korzyścią dla harmonii, a bez obrazy natury języka, *i* na *e* lub *é* ściśnione, zamieniane być może. Jestto przedmiot dla mnie zatrudny, na który tylko w połowie odpowiedzieć potrafię.

Samogłoska *e*, którą Mroziński podręczną, wielu eufoniczną nazywa, jest pod względem harmonii najważniejszą we wszystkich językach. „Dla oddania samogłoski *e*, mówi Mroziński, zostawiamy organy mowne w zwykłym ich położeniu; jestto samogłoska, jeżeli tak można powiedzieć, od wszelkiej artykulacji uajbardziej oddalona.“ Tę więc głoskę według dogodności organu i harmonii, najłatwiej przybierać i odrzucać można. Ona w innych językach, skłonnych do zakończeń na spółgłoski, dodawaną bywa na końcu wyrazu; w polskim języku, skłonny więcej do zakończeń na samogłoski, a zbiegu spółgłosek w środku, dodawaną lub wyrzucaną bywa w środku wyrazów; ona oddziela nie tylko twarde, ale i jednokie spółgłoski, których polski język nie znosi, np. *zezwalam*; ona najpowszechniej zastępuje lub łągodzi wysoką samogłoskę *i*, tak jak *j* zastępuje

lub łagodzi niektóre twarde spółgłoski; a najzwyczajéj *z* zastępując, brzmienia jego połowę zatrzymuje, i wtenczas zowie się *e* ściśnioném.

Godna uwagi, że właśnie, gdy różnica między *a* otwartém i ściśnioném znikać zaczęła, poczęto staranniej *e* od *é* oddzielać. Według Bandtkiego, piérwszy to uczynił wyraźnie Ursinus. Gdy *a* skłaniające się przez znamię do *u*, jako nieprzyjemne zarzucano, starano się odróżnić *e* otwarte przez znamię od ściśnionego, którego brzmienie zbliża się do *z*, mniej pięknie brzmiącego.

Kopczyński zastawszy przeciwne dążenie od *á* do *a*, od *é* do *e*, przeciwnie postąpił, przenosząc te obadwa znamiona. Ten grammatyk radząc się raczej martwych liter, niżeli ucha żyjących, więcej zawikłał znamionowanie *e*, niżeli dawni. Prócz wyrazów, gdzie na to ucho nasze się zgadza, kréskować każe *tén, nié, ziemia, zaléta, ciémny, méta, mogtém, śmierć* i t. d.; a troskliwy w rozróżnianiu przez kréski słów podobnych, i to bładąc za ważny powód znamion, np. *lata, látá (volat); panie, panie (dominae)*; nie zważa, jak w mówieniu trudno odznaczyć *dobré, tylé, sén*, od *dobry, tyli, syn*. Prócz tego, dosyć liczne wyjątki od reguł, gdy jednych i drugich ucho nie czuje, wątpliwość o ich potrzebie wzbudzają; tak np. znamionować każe *tylé, wielé*, wyłącza od tego *dwoje, troje*. Niepodobna, aby tych różnic nie czuł Kopczyński, a przynajmniej, aby się niemi z pism dawnych nie przejął, gdy o ich zachowanie na-

ród zaklina (*O Duchu Języka Polskiego*); lecz nie zważał na to, że iść należy za postępek czasu, który nie zawsze na szkodę działa, że język żyjący, nie zaś umarły doskonalić potrzeba, i że ten nigdyby się udoskonalić nie mógł, gdyby narodowi całemu narzucały indywidua albo prowincye, swoje szczególne własności mówienia.

Dotąd, względem króskowania téj głoski, panuje w ortografii niepewność, jedni idą za Kopczyńskim, inni całkiem znamiona opuszczają, inni radzą się samego ucha. Lecz ucho może nas mylić i różnić; naród cały uznał potrzebę tego znamienia, lubo w całości przepisów Kopczyńskiego nie przyjął, potrzeba więc stałych zasad wyczerpanych z dzisiejszój mowy polskiej.

Te mamy zebrane troskliwie przez Szwejkowskiego, już przez Deputacyą przyjęte, którym jednak według mnie zbywa na oznaczeniu przypadków, w których *e* lub *é* powinno być używane w miejscu *i* lub *y*. Wypuszczoną może została ta część dla tego, że należy więcej do grammatyki; lecz gdy ją Feliński w swoim późniejszym piśmie umieścił, Deputacya przemilczeć o niej nie może.

Można jednak przewidzieć, że te przepisy służyć tylko będą na czas ograniczony, szczególniey co do *e* ściśnionego. Zwyczaj bowiem nie ustaje go się pozbywać: a jak stopniowo *i*, *y*, przez *e* ściśnione zastępuje, tak wzajem *é* w wyrazach, w których dawno ustalone było,

na *e* otwarte zamienia. Oddawna nie razi nikogo, że *strzecha* od słowiańskiego *stricha* nazywamy przez *e* otwarte *strzecha*; nie razi i dziś, gdy mówimy *śmiem*, *umiem*, *lejce*, *lekarz* zamiast *śmiem*, *umiem*. Lecz są wyrazy na *é*, które się zupełnie do *i* skłaniają, i których według dzisiejszego ucha, w żaden sposób na *e* zmienić nie można, np. *kobiéta*, *sér*, *śmiéch*, *zjé*, *wié* i t. p.; na te szczególnież wyrazy względ mieć należy, i wypada zostawić im *é* pochylone, gdy już trudno do litery *i* lub *y* powracać. Gdzie zaś dla ucha obojętną jest rzeczą *e* ściśnione albo otwarte, lub gdzie pierwsze wyraźniej do *e* się skłania, tam byłbym za zostawieniem *e* otwartego, z powodu, iż ten ton jest piękniejszy, i że język ciągle do niego dąży.

Według mojego ucha, byłbym za przyjęciem wielu twierdzeń Szwejkowskiego, co do krótkowania litery *e*; na niektóre zgodzić się nie mogę: lecz gdy do tego samo tylko ucho mię skłania, czego przeto objaśnić nie umiem, wolę moje widzi-mi-się przemilcząć. Mam atoli jaśniejszą wątpliwość względem pisania *i*, *y*, lub *é*, w niektórych zakończeniach cechowych.

Co do liczby mnogiej osoby pierwszej w czasownikach *styszimy*, *widzimy*, pisarze poprawni nie są w zgodzie z mówiącymi, którzy wszędzie, jeżeli nie otwarte to ściśnione *e* wymawiają. Zbieg ten dwu sylلاب, mających dwa *i*, nie jest istotnie dla ucha przyjemny, przeto, że na jedną z nich przypada akcent; że jednak zbieg taki bardzo jest częsty w polskim języku

w różnych zakończeniach grammatycznych: *dziwi*, *cnotliwi*, *uszcześliwi*, *jedyny*, *przyczyny*, *syny*; godna uwagi, dla czego jedynie w powyższym przypadku zwyczaj nie stosuje się do grammatycznych przepisów. Pytania tego nie umiem rozstrzygnąć. Zdaje mi się tylko, iż tu wpływa ten sam powód, który wbrew powszechnemu prawidłu, w wyrazie *rzeczpospolita*, nie dozwala przedostatniej akcentować sylaby. Zakończenia *dziwi*, *cnotliwi*, *jedyny*, od najdawniejszych czasów stale są używane i być zmieniane nie mogły; przeciwnie, co do zakończeń *nosimy*, *dzielimy*, *dziwimy*, widać w dawnych pismach wahanie się między *e* lub *i*, *y*, przedostatniej sylaby. Później było *e* coraz powszechniejsze, i dziś najmniejsza liczba z ludzi starannie mówiących zachowuje pod tym względem przepisy grammatyki. W pisaniu nawet ta poprawność nie jest powszechną. Przeciwnie upowszechnione od Kopczyńskiego pisanie *mojEM*, *smutnEM*, zamiast od dawna i stale używanego *moIM*, *twoIM* (sercem), dziś zupełnie się ustaliło. Jestto jeden z dowodów, iż język naturalnie dąży ku piękniejszemu wyśłowieniu.

O zakończeniach cechowych EMI, IMI, YMI.

Podobnie co do zakończeń *emi*, *imi*, *y mi*, grammatycy dotąd się nie zgodzili pomiędzy sobą i ze zwyczajem narodowym.

Feliński wymienia cztery zdarzenia, w któ-

rych *emi*, również cztery, w których według niego *imi*, *yimi*, pisać należy. Nie mając nie przeciw zakończeniom na *e*, wspomnę tylko o ostatnich na *imi*, *yimi*, które pisać każe.

„1. Jeżeli zwierzęta, do których przymiotniki się odnoszą, położone są w przypadkach oznaczających wyraźnie rodzaj, ich męzki nieprzemieniony, np. *wilcy*, „z którymi, *tygrysi* lub *psi* byli tak „dzikimi.” Dodaje wprawdzie Feliński, iż sposób ten mówienia jest już zarzucony, lecz nie zapomina przestrogi: „*chyba, kiedy przez te zwierzęta rozumie my ludzi.*“

Ponieważ zwyczaj zarzucony, choćby i dobry, trudny jest do wskrzeszenia, za którym tu Feliński słusznie nie obstaje, uważmy więc tylko jego powyższe ostrzeżenie.

W jakichże zdarzeniach rozumiemy przez zwierzęta ludzi? Jeżeli poeta mówiąc przenośnie o okrutnikach, musi użyć zakończenia, *zajadli tygrysi*, nie *zajadłe tygrysy*; powinienby mówić *Żydzi są pijawcy Polski*, aby dał poznać, że tu mowa o Żydach mężczyznach; a nawet, takby powinien oznaczać przenośnie z rzeczy nieżywotnych: *tymi kolumnami* byli w senacie *Tarnowski* i *Kmita*. Jeżeli zaimek *tymi* ostrzegać ma, że nazwiska *Zajączkami*, *Wilczkami*, *Odyńcami*, nie co innego, tylko ludzi oznaczają, jakże o

tém ostrzeże, gdy mu te nazwiska bez zainików i przymiotników wspomnieć wypadnie? Jestto dziecinne usiłowanie, chcieć wynajdywać bogactwo i precyzją w formach języka, gdzie ich nie ma i nie potrzebuje. Języki najmniej urobione i najmniej bogate, mają często obfitość nazwisk i sposobów mówienia bez żadnej rzetelnej korzyści. Jestto tylko wybujałość, która z czasem ustąpić winna plonom użytecznym i onych uprawie. Wszak kiedy mówię: *Wilczek był odważnym, Odyniec wydał poezye*, nie zostawiam słuchacza w wątpliwości, czy nie mówię jakiej bajki Ezopa.

„2. Jeżeli mówimy o mężczyznach, używając imion chrzesnych, rodowych i urzędowych, np. *Wincentymi, Krasickimi, wojskimi*; albo używając wyrazu zbiorowego (*collectivum*), np. *bracia, księża z którymi*; jeśli nawet mówimy o mężczyźnie i kobiecie razem, np. *mąż i żona*, albo *rodzice byli przeciwnymi*.”

W żadnym z tych przypadków nie widzę potrzeby pisać *imi* czy w zajmkach, czy w przymiotnikach, czy nawet w samych rzeczownikach.

Rzeczowniki osobowe męskie (*ci Szujscy*) oznaczamy tylko w pierwszym przypadku liczby mnogiej; w następujących zaś przypadkach (wyjawszy piąty) tracą cechę rodzaju i mówimy bez różnicy tym *mężom, żonom, dzieciom*, a nawet *tym Zamojskim*, bez

względu czy tu mowa o samych braciach, czy o siostrach, czy też *collective* o mężu i żonie. Czyżto tak wiele język na dobitności zyska, że w tym jednym przypadku powiem *tymi Mirskimi*, dla oznaczenia mężczyzn, którą dogodność zaraz tracę, gdy mi wypada powiedzieć *tym Mirskim?* lub gdy mam mówić *Zabłockim*, czemuż nie *Zabłockimu*, *Zabłockigo*, jak często mówi pospólstwo? Nadto, mówiąc *tymi Mirskimi* nie zupełnie wyrażności myśli pomogę, gdyż przeto nie oznaczę jeszcze, czy mówię o samych tylko mężczyznach, czy też razem i o kobietach. Precyzja do połowy tylko doprowadzająca, nie jest precyzją. Jeżeli, powiem, jak zwyczajnie wszyscy Polacy mówią, *między temi Mirskimi nie ma, zgody*, po którymże Polaku śmiałybym wymagać, aby rozumiał, że tu mówię o samych kobietach, nie zaś o mężczyznach? lub gdyby nas od dzieciństwa do takiego rozumienia przyuczono, jak oznaczę, gdy przeciwnie mówiąc *tymi Mirskimi*, rozumiem przeto nie braci samych, ale braci i siostry, lub też małżeństwo?

To samo rozumie się i o przymiotnikach. Kiedy mówię *między czarnemi i białemi nie było żadnej zgody*, w ten czas to, co ten wyraz poprzedza, lub po nim następuje, ostrzega, czy mówię o ludziach, czy o baranach, czy tylko o samcach, lub samicach, lub *collective*.

Wreszcie co do samych nazwisk, dla czegoż tylko w kończących się na *ski* miałbym oznaczać płć męzką lub obojętną, gdy téj różnicy nie oddam w mnóstwie nazwisk innych mających tak rozmaite cechowe zakończenia, np. na *wicz*, nie wspominając urzędów, stanów i t. d. *Hetman*, *stolnik*, *pieczętarz*, które nawet w pierwszym przypadku liczby mnogiej nie mają zakończeń osobowych, np. *żołnierze*, *pieczętarze*. Wszak tu przynajmniej nie ma wątpliwości, czy o ludziach, i o jakiej płci mówię. Nie masz i w tém wielkiej precyzyi, gdy mówiąc zbiorowo o osobach, podciągam kobiety pod rodzaj męzki: *ci rodzice dobroczyńcy*; a mówiąc o całych narodach i ludach, znowu nie wiem podług jakiej precyzyi podciągać je muszę pod rodzaj żeński czyli obojętny: *te ludy*, *te narody*, a nie *ci ludowie*, *narodowie*; w innych zaś przypadkach nie rozróżniam dzikich narodów od dzikich gęsi, aż dopiero gdy mi przypadnie użyć zaimku lub przymiotnika: *tymi*, *dzikimi*.

„3. Jeżeli bogowie, aniołowie i ludzie mężczyźni, położeni są w przypadkach nawet obojętnych, z których nie można poznać, że przemienili swój rodzaj, np. *bogów sądził głuchymi*, z *panami ziemskimi w aniołach z którymi...*“

Wszak *Bog*, *anioł* i *ludzie* (mężczyźni), są w liczbie pojedynczej rodzaju męzkiego;

w mnogiej, prócz pierwszego przypadku, ulegają rodzajowi obojętnemu. Na cóż mi oznaczać, czy przemienili swój rodzaj? W liczbie mnogiej przemienić go musieli, lecz samo znaczenie wyrazów wskazuje mi ich rodzaj: na cóż mam sądzić *bogów głuchymi, boginie głuchemi, a Jowisza z Junoną także głuchymi?* na co mówić *którymi aniołami*, kiedy w liczbie pojedynczej nie wiemy o aniołach żeńskiego rodzaju, tak jak nie wiemy o ich płci w innych przypadkach liczby mnogiej. Wszak, bez względu na obojętność, dawni Polacy częściej niż terazniejsi kładli pierwszy przypadek liczby mnogiej w rodzaju obojętnym: *te anioły, te bogi, nawet, te ludzie, wodze.*

4. „Tem bardziej, jeśli położeni są w przypadkach, z których wyraźnie się pozna, że że męskiego rodzaju nie przemienili. „np. *samiż niebianie są tak srogimi; są to nieszczęśliwi, nie miałżebyś li- tości nad nimi?*“

Cóż mi po tém odróżnieniu w jednym przypadku, gdy w innych tworzy mi się ztąd zawikłanie: albowiem mówiąc *dajcie im pomoc, weźcie ich w opiekę*, już podług tego nie mówię z pewnością o samych mężczyznach.

Sam Feliński dodaje, że te jego przepisy przykro czytać, a tém bardziej pamiętać, lecz nie sądzi, aby od nich sumiennie uwolnić można.

„Rozróżnienia tego, mówi dalej Feliński, (które słusznie Kopczyński zalecił) znajdujemy ślady we wszystkich dawnych książkach polskich; byłoby to pozbawić nasz język jednej z jego zalet, to rozróżnianie zagubić. „Dodaje przecież,“ iż są przypadki, gdzie pisanie *emi* lub *imi* jest obojętne, a nawet że Albertrandy był temu rozróżnianiu przeciwny:”

Możnaby dodać, iż temu przeciwną jest większa część narodu, i nie znam żadnego Polaka, któryby te prawidła w mówieniu ściśle zachowywał. Na dawne książki polskie, trudno się i w tém zdarzeniu, jak w wielu innych, odwoływać; w nich hówiem ślady pisania *iwi*, *emi*, są bardzo obfędne, bo tam czytamy *te męże*, *ci wilkowie*, *człowiekowie*, nawet *ci narodowie*, *ludzie pobożne*, *wszystki rozkoszy*, *wszystkimi rozkoszami*, *ty osoby* i wiele podobnych. Właśnie późniejsi, aż do ustalenia się grammatyki Kopczyńskiego, dążyli w tym względzie do jednostajności i do piękniejszego wystowienia, i coraz więcej *imi* i *yimi* znikają. Kopczyński, chcąc tym zakończeniom stałe nadać prawidła, uniesiony mniemaném bogactwem języka, nadał niedostateczne, nie dość ugruntowane, tak de-lece, że zwolennicy jego źle go pojmując wnieśli z tego powodu błędy do polskiej ortografii.

Wielu dotąd wszelkie rzeczowniki rodzaju męzkiego nieosobowe z ich zaimkami i przy-

miotnikami piszą w tym przypadku przez *imi*, *ymi*: *tymi owocami* i t. p.; chociaż tak sami nigdy nie mówią (*). Feliński, któremu ortografia polska wiele jest winna, nie mógł nie czuć nietylko zawziętości tych przepisów, ale szkody jakie ich zachowanie harmonii języka przynieśćby mogło, np. *między tymi Kicińskimi, Ilińskimi* i t. p. Wstrzymywała Felińskiego powaga autora grammatyki narodowej, który w tém rozróżnieniu bogactwo języka upatrywał. Lecz gdyby i było bogactwem dziś zatraconém; już nieodkwitnie to, co kwitnąć przestało. Wszak liczba podwójna, odróżnienie przyimków *z* i *s* i wiele innych pięknych własności języka, są już ztratcone, i trudno je wskrzesić. Język, chociażby ciągle kształcony, traci jedne zalety nabywając innych. Chcąc go kształcić, nie ubiegajmy się za jego drobiazgowemi bogactwami, a raczej giętkości onego w naciąganiu do naszych uwidzeń, nie bierzmy za bogactwo. Nie miejmy na celu drobiazgowych i łudzących tylko zalet, lecz starajmy się o pewne i proste wyjaśnienie jego budowy, choćby z poświęceniem niektórych szczegółów. Tym sposobem język francuzki, tyle od naszego uboższy, stanął na najwyższym stopniu ukształcenia.

(*) Obacz pisma Siarczyńskiego i innych.

A. A.

Stały opór narodu przeciw *a* ściśnionemu, gruntowne wywody najlepszych pisarzy za tym oporem mówiące, szczególnie zaś zgoda jednomyślna Deputacyi w tej mierze, niepotrzebnymi czynią wszelkie dalsze uwagi przeciw temu wywołanemu znamieniu. Pod względem piękności wysłowienia, to tylko ważyć się dodać, że zwyczaj wykluczwszy to znamie z mowy i pisma, nie uczynił tego przez zaniedbanie lub uwidzenie, jak często bywa; ale w skutek postępu smaku i oglądzenia języka. Nie wiemy z pewnością, czém się różniło u dawnych Polaków *a* ściśnione i *a* otwarte, lecz jeżeli zwolennicy Kopczyńskiego ślad tejże różnicy w wymawianiu gminu w Wielkiej Polsce wskazują; przyznać muszą, że na zarzuceniu *a* ściśnionego język polski, przynajmniej pod względem pięknego wysłowienia, nie wiele stracił. Ton *a* piękniejszy jest od tonu *e*, tém bardziej od *o*, nakształt *u* lub *ą* wymawianego. Że dawni Polacy istotnie tak je wymawiali, możemy tego znaleźć wskazówki w rytmach, w niektórych wyrazach dawniej zupełnie przez *o* lub *ą* pisanych, tudzież w analogii obcych języków

Tak czytamy w Chrościńskim :

O naznaczony niech oprze KRONIEC
Aż będzie światłu i ciemności KONIEC.

Job.

Spuść ogień na ten ołtarz, niech go nie PODKŁADAM,
Tego znaku pawnego od ciebie POŻĄDAM.

Dyalog Abel.

I me wiersze że podle przeto są na końcu,
Naśladują przedniejszych pośledniejsi w toncu.

Wact. Pol. Jovial. 79.

Przepraszając, braterskie napomnienie PRZYDAM,
Obrzydłym i nikczemnym równając go ŻYDOM.

Tenże str. 153.

Kochanowski i Szymonowicz nigdy podobnie nierymują; musiało więc takie wymawianie być nie piękne już w tenczas, i tylko z nąłogu przez ludzi bez smaku używane. Często znajdujemy w dawnych pismach *koźdy* lub *kóźdy*, *mam*, *możno*, lub z cudzoziemskich do dziś pozostałe *strof*, *ład*, przejęte z wyrazów *Strofe*, *Land*.

Lubo w innych językach postrzegamy, iż *o* i *a* często mają między sobą związek, widzimy jednak, iż wszystkie starały się raczej utrzymać brzmienie *a* tam, gdzie wybór był wolny. Polski język nie rychło na to baczny być zaczął, i mamy wiele wyrazów, które już nie pisane przez *a* ściśnione, *o* na zawsze przybrały. Częściej on, niż inne słowiańskie języki *a* na *o* zamieniał: *plameń* (*flamma*), *ptomień*; *parucznik*, *wlast włość*, i wszystkie prawie złożone z przedimka *pa*, kilka wyjąwszy, *padół*, *parobek*; wszystkie z przedimkiem *roz*, a nawet cudzoziemskie: *arator* oraz, *Armenia* *Ormianie*, *latro totr*, *Al-*

*bert Olbrycht, Olech Alexander, obieca-
dło abecadło, i t. p.*

Lecz kiedy naród troskliwie zaradzał nieprzyjemnym tonom *u* tudzież *z*, wiedziony później tymże samym smakiem, zaczął zaglądać i *a* ściśnione, na czém w piękności mowy, wiele bardzo korzystał, i w tym właśnie czasie, kiedy *a* ściśnione upadało, zaczął czuć różnicę między *e* otwartém i *e* ściśnioném. A jak nie wróci do mówienia *muka, dub*, zamiast *męka, dąb*; *zwirz czyrwony*, zamiast *zwierz czerwony*; tak pewno nie zechce już mówić *Pon Jon*, zamiast *Pan Jan*. I Niemcy mieli kiedyś podobne *a* ściśnione, lecz zapewne nie będą już pisać np. *Odem* zamiast *Athem*, *Gloube* za *Glaube*, mimo że niektóre prowincye niemieckie, tak jeszcze wymawiać zwykły. Gdy nie było stałych przepisów języka, ani klasy towarzystwa smakiem nad inne górującej, usiłowano wszelkie różnice i odcienia wymawiania różnych prowincyj w piśmie wyrażać; i dla tego w drukach wielkopolskich i prowincyach pruskich najdłużej się *a* ściśnione utrzymało. Jérzy Szlag mówi w grammatyce swojej r. 1734, iż dopiero za jego czasów *a* kręślić przestano, a pierwsza książka tak drukowana, może jest r. 1728. W pół wieku zatém chciał ją wskrzesić Kopczyński, i po staraniach drugie pół wieku trwających, okazuje się, iż nie ma nadziei aby odżyła.

Kopczyński, ratując wszelkiemi sposo-

hami *a* i *e* ściśnione (tak jak dawniej przeciwnie otwarte ratowano); chciał przez akcenta oznaczyć słowa jednakie brzmienie a różne znaczenia mające np. *sám* (imię), *sam* (przysł), *Polska* (reczownik) i *polská* (rzymiotnik). Jeszcze w wielu XVIym i XVIIym układali grammatycy listy podobnych wyrazów, które później słusznie zarzucono. Mogą one mieć różne źródło, mogą się nawet odmiennie wymawiać; lecz to wszystko do odróżnienia ich w piśmie przez znamiona nie upoważnia. Pismo jest znakiem mowy, ale nie pojęć, a zatem nie może więcej wyobrażać jak sama mowa. Prawda np., że *lata* (*anni*) i *lata* (*volat*) inne mają źródło, że może inaczej nawet wymawiam jeden wyraz niż drugi, ale wymawianiem obudwu rządzi imaginacya nasza i czucie, rządzi wreszcie ciąg wyobrażeń, do których wchodzi, a te w żaden sposób nie dadzą się znakami ortograficznymi oznaczyć, chyba, żebyśmy chcieli każdy akcent oratoryczny, prędsze lub wolniejsze wymówienie jak w muzyce oznaczać.

Wtęc ani z tego względu *a* ściśnionego w dzisiejszej mowie polskiej usprawiedliwić nie można.

U.

Samogłoska *u*, jako najniższa i nie mogąca się pochylać, jako tём samém od spółgłosek nie zawista, ze wszystkich samogłosek

najmocniej ustalona jest w języku polskim. W początkach zamieniała się ze spółgłoską *w*, tak jak samogłoska najwyższa *i* ze spółgłoską *j*. Oddawana także w wielu bardzo wyrazach, w początkach odróżniania się dyalektu polskiego od słowiańszczyzny, zamieniana była na *a* lub *e*: *dąb*, *ręka*, i zamiana ta, dotąd ściśle jest odgraniczoną. Inne języki łagodzą *u* przez *i* lub *e*, w polskim jest raczej przez *a* i *e* wzmocnione. Na *o* ściśnione bywa także zmieniane, lecz zamiana ta zależy tylko od zbiegu pewnych spółgłosek, i *o* od tychże uwolnione, przestaje, być pochyloném; gdy przeciwnie zamiana na *e* lub *a* jest stałą i niezmienną. I tak, nie pisze się przez *u* żaden wyraz, który w zmianach grammatycznych *o* otwarte przybiera. Pod tym względem mała tylko liczba wyrazów nie ma w ortografii ustalenia, takimi są np. *półka*, *półk*, i od nich pochodzące. Linde przytacza, jakoby wyraz *putk*, miał jedno źródło z *Volk*, *populus*, z kroackim *puk*, (*plebs*, *vulgus*), odwołuje się nawet i do *patki*. Ja sędzę, że wyraz *półk*, spólny jest: *półka*, *potać*, *potec*, *ptec*, pochodzącym od *pół*, do których należy spólność i *pospólstwo*. Dawniej pisano *potek* i pod tém słowem Linde *putk*, mieścić. *Półk* znaczył rząd ludzi, jak *potać* rząd domów, albo jedną połowę.

Tłomok, Linde pisze przez *u*, wywodząc źródło jego pod słowem *tłumic*, wyraźniej jednak zdaje się pochodzić od *tło* *tłoczyć*; lubo

i *tłumić*, jest tylko wzmocnieniem słowa *tłoczyć*, przez głębsze *u*, jak *tłok* i *tłum*. Dawni Naruszewicz piszą *tłomok*.

Adelung i Wachler przypisują pochodzenie wyrazu *tłumacz* językowi słowiańskiemu, który, przynajmniej w języku polskim, nie zdaje mi się być rodowitym. Zkądkolwiek pochodzi, w wielu językach, przez Lindego i Adelunga przytoczonych, nie ma nigdzie *u*, wyjąwszy parę słowiańskich dyalektów skłonnych do téjże głoski. Polacy piszą go przez *u*, i *ó*. *O* ściśnione nie zdaje mi się właściwe. Rosyjanie i niektóre języki słowiańskie, piszą *tolk*, *tolki*; w germańskich *Dolmetscher*, i Sakowski w rozprawie o duszy, używa wyrazu *tolkować* zamiast *tłumaczyć*; nie byłoby przeciwne ani etymologii ani harmonii, pisać *tłomacz* lecz więcej upowszechniło się *tłumacz*.

Sądzę, iż reszta tu należących wyrazów, *kluć*, *klódka*, *plutno*, *klódka*, *klótnia*, *okrutny*, nie potrzebuje rozbioru; nadmienić tylko wypada, że wszelkie wyrazy z obcych języków, mające *u*, a mianowicie na *unek* zakończone, nie powinni się pisać przez *o* ściśnione: *grunt*, *gatunek*, *frasunek*; wyrazy zaś polskie, zawsze mają *o* otwarte: *korzonek*, *trzonek*. Nowsi pisarze używają powszechniej *nota* (znak muzyczny) zamiast dawnego *nóta*, *nócić*. Ten tylko jeden jest wyraz na *o* ściśnione w słowniku Knapskiego, który je każe wyrażać (*vasto quasi o*) *nouçe*. Sądzę, że tak zwane znaki pismienne mowy

lub muzyki, pisane być powinny według obcych: *noty, nota*; ale śpiewanie bez słów, jako wyraz polski: *nuta, nucić*, przez u pisać należy.

Proba, wyraz obcy, przez o się pisze.

Nie widzę słusznego powodu pisać *struna* (muzyczna) za *strona* i t. d.

A, Ę.

Używaniem tych samogłosek, różni się język polski od wszystkich dyalektów słowiańskich. „Im więcej, mówi Mroziński, system spółgłoskowy Polacy doskonalili, tém niedostateczniejszemi głosami dla mechanizmu polskiego języka stawały się samogłoski. Zamieniając samogłoski nienosowe, na nosowe zbliżono je do brzmień artykułowanych, nadano im więc w systemacie spółgłoskowym większą wartość, a tém samém zrobiono z nich znaki zdolniejsze do wyrażenia grammatycznych odmian: *żonę, mówię, twoją, boją.*“

Samogłoski te pod względem harmonii są ważne, jako nadające wystowieniu pewną energią i dobitność. Jeżeli przeciągiemu śpiewowi sprzyjać nie mogą, pożądane są zato w recitativach i deklamacyi. Jak już wiadomo, Polacy najpowszechniej słowiańskie *u* na *a* lub *ę* zmieniają, lecz zmieniają je także na inne samogłoski, na czém najpowszechniej moc wyrażenia zyskuje. Piękniej mówię, *sąd* niż *sud*, *dąb* niż *dub*, *mężę* niż *mużę*, *męstwo* niż

mużność, głab' niż hlub; a nawet piękniej nieszczęsny zamiast nieszczęstny, dzięki zamiast dieki, poglądać, niż pohledat.

Dodać tu jednak należy uwagę, że samogłoska *ę* na końcu wyrazów więcej-syllabnych, szczególnież zaś czasowników, nie brzmi przyjemnie, dla tego najczęściej wymawiamy ją albo bardzo krótko, lub usuwamy brzmienie nosowe; przyczynę tego wytłumaczył Mroziński str. 292 (*). Niektórzy, mianowicie zaś aktorowie, chcąc się niewolniczo do pisma stosować, przedłużają *ę* w wyrazach, np. *czuję, truję, mówię*, i t. d. Gdy *ę* w tych przypadkach jest w piśmie nieodzowne, przepisem deklamacyi być powinno, ażeby na tę głoskę nie kłaść akcentu oratorycznego.

Obie te głoski zamieniają się z sobą: *ręka, rąk, zręczny, rączy, ciąt, cięli, miąszy, mięso, chcę, cheą*, i nie masz żadnego dowodu, czyli *ą* od *a*, *ę* od *e* pochodzi, gdyż same tylko postaci liter ślad tego wskazują.

Nieprzyjaciele samogłosek nosowych chcieli je w środku wyrazów zastąpić przez odpowiadające brzmienie *on, om, en, em*, zostawiając je atoli na końcu wyrazów, gdzie cechy grammatyczne oznaczają. Tym sposobem ani się grammatyce, ani ortografii przysłużyli, a nie miłemu w ich uszach wymawianiu *ą, ę*

(*) Odpowiedź na Recenzję.

zapobiedz nie mogli: nikt bowiem nie zechce mówić *nieszczensny, klenska*, ani też nosowego brzmienia nie uniknie mówiąc, *porzondny majontek* i t. d. Niepodobna, by przy tém było dobrze wymawiać *bondźcie, rzondźcie*. Wreszcie, co innego jest brzmienie *on* francuzkie, a co innego polskie *a*, jak to czuć można np. w wyrazach *sonder, sądzić; sont, są; cinq* (*pięć*), *sęk* na drzewie co innego nawet niemieckie *ung, ank*, gdy nawet Polacy przejmując niektóre słowa niemieckie, nie zostawili im tego brzmienia, lecz woleli je łagodzić przez *e* eufoniczne: *Gattung gatunek, Trank trunek, Rettung ratunek* i t. p. Świadczą jeszcze dawni grammatycy, że Niemcy drukarze w Polsce, nie pojmując brzmienia *a, ę*, oznaczali je przez *am, an, em, en*, czego ślady są w dawnych drukach. Ztąd powstał błąd nie znających grammatyki, dotąd nie znikły, pisania nawet *ręka, klenska*.

Twardowski ma rym następujący:

*To przed świat niem do jej okna pukam,
To jej też czasem chciałem zażyć sztukam.*

Twierdzenie Lindego, że *m* i *n* tkwią w głoskach *a* i *ę*: *jąć, miąć, jeństwo, jeniec*, zdaje się popierać zwyczaj Polaków nie piszących ortograficznie, którzy często piszą *majontek, sprzenty* i t. p. To twierdzenie służy tylko niektórym wyrazom mającym istotnie za źródło *j*, lecz tego nie można powiedzieć

o słowach *zacząć*, *mąka dzięki* i t. d. Po spółstwo kładzie często przy *a* lub *e* spółgłoskę *n*, lecz w tenczas, zamienia tylko spółgłoskę *l* na *n*: *wzięni*, *ścięni*, za *wzięli*, *ścięli*.

Ponieważ pisania *om*, *on*, *em*, *en*, zamiast *a*, *e*, naród wcale nie przyjął, i tylko parę pisarzów z przekonania, a czasem, nieumiejętni w ortografii, tak piszą, nie zachodzi już żaden spór o te litery w ortografii, prócz niektórych przypadków. Względem zakończeń *plemie*, *siemie*, już Deputacya się zgodziła. Niektórzy piszą *mieszkanie*, *szczeny*, i t. p. bynajmniej przeto nie czyniąc wyrazu więcej dobitnym lub pięknym.

B', F', M', P', W'.

Mimo że grammatycy mają słuszne powody znamionowania tych spółgłosek przez (') na końcu wyrazów, mimo że ślady tych znamion są w dawnych drukach polskich; jednakże, oprócz dzieł o języku mówiących, nie ma przykładu, aby wydawcy i drukarze najstaranniejsi, stale te znamiona zachowywali. Rzadko także słyszymy, aby mówiący te zmiękczenia czynili, szczególnie w mowach uroczystych, w którychby istotnie być słyszane nie mogły. Jedni ograniczają je tylko do rzeczowników (*ołów'*), inni dodają tryby rozkazujące liczby pojedynczej (*traf'*), inni jeszcze też tryby w liczbie mnogiej (*karm'my*).

Polacy nie mając stałych znaków miękczących jak inni Słowianie, którzy łacińskich liter nie przyjęli, miękczą spółgłoski przez znamię ('), przez *i*, przez *z* i *ż*, nie licząc zupełnej zmiany litery, np. *g* na *ż*, *t* na *ć*, które już do ortografii nie należą.

Znamię (') służy właściwie głoskom *ć*, *dź*, *ń*: *ś*, *ź*, które równie jak *l*, tak w środku jak na końcu wyrazów, z łatwością wymówione być mogą; które istotnie brzmienie spółgłoski w miękkie zmieniają i pewne trwanie mieć mogą; z tego powodu kładzie się to znamię nad spółgłoskami, gdy stoją przed innymi spółgłoskami lub na końcu wyrazów: *pański*, *pień*, *cień*, *ślub*, *dość*.

Znamię *i* służy właściwie tym spółgłoskom, które się w istocie same nie miękczą, lecz tylko przybierają miękkie brzmienie przez łączenie się z należącą do nich samogłoską; takimi są *b*, *f*, *m*, *p*, tudzież *g* i *k*, któreto ostatnie, nigdy się na końcu słowa nie miękczą. Używane jest przecież w środku wyrazów do wszystkich brzmień miętko na samogłoskę spływających, to jest, nie tylko do *b*, *f*, *m*, *p*, *g*, *k*, lecz i do tych, które przed spółgłoskami lub na końcu słowa się miękczą, to jest, do *ć*, *dź*, *ń*, *ś*, *ź*.

Ponieważ to znamię ma postać tę samą co samogłoska *i* (*sita*), przeto nie może się mieścić na końcu słowa, gdyż w ten czas mogłoby być brane za osobną sylabę, np. *przyjazInI* (*przyjaziń*), *drobI* (*drob'*); z tegoż powodu

nie mieści się równie w środku wyrazów przed spółgłoskami *dź, n, ś, ź*, które same przez się miękko brzmieć mogą. Wyrzuca się jedno lub drugie znamię zupełnie, gdy ma przypadać na samogłoskę *i*, która sama przez się, miękcy wszystkie spółgłoski na nią spływające: *nas-i (nasi)*.

To znamię tak często przypadające, mogące się mylnie brać za samogłoskę albo za jotę, gdyż téj tak długo nie odróżniano w piśmie, miało swoich nieprzyjaciół, którzy od dawna radzili używać do wszelkich zmiękczeń tylko jednego znamienia ('); lecz to aniby oszczędziło czasu w pisaniu, aniby druku nie ozdobiło, i bychy mogło powodem do częstych myłek ortograficznych, od których znamię, ciągnące się razem z innymi literami w pisaniu, łatwo uchrania. Lecz nadto był mojem zdaniem inny powód do miękczenia przez *i* wszystkich brzmień spływających na samogłoski. Głoski *b, f, m, p, w*, a bardziej jeszcze *g, k*, jako wargowe niepełne, nie mogły przyjąć znamienia ('); gdyż istotnie stapiają się z samogłoskami za pośrednictwem *i*, i nie miękczą się same, lecz tylko to brzmienie przybięrają. Brzmienie to jest łatwe, dobitne i dla ucha przyjemne. Dlatego może przybięrają znamię *i* te nawet spółgłoski, które się na końcu słowa albo przed spółgłoską, przez (') zmiękczają. Istotnie, nietylko cudzoziemiec, ale i Polak mniej dobitnie i miękko wymawiałby słowa: *śm'ech, dzelność, pow'etrze,*

śp'ew, gdyby przez znak *z* nie był naprowadzony na brzmienie pełniejsze.

Utrzymała się więc zasada, że znamię *z* miękczy spółgłoski przed samogłoskami, znamię, zaś () przed spółgłoskami i na końcu wyrazów.

Na końcu wyrazów brzmienie *c*, *dz*, *n*, *s*, *z*, miękkie przez się, łatwo się wymawia, nie potrzebując do pomocy brzmienia *z*: *spowiedź odnieś, cień, postać*; dla tego miękczenie to każdy piszący i mówiący zachowuje. Brzmienia wargowe i zębowe, *b'*, *f'*, *m'*, *p'*, *w'*, które się nigdy przed spółgłoską nie miękczą, i w środku wyrazów przez *z* znamionowane być muszą, musiały doznać wyjątku, i przyjąc na końcu wyrazów, znamię sobie niewłaściwe (.), i o te zachodzi niezgoda między grammatykami a publicznością. Wymawianie tych brzmień bez samogłosek trudne jest dla narzędzi mowy, potrzeba się albowiem silić na wydanie półtonu *z*, a strzedz się, aby nie utworzyć samogłoski, czyli całej sylaby; albo, po przedłużeniu samogłoski poprzedzającej, tak potrzeba ton spuścić na spółgłoskę, ażeby wymówić coś pośredniego między *p*, *m*, a *pie*, *mie*, przez co zmuszeni jesteśmy ostatnią głoskę cicho wymówić *karm'*, *paw'*, *drop'*.

W pierwszym razie wystowienie jest trudne i nienaturalne, w drugim niedokładne, zwłaszcza w deklamacyi. Dla podobnej może

przyczyny zbieg głoski podniebiennéj nieodbitéj z odbitą, gdy na samogłoskę nie spływiają, nie jest korzystny dla deklamacyi, tém bardziej dla śpiewu, i w nich powszechnie słabiejają lub zupełnie nikną, np *bojaźń, kaźń, przyjaźń*.

Ta trudność tém więcéj czuć się daje, gdy się na tych słowach sens nie zakończy, a zakończenie takie bardzo jest rzadkie, jako harmonii polskiego języka przeciwne, np *Go-tąb' siwy karm' z pieszczonéj ręki odbiera. Albo traf' w ten cel, lub traf' ją w skrzydło*. Widoczniejsza jeszcze zachodzi trudność, jeżeli podług pozgonnéj grammatyki Kopczyńskiego i jego zwolenników, wypadnie podobnie miękczać słowa *tam' my, tam' cie, tap' my, tap' cie*. W ten czas nietylko uczący się języka, ale i dobrze mówiący Polak, albo zrobi z tych wyrazów miarę— — (*amphimacer*); albo wcale przejdzie na *tapimy, ta, picie*; albo musi ustami naśladować szybkość błyskawicy, jeżeli zechce sumiennie tak wymawiać jak pisze; i musi łapać istotnie brzmienie *i*, skoro go tylko z ust wypuści, aby nie miało czasu wzrosć w samogłoskę.

Według Kopczyńskiego, tak się powinny miękczyć: 1) Rzeczowniki, które się przed zakończeniem 2go przypadku miętko wymawiają: *paw', pawia*. 2) Tryby rozkazujące słów, które się w trzeciej osobie czasu teraźniejszego lub przyszłego na *i* kończyły, lub

przed zakończeniem téj osoby miękką spółgłoskę miały: *robi rób', tamie tam', rob' my, tam' my,*

Gdybyśmy chcieli przez zakończenia oznaczać formy, lub rodzaje rzeczowników, musielibyśmy wiele jeszcze znamion przyczynić. Nic ze znamion ortograficznych dowiem się np. dla czego *teść i treść, olej i kolej, sień i cień, kłoc i noc*, do różnych rodzajów należą: dla czego *smak smaku, rak raka, krzyż krzyża, ryż ryżu, las lasu, pas pasa.* i t. p. Co do miękczenia trybów rozkazujących, miękczenie głosek końcowych przeciw naturze mowy, chyba przez wzgląd na dwuznaczność usprawiedliwiłoby można, ażeby rozróżnić *traf* od *traf'*, *staw* od *staw'*; lecz podobne wypadki grammatyki, a tém mniej ortografii, zatrudniać nie mogą; do stylu bowiem należy, aby takie wyrazy dwóznacznie rozumiane nie były: nie ma różnicy między czasownikiem a rzeczownikiem *bój bój, rój rój, zakrój zakroj*, nigdy przecież zrozumienia nie mylą: rozróżnianie podobnych wyrazów za pomocą ortografii, już od dawna słusznie jest zarzucone we wszystkich językach.

Z tych powodów byłbym za zupełnem zniesieniem znamion (') nad *b', f', m', p', w'*, mianowicie, że te w środku wyrazów nigdy się tym znakiem nie miękczą, a właściwego sobie znaku *z* na końcu wyrazów przyjąć nie mogą bez wyjątku w przepisach ortograficznych, i

i bez utrudzenia wywowy; że tych miękceń nikt prawie w mówieniu, a mało kto w pisaniu zachowuje; że pismo szpecą i do myłek prowadzą, co jest własnością wszystkich akcentów (*).

C, Ć, CZ.

Względem pisania *c* lub *cz* w kilku tylko wyrazach nie masz jeduostajności.

Królewicz, królewic. Język polski bogaty w cechowe zakończenia nazwisk osobowych, podług rodu, stanu, własności, zatrudnienia, a nawet przymiotów, nadaje cechowe zakończenie *wicz* od nazwiska ojca, które nie miało innego zakończenia względ oznaczającego. Zakończenie *ie* pochodzi zapewne od urzędu ojca, jak *sędzic, kasztelanic, starościc*, wyjąwszy takie urzędy i dostojenstwa, które mają już swoje względne zakończenia, np. *stolnik, pieczętarz*. Według tego pisacby należało *królewic* nie *królewicz*, bo *król* jest dostojnością nie imieniem własnym. Przymiot *wicz* nie oznacza już syna, ale potomka jednego nazwiska, rodu, tak jak *ski* dziedzica

(*) Kopczyński sam miał trudność dać znać przyzwoite literze *f*, dla tego że jej postać jest długą; radzi przeto w grammatyce pozgonnej dawać jej znać z prawego boku, co by znowu było wyjątkiem.

jakowej ziemi. Lecz królowie zowią się tylko podług imion chrzesnych, a ich następcy jednego imienia, nie przybięrają nazwisk cechowych *wicz*, ale liczbę: *Zygmunt I y, II gi*. Synom zaś królów pozostaje nazwisko *królewicz*, oznaczające ich dostojność i zastępujące nazwisko. Przy tém, gdy podług innych dostojęństw, córki zowią się *kasztelanki*, *sędzianki*, córki królów zowią się *królewnami* jakby od imienia *Piotrównami*, *Chodkiewiczównami*. Zatem król, spólne jest imionom własnym, i na synów królewskich spływają zaszczyty i przywileje, tak jak na dziedziców imienia *wiczów*, spływa zaszczyt szlachectwa.

Brzmienie *królewicz* jest powszechnie przyjęte, jako harmonijne, i ci, którzy tak dotąd piszą i wymawiają, chcą tylko okazać, że stare kroniki czytali. Nadto ze zmianą zwyczajów narodowych, gdy synowie według urzędów już nie są nazywani, zakończenie na *ie* ten wzgląd oznaczające, coraz się bardziej zacierać będzie; mamy jeszcze wojewodów, nie mamy już *wojewodzców*, tak, jak nie mamy *podczaszyców*, a tém bardziej godności nowych: *generałowiczów*, *dyrektorowiczów*, *ministrzanek*.

Zakończenie nazwiska Polski na *sce*, w *Polsce*, *Polsce*, gorliwie niegdyś zalecane, nie ma za sobą żadnej pewnej grammatycznej zasady, tak jak jój nie ma pisanie *w Polsce*, *Polszcze*, i nie masz wyrazu, w którymby te

przypadki kończyły się na *szcze*. Nie można także brać tu analogii z wyrazów *matka*, *tatka*, *pułka*, *kostka*, gdyż w tych wszystkich *k* jest zakończeniem oznaczającym zdrobniałość: *macierz*, *tata*, *poła*, *polica*, *kość*, co do *Polska* w żaden sposób zastosować się nie da. Taką nawet analogią przyjmując wypadałoby mieć wzgląd na drugą bliższą, i pisać *polscyżna*, *spolscony*, co przecież wystowienia nie mogłoby upięknąć. Nie mając pewności czy *Polska* od *pola* czy od *Lecha* pochodzi, czy *sku* jest zakończeniem własności, jak *ziemia podolska*, czy wreszcie jest *collectivum* zgrubiałem *Polska* jak *bagniska*, nie można żadnej ustanowić zasady w przypadkowaniu tego wyrazu. Zgadzać się, że *Polska* jest przymiotnikiem oznaczającym uależność, każącym się domyślać rzeczownika *ziemia*, *dziędzina*, należałoby pisać i mówić te przypadki *w polskiej*, *polskiej*, jak dawni czynili, jak czynimy w imionach własnych kobiet. „Lecz gdy „zwyczaj przemógł (mówi Bobusz), piszmyż „tak, jak wszyscy piszą: *w Polsce*: a jeśli „excepcją robim dla Włochów, Niemców, Węgrów, i przypadkując ich w liczbie mnogiej, „nie mówimy dla analogii we *Włochach*, w „*Niemcach*, ale we *Włoszech*, w *Niemczech*; „zróbmyż i dla tego imienia od powszechniej „reguły excepcją.“ Zakończenie to, w piśmie wydaje się twardem, ale w mówieniu łagodniejsze jest od ostro syczącego *sce*. Tém gorsze jest do wymówienia, jak niektórzy pośle-

dnicy pisali, *Polszce* lub *w polszce*; w zbiegu nawet miękkiej spółgłoski przy dwóch sadzonych, nie podobna tak łatwo wymówić *Pol-ska*, *Polszce*, jak *flaszka*, *flaszce*.

Czucić piszą niektórzy zamiast *cucić*, pobudzać do czucia, orzeźwiać, które przecież tak zostawić potrzeba, jako mające swoje pochodnie: *ocknąć się*, *ocknienie* (*czucie*, *tkliwość*, *ciężkość*, *tykanie*).

Czuch i *cuch*, biorą niektórzy za jedno, co rozróżnić należy: *cuch*, *cuchnienie*, jest smród zgnilizny, *czuch* wietrzenie psa.

Kacper pisze wielu niepotrzebnie zamiast gładszego *Kasper*; w małej liczbie wyrazów, zaczęto później zmieniać *c* na *s*, np. *ptastwo* dawniej pisane przez *ptactwo*. W potocznej mowie Polak skłonny jest zmieniać *c* na *s* przed zakończeniem *two*, już to dla gładszego wystąpienia, już przez nałóg do większej liczby zakończeń na *stwo*. *Robactwo*, *prostactwo*, *świadectwo*, czego jednak unikać należy. Powszechnie piszemy *ptastwo*, zamiast dawnego *ptactwo*, co można tém uprawiedliwić, iż w pochodnich tego wyrazu *k* na *s* się zmienia, *ptasi* *ptaszyna*, i t. p., co w innych wyrazach na *ak* zakończonych nie zachodzi.

DZ, D, Ć.

Prócz zakończeń trybu bezokolicznego, względem których już się Deputacya zgodziła.

nie masz względem brzmienia *dź* i *ć* żadnego sporu.

Nieprzyjemne, a z wyrzutni wynikające *dźgać*, czy *dźgać*, od *podżęgać*, *dożęgać* nie powinno mieć miejsca w języku. Wyraz ten bez przedimka przez *z* być pisany powinien.

F.

Brzmienie *f* nie słowiańskie weszło w rząd polskich z wyrazami obcemi. Polacy dążąc do tego, aby tak pisać jak się mówi, w późniejszych dopiero czasach zaczęli pisać przez *f*, tak jak Włochy, wyrazy przyswojone: *fizyka*, *fenomen*, które się przez *ph* piszą w innych językach. Słowianie używają często brzmienia *p* w wyrazach spólnych obcym za *f*, np. *plomień flamen*, *fluo płynę*, *fleo płaczę*, *flatus płowy*.

Nie mogą cudzoziemcy, a tém bardziej nasi grammatycy, mieć nam za złe, że obce wyrazy staramy się w piśmie do wymawiania naszego stosować. Inne języki, mogą zachować litery języka, z którego biorą wyrazy, bo ich nie zmieniają na końcu, a przynajmniej zakończeń swoich nie miękczą jak my, ani stwardzają. Moglibyśmy równie jak oni pisać np. *Voltaire*, *Rousseau*; ale trudno dać tu zakończenia w dalszych przypadkach, np. *Rousseau* — *a*; moglibyśmy pisać *Physica*, ale tu prawie wszystkie litery inaczéj się wymawiają w naszym języku. Nie wiele przeto zaradzimy, pi-

sząc np. *Philosoph*, *Caesar*, gdzie i s jak nasze z wymawiamy.

W niektóre wyrazy prawdziwie polskie wkradła się litera *f* w środku mieszczona, z powodu że miękkie *w* trudne jest do wymówienia po głosce mocnej, dlatego mówimy właściwie *kf.at*, *sfut*, *sfor*. Lecz pisanie *f* w tym przypadku utrzymało się tylko w wyrazach: *obfitość*, *sforność* i od nich pochodzących.

Dawni pisali równie *obfitość* jak *okwitość*. Wyraz *okwitość* przyjemny równie dla ucha, mający polskie znaczenie, mówiący do imaginacyi, jako przenośnia od *kwiatu*, miećby powinien pierwszeństwo przed *obfitością*, która mając oznaczać pełność, jest tylko czczym i przez ugodę przyjętym wyrazem: dlatego chcą niektórzy dawniejsze *okwitość* przywrócić. Jednakże to pochodzenie bardzo jest wątpliwe, gdyż w żadnym słowiańskim języku podobnego źródła w tym wyrazie nie widać. Podobniej do prawdy, że źródłem jego jest *wit*, wyraz w słowiańszczyźnie bardzo ważny i rozgałęziony, a mający niezawodnie związek z polskim *sowity*, na co naprowadzają wyrazy *wić*, *wie-niec*. To przypuściwszy, wypadaloby pisać *obwitość*, gdyż tu zbieg spółgłosek nie każe stwardzać *w* na *f*, równie jak w wyrazach *obdarzyć*, *obdzielić*, *obwieścić*, *obwinać*; w analogicznym wyrazie *od-wierać*, raczej dla dobitniejszego brzmienia, *d* zamienia się na *t*, aniżeli źródłowy wyraz *w* na *f* (*otwierać*, *odfierać*). Lecz zwyczaj ma zawsze swoje

przyczyny. Nie mogło pozostać dawne *okwitość*, *okwity*, z powodu że od tych pochodzące mają swoje oddzielne zakończenia, *okwitły*, *okwitający*, *okwitniony*, *kwitnienie*, *rozkwitanie*, czego nie mają wcale wyrazy pochodzące od *obfitość*, imają wzajem swoje osobne a potrzebne: *obfity*, *obficie*, *obfitować*, *obfitujący*, tak, że naciągniony wyraz *okwicie* i t. d. nie będzie miał znaczenia jakie ma *obficie* i t. d.

Równie niedogodnościom podlegałby wyraz *obwitość*, *obwity*, który prawda więcej odpowiada *obfitości*, lecz pociąga za sobą dwuznaczność *obwicie* i t. d. Dlatego zapewne przyjęty był wyraz *obfitość*, chociaż na literze źródłowej cudzoziemczyzną oznaczony, i przeciw temu zwyczajowi walczyć nie należy.

Sfora (*zwora*), *sforzeń*, *sforność* i t. d. pochodzą od ważnego źródłosłowa *wor* z którym przedimki zupełnie się zrosły, *stwor*, *twór* i t. d. Gdybyśmy zachowywali równie między przedimkami *z* i *s*, łatwoby było stałe pisanie tych wyrazów oznaczyć. Linde, idąc za dawnymi pismami, kładzie *swora sworność*, bez względu na następstwa głosek, jak piszemy dotąd *swar*, *swój*, co by przyjąć należało. *Sforność* dawni pisali *stwarność*, *wytwarność*, potem przez wysunięcie *t*, *w* na *f*, zmienić się musiało. Czyli ten wyraz tak zostawić, czyli mu przywrócić *t* nie zbyt twarde, rozstrzygać nie śmiem; lecz wnosząc, że *t* weszło u dawnych tylko dla następstwa głoski *w* po *s*, i tę niemal przysługę czyniło, co zamienia *w* na *f*,

że zatem oznacza z(wor)ność, sworność, zgodę, jak roztworzyć; byłbym za wyrzuceniem *f* i pisaniem sworność.

G.

G w polskim języku przed spółgłoskami i samogłoskami brzmi twardo, przed samogłoską *e* lub *i* w polskich wyrazach brzmi jak zmiękczone: *giermek*; *giętki*, *ogień*, *gibki*, *ginę*, tudzież w niektórych przyswojonych: *Gierwazy*, *Giertruda*. Zachodzi więc trudność co do obcych wyrażen, w których *g* przed *e*, a czasem przed *i*, jak *j* wymawiamy: *generał*, *logika*; czasem także brzmi zupełnie po polsku: *teologia teologiem*. Grammatykom najtrudniej stanowią przepisy co do obcych wyrazów. Mówią powszechnie, że wyrazy już w polskim języku utarte i niejako przyswojone, pisać należy według ortografii polskiej, a mniej przyswojone, według ortografii języka, z którego są przejęte. Przepis ten jest prawie żadnym, i służyć może chyba na krótki przeciąg czasu; bo wyrazy obce z nowymi wyobrażeniami od obcych przejętymi, mogą się za rok, za dwa, zupełnie przyswoić, i gdy przed czasem pisano *Voltaire*, *Rousseau*, *Schakespear*, dziś piszemy te nazwiska po polsku: tym więc sposobem nigdy nie będziemy mieli w piśmie jednostajności, bo trudno na-

znaczyć, kiedy nowy wyraz obcy prawo obywatelstwa zyskać może.

Lecz gdy ten przedmiot mojemu zadaniu jest obcym, i wyżej, na k. 164, przez Bentkowskiego był już rozbieranym, wspomnę tylko pod względem gładkości wystowienia, że proponowane przez Felińskiego pisanie obcych wyrazów na *ge* przez *gie*, odpowiadałoby prawdą brzmieniu polskiemu, lecz nie byłoby pięknym, i nikt nie mówi *gienerał*, *gienealogia*, ale *jenerał*, *jenealogia*, *jeometrya*: właściwiejby więc było pisać te wyrazy tak jak się piszą w obcych językach przez *g*. Chociaż bowiem wielu pisze *jenerał*, i każdy *ge* jak *je* wymawia, to jednak przyjąwszy, byłaby niejednostajność, w pisaniu téj sylaby w środku wyrazów, np. *algebra*, *loika*, tudzież *genealogia*, *psychologia* i t. d. Przyzwoiciéj więc pozostać stale przy literze *g* zwłaszcza, że wszystkie wyrazy tu należące są takie, iż nigdy nie będą mogły wejść w rząd spolszczonych, jak np. *biskup msza nieszpór* i t. p.; zawsze więc jako obce pozostać muszą. Tu należy tylko jeden wyjątek *anioł* któryto wyraz wszystkie języki po swojemu piszą i wymawiają, i który u nas, równie jak powyższe, do przyswojonych należy.

Język polski zmieniając słowiańskie *je* i *h* na *g*, łagodzi często *k* na *g*, np. *gwoli grzeczny*, *granica*, *wgnięcie*, *miganie* i t. d.;

w podobnych wyrazach nie zachodzi już żadna wątpliwość grammatyczna, wyjąwszy *zgon*, które Trębecki, a za nim i inni chcą wyłącznie przerobić na *skon*, z powodu że ten wyraz ma swoje wspólne *konąć, kończyć* i t. d. W dawnych pismach nie ma śladu, kiedy *skon* przemienił się na *zgon*, lecz owszem obadwa te wyrazy wspólnie używane były, aż później *skon* zupełnie przez *zgon* zastąpiony został, i ze *skonu* pozostały tylko jego pochodne, jak tyłu innych zatraconych wyrazów, np. *um, leg* i t. p. Sądzę iż obadwa te wyrazy mają oddzielne źródło i należą do blizkoznacznych. *Zgon* od *gon*, spólne jest pojęciu *zgonienie*; odpowiada greckiemu *agon, gonitwy, zapasy, zkad agonia, konanie, zagony, gony* w dawnej polszczyźnie bitwy, turnieje. Wyraz *zgon* przystoi raczej rycerzom na polu walki, *gonitw* umierającym. W poważnym stylu, używamy tego wyrazu powszechnie za *śmierć*, i mało kto używa go do śmierci pospolitego człowieka, tém mniej pospolitej kobiety lub dziecięcia. *Konanie* ma wcale inne znaczenie. Szczególniej pochodne od obudwu wyrazów wcale są inne: od *kon* mamy *konąć, konanie, konający*, których *zgon*, nie ma; od *zgon* mamy *dozgonny, pozgonny*, które od *konu* wyprowadzić się nie dadzą. Przeto byłbym za utrzymaniem słowa *zgon*, a *skon* pozostaje tylko w swoich pochodnich, lubo w stylu poetycznym, zamiastat *skonanie, śmierć*, używany być może. Taką różnicę uważał za-

pewne w obudwu tych wyrazach Trembecki, który mówi:

Umić przez twe staranie Polak już nie ciemny,
Zgon przekładać chwalebny nad żywot nieczemny.

List do St. Augusta.

Gdy ciał naszych budowla niszczejąca zwolna,
Niebieskiego brać ognia już nie będzie zdolna,
Znać to zwykliśmy *skonem*.

Zofiówka.

L, Ł.

Głoska *ł* niesłusznie za tatarską uważana, jest przyrodzoną językowi polskiemu i dla niego niezbędną. Górnicki radził ją pisać przez *ll* nawet na początku wyrazu *łaska* (łaska). Myśl tę podała mu zapewne pisownia niemiecka. Gdybyśmy, jak Niemcy w niektórych prowincjach, brzmienie nasze *ł*, jak podwójne *ll* wymawiali, np. *gestallt* byłoby to jeszcze twardej. Takiego brzmienia na początku wyrazu wymówić nie podobna; w środku, zmieniłoby się właściwie wymawianie na *kollatać*, *kllamacć*, na końcu zaś, musiałoby zmienić ton samogłosek, *podziall*, *dall*, *zakall*. Nadto, pociągnęłoby za sobą ważne niedogodności w odmianach grammatycznych, szczególnież co do samogłoski *y*, np. *był*, *bił*, *caty*, *cali*.

Wnoszą jeszcze niektórzy grammatycy dzi-

siejsi, ażeby przywrócić miękczenie głoski *l*, na wzór pism najdawniejszych polskich, w których czytamy *lias*, *liud*, o czem i Stojęński nadmienia. Wymawiają i dziś niektórzy *Po-liésie*, *liedwo*, *linby*. Brzmienie to jest jedno z najpiękniejszych; jednakże jak tyle innych brzmień w piśmie być wyrażone nie może, i od połowy XVIgo wieku już w drukach zupełnie znikło.

Języki bratnie, które *t* wyrzucają, straciły wiele na energii; w naszym nieprzyjemne jest w rymach *ala*, *ały* tém bardziej *tały*: *pałały*.

Ks, X.

Polski język nie ma żadnego wyrazu zaczynającego się na *ks*, wyjąwszy słowo naśladowcze *ksykać*, tudzież parę ledwo wyrazów, gdzie to brzmienie w środku przypada: *ptaksu*. Powszechne, a językowi przyrodzone brzmienia, są *kś*, *ksz*.

Z przyjętymi obcymi wyrazami, przyswojono razem polskiemu alfabetowi literę *x*, którą brzmienie *ks* i *gz* w tychże obcych wyrazach zastępujemy. Brzmienie *gz* czyli *gs* także nie jest przyrodzone polskiemu językowi, mamy go w jednym tylko słowie polskim nieużywaném *gzto*. Litera *x* przez Łacinników z greckiego przyswojona, nie czyniła tak ważnej usługi, jakiej się spodziewać należy po literze do której przyjęcia naród się ujrzał skłonio-

nym. Oznacza bowiem dwa różne brzmienia, o których różnicy nie ostrzega, jak np. *regs*, *gregs*, *exkuza*, *lux*, *matyma*, *Mexyli*. Tém mniej przystugi czyni w polskim języku, ponieważ używana stale, obowiązana jest cztery różne brzmienia zastępować, to jest, *gz*, *ks*, *ks'*, *ksz*: *egzegetyka*, *eksklamacya*, *księga*, *większa*. Alfabet polski, nie tylko dąży do zgodności pisma z wymawianiem, ale nadto nie cierpi żadnych liter pojedynczych oznaczających dwa brzmienia, i raczej jedno brzmienie dwiema literami wyraża, jak *sz*, *cz*, *dz*. Gdyby więc podług Kopczyńskiego literę *x*, dla zastąpienia dwóch liter *ks*, przyjął, powinienby raczej na téj zasadzie przyjąć od tyłu projektowane *sz*, *cz*, *dz*, przez pojedynczą literę; tém bardziej powinienby przyjąć rossyjskie *szcz*, które równie jak *x* dwa brzmienia oznacza, a na którym możnaby w piśmie trzy litery oszczędzić. Lecz to przyjąwszy łatwą rzecząby było, inne brzmienia podwójne częściej się z sobą stykające, jedną literą oznaczać, tym sposobem moglibyśmy wrócić do dawnych skrótów słusznie zarzuconych. Polski język szczególnie, nie może dwóch brzmień jedną literą oznaczać, bo jedno z tych brzmień, zmienia się często w dalszych formacyach, np. *mieszczę mieści*, *więksi większy*, coby sprawiło zawikłanie grammatyczne. Tém bardziej gdybyśmy pisali, np. *większy*, *więksi* przez *więxy*, *więxi*, musielibyśmy do *x* w słowie *większy*, *lekszy*, *upiększy*, dodać albo trzecie brzmie-

nie *z* albo *x* znamionować, które to znamię oznaczaloby dwójkę *sz*, połączoną z brzmieniem *k*. Dla téj niedogodności Polacy piszą równie *x*, jak *ks*, to jest najczęściej *x* w wyrazach obcych, *ks* w wyrazach polskich. Nie miałbym nic przeciw pisaniu wyrazów obcych przez *x*; pomijam bowiem mniej ważną niedogodność, że inaczej się wymawia *examen*, a inaczej *expedycja*, gdyż w należytem wymawianiu takich wyrazów, nie mylimy się i w łacińskim języku; lecz trudność zachodzi wtenczas, gdy obce wyrazy na *x* zakończone, podlegać muszą odmianom zakończeń polskich. Obojętna jest np. pisać lub mówić *kodeks*, lecz pisząc, *w kodeksie*, *taxie*, *Jaxie*, nie oznaczam że tu druga połowa *x* przybiera brzmienie *s*; podług takiego pisania wypadaloby mówić *w kodeksje*; toż samo w imionach własnych *Alexiejowicz*, *Alexjo*. Nadto, w wyrazach obcych, w których po *x* następuje *i*, zmuszeni jesteśmy pisać *y* zamiast *i*, np. *maxyma*, ażeby nie umiejący tego języka, nie czytał *maksima*, *Maksimilian*, bacząc że przed *i* brzmienia są miękkie. Kiedy więc pozwalają sobie jedną literę *i* w obcym wyrazie zmieniać, czemuż nie mamy zmienić drugiej, gdy tego większa jeszcze zachodzi potrzeba, wszak dla podobnej przyczyny piszemy *Kurcyusz*, nie *Curcyusz*, *Horacyusz* za *Horatius*, *Cicero* i wiele innych. Nie widzę nawet, na jakiej zasadzie pisalibyśmy obce nazwiska tych języków, które przez *x*, *ch* wy

rażają, np. imiona hiszpańskie *Xymena* i dla czego mielibśmy je zmieniać na *ks*?

Polskich wyrazów równie na *ks* jak *ksz* zaczynających się, mamy bardzo mało. Na *ksz* jest tylko jeden, *ksztált* z niemieckiego *gestalt*. Na *ks* mamy tylko kilka wyrazów z jednego zapewne źródła pochodzących: *ksiądz*, *księżę*, *książka*, *księżyc*, które przez *ks*, lub *x* piszemy. Już namieniłem, że łacińskie *x* przez *ł* zmiękczone, nie może odpowiadać polskiemu brzmieniu *ś*; należałoby więc czytać *xjáže*, *xjádz*. Nie lepiejże trzymać się wyraźnego polskiego brzmienia i pisać stale: *ksiądz*, *księżę*?

Jeżeli tu idzie o skrócone pisanie: *Xiádz*, *W. X. Mość*, nie wiem czemu by dla skrócenia, zmieniać naturę ortografii polskiej, zwłaszcza gdy po upowszechniu druku i papieru, mało są używane. Lecz kto chce wyrazy skracać, może je skrócić przez napisanie dwóch początkowych liter *ks*; lub wreszcie niech pisze *x*, tak jak się pisze etc, *dito.*, i tym podobne ugodne znaki.

W ogólności litera ta, jako znacząca brzmienie *ks*, prócz języka łacińskiego, bardzo mało w którym jest używaną, inne języki piszą ją w obcych wyrazach, bo jej przez spadkowanie zmieniać nie potrzebują, tak jak my, np. na *ks* i *ksz*. Niemcy nie mają żadnego brzmienia na *ks*; *x* jest im tylko podręczną literą, w wyrazach w których są niepewni, czy pisać *ks*, czy *gs*, czy *chs*, jak np. *Art*,

Hexe. Jestto posługa dogodna, ale ukształconemu językowi nie bardzo przyzwoita.

Byłbym więc za stałym pisaniem w polskich wyrazach *yz*, *ks*, *ks* i *ks* w miejscu *x*.

R, RZ.

Litera *r*, którą Cicero *caninam* zowie, według Vossiusza właściwa dyalektowi spartańskiemu, odpowiadała surowym tego ludu obyczajom. To brzmienie skupione zwykle z innymi spółgłoskami, właściwe jest językowi niemieckiemu, co szczególnie jest przyczyną jego twardości. *R* wymagające drżącego poruszenia języka, zatem trudne do wymówienia, które dzieci przez *l*, źle wymawiający przez charczenie niejakię zastępować zwykli, przybiera gdy jest na początku wyrazu w greckim języku *h*, w słowiańskich znamię miękczące: *ri*.

Niemcy nie łagodzą go nigdy, wyjąwszy jeden wyraz *Rhein* (*rennen*, *rinne*) eo według Adelunga z greckich zapewne pisarzów przejęto. Polacy łagodzą je przez dodane brzmienie syczące *z*, *rz*, co należy do szczególnych własności języka.

Łączenie z głośką *r*, brzmienia przydechowego *h*, lub syczącego *z*, jest bardzo naturalne, gdy przy wymawianiu rozciąglejszemu *r*, odgłos *h*, przy mocniejszym zaś oporze języka w wypuszczaniu powietrza, brzmienie syczące *z* słyszc się daje, zaczęć mówią na-

śladowe wyrazy: *chrapać*, *chrypka*, *rzyć*, *drzęć*, *grzmot*, *skrzypiec*.

Języki skłonniejsze do brzmień gardłowych miękczą zwykle *r* przez *h*, skłonniejsze zaś do syczenia, przez *z*.

H, lub *ch*, kładą niektóre języki przed *r*, czego są ślady i w polskim, np. dawne: *chrobak*, *chrobot*, *chrust*, *chrząszcz* albo *chrzabaszcz*, (od *rózga*) *chrust*, *chrzan*, które w słowiańskich językach w *r* mają źródło; niektóre przeszły na *g* i *h*, jak widać, w odgłosach *chrząkać*, *krząkać*, *rzechotać*, *grzechotać*, *skrzeczyć*, *ryk*, *krzyk* i t. p. tudzież na *g*: *grzebać*. Adelung mówi, iż w wielu językach, nawet w niemieckim i łacińskim, pospolitą jest zamiana *r* na *z*, łagodne *s*, czego przykłady wymienia. Język polski nie zamienia go zupełnie na brzmienie syczące w pisaniu, jak *g* na *z*, *ch* na *sz*: (*mogę możesz*, *duch dusza*), lecz je zamienia prawie zupełnie w mówieniu, np. *nierządne żądze*, *żyje z rzemiosła*. Brzmienie to nosi na sobie cechę wszystkich innych głosek miękczących, lubo same z siebie, ani jest miękkie, ani przyjemne, zwłaszcza w zbiegu innych syczących. Inne głoski miękczą się przez brzmienie *z*: *bie*, *cie* i t. p.; *r* przez samo naturalne technienie w przeciągnięciu mocniejszym tej zgłoski, przybiera z przyciskowe, jak w podobnym przypadku *d* przybiera syczące *z*, lub *t*, *s*.

Serbowie w Łuzacyi, nawet w piśmie wyrzucają zupełnie źródłowe *r*, i tylko brzmie-

nie syczące zostawują. Czechy mają także *r* syczące; Hanka mówi: „*Pisywato się za starych czasow Borziwoy nie Boriwoy, nie snadno jest zgadnąć, kiedy właśnie BRIZGAWER albo rz, u Czechow a Polakow powstalo* (*).“

Brzmienie to, tak jest w polskim języku upowszechnione, że ani w mówieniu, ani w pisaniu onego dobrze mówiący i piszący w niczem się nie różnią; jest tylko spór względem wyrazów *środek*, *źródło*, *źrenica*, które mają liczne rodzeństwa, a które od dawna nigdy stale pisane nie były.

Choćby wątpliwość być mogła, czyli pierwiastkiem wyrazów *źródło*, *środek* i t. d. jest ROD, wyrazów zaś *pojrzenie*, *źrenica*, *zór*, o czem jednak rozpatrzenie się w Słownikach widocznie przekona; to przecież nie byłoby jeszcze powodem pisać *rz źródło*, *źrzenica*, zamiast *źródło*, *źrenica*; bo słowo *zrzec*, przez Lindego nawiasowo tylko wspomniane, a przez Felińskiego za jedyne przyjęte, nie może być także pewnym źródłem; powodem do tego, jest gładsze wystowienie, w niczem nie zacieniające pochodzenia tych wyrazów, i w niczem naturze języka nieprzeciwnie.

W słowach *źródło*, *źrenica*, *r* miękkzone jest z obudwu stron, i to przez głoski syczące, wśród którego rozmiękczenia stapia

(*) Starobyła składanie.

się zupełnie, traci dla ucha pierwiastek, bez żadnego zysku dla harmonii. Zbiegające się dwa syczące razem zmiękczenia, z których jedno *z*, możnaby nazwać razem eufoniczném, a drugie *rz* tylko grammacyczném, czynią gorsze złe niżeli brzmienie *r* które miały złagodzić. Lubo więc głoski przybięrają, brzmienie mocne lub słabe, według zetknięcia się z sobą, nie można jednak *rz* brać za jedno z miękkimi głoskami, gdyż nikt nie przyzna, że łagodniej jest mówić: *wsrzód*, *śrzoda*, *źródło*, niżeli *wśród*, *środa*, *źródło*. Przytem, *rz* ma przed sobą i po sobie równie mocne jak słabe głoski, lecz nie ma nigdzie zmiękczonej, jak to widzimy w wyrazach *zrzec*, *zrządzić*, *wrzeszczyć*, *skrzcsać*, *sprzeczka*, *sprzuczka* (raczej *sprzuczka*), *opatrzny*, *trznadel*, *gorzko*, *chrztu*, *krzyż*, *brzeg*, *przeczyć*, *drewno*, *żre*, *skrzypce*.

Nie może także służyć za powód pisanie *źrzenica*, uwaga, iż *r*, nie zwykło spływać na głoskę *e*. Na początku wyrazów, głoski pojedyncze wszystkie bardzo rzadko na *e* spływają, i te albo są mniej foremnych, albo naśladowujący; przeciwnie *e* po głosce zmiękczonej, albo po dwu głoskach, bardzo jest pospolite, *cierpieć siérb*, *krew'*, *brew'*, *kres* i t. d. Wreszcie, ta uwaga nie może się stosować do *źródła*, *środy* i t. d., lecz tylko do *średni*, *żrenica*. Również *r* samo przyjmuje po sobie bezpośrednio inne miękkie i słabe głoski, *śmierć*, *sierć*, *ćwierć*, *piers'*, *pasiećrb*. Zgoła nie ma

wyraźnych powodów, dla którychby *r* w pomienionych wyrazach nie mogło spływać wprost na samogłoskę.

Kiedy więc w pomienionych słowach *r* już z prawej strony miękczone jest przez *ś* lub *ź*, nie ma potrzeby miękczyć go powtórnie przez mniej przyjemne *rz*, zwłaszcza w zbiegu głosek syczących.

Z głoski *z* mogą przejść do *ź* lub *ż*, np. *z-żymać się*, *z-żiębnąć*, *z-żółtki*, *z-żielenić*, ale nigdy od *ż* do *ź*, albo od *ź* do *ż*, gdyż to byłby skok trudny, cóż dopióro wtenczas, gdy te dwie głoski przedziela brzmienie najtwardsze, *r*. Tém trudniejsze jest takie przejście z mocniej syczącego *ś* na *ź*; zbieg taki w żadnym się innym wyrazie nie zdarza.

Przeciwność takiego brzmienia czuli dawni Polacy, i woleli tych wyrazów wcale nie miękcząć.

Pozrzat na dół, smok k'niemu się ściąg^a,
Uzrzat, jabłka nędzny nieboraczek.

BEY.

Lecz gdy to miało brzmienie tak niemiłe, woleli źródłowe *z*, zupełnie wypuścić, jak np. *dorzuty*, *przerzenie pańskie*. Gdy i to harmonii nie wiele pomogło, zamienili *s* czy *z* na miękczące *j*, tam gdzie to brzmienie połączone jest z jakim przedimkiem, *dojrzuty*, *pojrzenie*, jak to czynimy z innymi głoskami:

zdrajca, ogrojec i t. d. Ten sposób utrzymał się najpowszechniej, zostało w nim brzmienie *rz*, nie zbiegając się z drugą syczącą samogłoską zmiękczoną.

Bylbym więc zdania.

- 1) Że wyrazy nie powinny mieć zbiegu *śrz* wychodzącego na jedno co *źź*, którego w żadnym wyrazie nie ma i być nie może. Należy więc pisać, *śród*, *środa*; toż samo co do przedimków *wśród*, *pośród*, *pośrodku*, *ośrodku*.
- 2) Wyrazy zaczynające się na *źr*, mające przedimki, a zatem mogące mieć zastępcze brzmienie *j*, powinny zachować brzmienie *rz*, jako łatwe i nie sprawujące przykrego brzmienia: *doj-rzaty*, *poj-rzenia*, *zaj-rzę*, *pod-ej-rzenie* i t. d.

Lubo niepewne jest pochodzenie wyrazu *źrebię*, dla analogii jednakże, pisaćby go wypadało *źrebię*. Ponieważ w wyrazie *szron*, *sz* nie jest zmiękczeniem, należy pisać *szron*, tak jak *srogi*, *sromota*, lub jak obce *szruba*, *szrót*, lubo ten jeden tylko jest polski wyraz *szron*, zaczynający się na *szr*.

Słowo *Śrzeniawa* nie może służyć za powód pisania wszystkich podobnych przez *śrz*. Lubo zapewne pochodzi od *szron*, i w herbie rzekę oznacza, atoli jako nazwisko zostać powinno nietykalne, jak tyle innych; bo jeżeli się brzmienia z postępem wieku zmieniają, mniej temu podlegać winny nazwiska. One prócz tego nie powinny nigdy wchodzić w do-

wody grammatyczne, ponieważ mogą być zupełnie dowolne, z innych wyrazów wymyślone lub przerobione. Nawet narody całe nie są pewne względem swych nazwisk. Nieforemny jest dotąd wyraz *Polska*, *Polszcze*, i Niemcy nie zgodzili się jeszcze, czy się mają zwać *die Deutschen* czyli *die Teutschen*; różniemy się nawet w pisaniu *Stawianie* i *Stowianie*.

O spółgłoskach syczących.

Brzmienia syczące, jak już namieniłem, są w polskim języku panujące; te najwięcej zbiegają się z sobą, te wymowę i pismo szpecą. Głoska *z* najłagodniejsza, odpowiadająca francuzkiemu *raison*, *rozum*, niemieckiemu *Seele*, *zelżyć*, jest najpospolitszą. Zmiękczone na *ż* jest równie jak *ś* piękną i wyłączną własnością języka; najprzyjemniej na samogłoskę spada, i *d* na końcu wyrazów zmiękcza. *Ż* nie zdaje mi się mieć spółnictwa z *z* i *ż*, gdyż się z sobą nie zamieniają; mówią za tém osobne postacie liter nadawane mu w cerkiewnym, raguzanckim i w indyjskim dyalekcie. Nadto *ż* jest najpowszechniej zmiękczeniem głoski *g*; *sz* odpowiadające obcym: *chaste*, *Schatten*, nie jest równie gładkości przeciwne, nieprzyjemne tylko na końcu wyrazów, gdzie częściej w polskim niż w innych językach przypada. Nadto *s* połączone z brzmieniem *c*, *r*, *s*, przybiera brzmienie przyciskowe, które połączone z inną

spółgłoską lub z sylabą, także przyciskową, jest nieprzyjemne, np. *cztery, przyrzecz, rzeczy* i t. p., tém bardziej tam, gdzie brzmienie *szcz*, przypada: *wrzeszczysz, płaszczesz*. Głoska *z*, taką gra rolę w alfabecie między spółgłoskami, jak między samogłoskami *i*; obiedwie najwięcej zapełniają karty pisma polskiego: *i* oprócz miejsc gdzie samo za siebie stawia, czyni służbę dziesięciu spółgłoskom, które daleko częściej z niém, niżeli same występują; z służy tylko trzem literom *c, r, s*, ale przeto nie mniej ma do czynienia.

Nadto z będąc przedimkiem trzy względy oznaczającym, zakończając przyimki *przez, roz*, występując to z kropką to z kreską, miękcząc i stwardzając litery. jest jak sługa wiele obowiązków pełniący. Oprócz przyczyn, o których Szwejkowski i Mroziński dość już powiedzieli, wielu było i jest zatém, aby połowę tych obowiązków przez *z* pełnionych, głosce *s* narzucić. Lecz dla uniknienia powtarzanych znaków pismienych nie można stwardzać wymowy. *Z* jest spółgłoską bardzo łagodną, mogącą się łączyć z wszelkimi miękkimi i twardymi brzmieniami, gdy *s* tylko ostrości dodaje. Niedogodność czystego używania jednych brzmień liter i znamion, znosić muszą wszystkie języki jak: *of, the, le, la, der, dic, das*, jak w rosyjskim języku, znaki miękczące i stwardzające.

Częste brzmienia *z, ź, i s, ś, sz*, oznaczają we wszystkich językach ruch *z* szumem, szelestem, łoskotem połączony.

..... Swiszczą wiatrów dmuchy
I snują po posadzce z szelestem liść suchy.]

TYMIENIECKI.

Adelung czyni postrzeżenie, że w słowach zaczynających się od dwóch i więcej spółgłosek, druga lub ostatnia, jest zwykle źródłową i że to służy osobliwie wyrazom od *s* się zaczynającym. W wielu językach dodawano tę głoskę tylko ze skłonności do tego brzmienia. Są nawet języki w których prawie żadnej spółgłoski bez *s* wymówić nie chcą. Postrzeżenie to winni zapewne jesteśmy przedimkom, które jak w naszym tak w innych językach mają brzmienie syczące *ex-*, *es-*, *dis*, *aus-*, *iz-*, z których samogłoski odcięto. Przeglądając Słownik Lindego pod głoskami *s*, *z*, *sz*, bardzo małą liczbę znajdziemy wyrazów, w którychby te brzmienia nie były przedimkami, chociaż często już zatracanemi. Polacy wyrzucili *i* z przedimka słowiańskiego *iz*, Włochy *e* z przedimka *es* (*ex*), jak *stinare*, *svel- lere*, *struccare* i *sbarcare* (*sbarzkować*), *scalcare* (*złuc*).

S, Ś, Z, Ż.

Są wyrazy, w których nie jednostajnie *s* lub *ś*, *z* lub *ż* piszemy. To zdarza się najpowszechniej przed zmiękczonejmi głoskami *p*, *m*, *n*. Nie- różnimy się nigdy w wyrazach *spiąć*, *spie-*

*ka, wyspie, jasnie, właśnie, trzaśnie, śmie-
szny, taśnie, weźmie.* Ale jest niezgoda w mó-
wieniu i pisaniu, *spi, spi, spieszy, spieszy pa-
smie, paśmie ojczyźnie, ojczyźnie, przyja-
znie lub przyjaźnie wpływać.*

Przyczyna tój różnicy co do *p* polega, według zasad Mrozińskiego, na tém, że *s* jako podniebienne, przed *p* zmięczoném jako wargowém, może być twarde lub miękkie. Tę dogodność zamienił zwyczaj na stałe używanie brzmienia *s* w niektórych wyrazach *spiknąć, ospie, wyspie.* Niezgodność więc co do *s* lub *ś* przed *p* zmięczoném, zachodzi tylko na początku wyrazów, gdy nie jesteśmy pewni, czyli *s* jest w tym wyrazie przedimkiem: *spi spieszy, spi spieszy*, bo gdy przedimek jest wyraźny w tenczas wątpliwość upada, mówimy i piszemy *wspięrać wspinąć się; spisek.* Zwyczaj bardzo już powszechny, nie przestanie w tym razie na zastosowaniu się do brzmień spółnych, wargowych, lub niewargowych *śnieg, śmiech, moście, poście, ciś-
nie.* Dobitniejsze wystowienie, do którego język na początku wyrazów jest skłonny, co w głośnych deklamacyach najlepiej czuć się daje, względ na to, że *ś* i *pie* są różno-organn, że to *pie* jest brzmieniem mocném chociaż zmięczoném, radzą kłaść w tych wyrazach *s* niezmiękczone. W wyrazach przyswojonych nie mieścimy *ś* przed *pie*: *szpieg, szpinak, spiritus, aspirant.* W podobnych zdarzeniach

przed wargowém *b* kładziemy odpowiednie słabe *z*, lecz go nigdy nie zmiękczamy *zbić*, *zbiierać*. Podobnie przed *k*, nie ma nigdy *s* zmiękczonego *skinąć*, *skiste*, *skiba*, *skir*. W jednym tylko wyrazie *spiew*, powszechniejsze jest *s* zmiękczone dlatego zapewne, iż w nim tylko po miękkim *p* następuje *e* pochylone, gdzie przeto mocniejsze brzmienie nie ma na czém się oprzeć.

W zakończeniu wyrazów nigdy się *ś* przed miękkim *p* nie zdarza, a zbieg samych nieściśnionych jest tylko w kilku wyrazach *wyspie*, *ospie*, *krzysp*.

Podobnie piszemy *s* lub *ś* przed *m* zmiękczoneń, z powodu że jest wargowe: *pismie*, *piśmie*. Stale jednak wymawiają i piszą wszyscy miękcząc obadwa te brzmienia na początku wyrazów *śmiech*, *śmiało*, *uśmierzyć*, *śmigać*, dlatego, że głoska *m'* oprócz zmiękczenia jest słabą, a spadek z mocnego brzmienia na słabe osłabione jest nie piękny i trudny, tak jak łatwy jest *zmienić*, *zmięsząć*. W zakończeniach tylko, równie jak co do *s p* bywa niezgodność: *pasmie*, *pismie*, *paśmie*, *piśmie*, i tych wyrazów, także miała jest liczba *Tasmie*, piszemy stale przez *ś* jak *tasma*, *tasmy*, *pismie* pisaćby należało, jak *pisacć*, *pisarz*.

S przed literą *ń* jako słabą, zmiękczoneą i podniebienną, może być zmiękczone lub nie. Na początku wyrazów, z téjże przyczyny, jak przed *m*, bez wyjątku bywa zmiękczone i ta-

kie wysłowienie zawsze jest piękne: *śnieg*, *śniedź*, *śniady*, *śnie*. Przy zakończeniu wyrazów, w jednych piszemy zgodnie *s*: *jaśnie*, *baśnie*, *głośne*, *dołośnie*, *pieśni*, w innych wahamy się w zmiękczeniu: *sprośni*, *zazdrośni*, *litośni*, *boleśni*. Należałoby wszędzie *s* przed *ń* zmiękczać jak je zmiększamy przed *ły*nuemi: *wiośle wieźli*.

Brzmienie *z*, jako z każdym inném łączyć się mogące, i jako przedimek, nigdy się na początku wyrazów przed *m* i *n* nie zmiękcza: *zmierzyć*, *zniżyć*, *znieść*. Gdzie nie jest przedimkiem, tam inne ma brzmienie: *źniwo*, *źmija*. W końcu wyrazów, a mianowicie w zbiegu zakończeń grammatycznych, ulega tejże naturze, co *śń*: *przyjoźni*, *draźni*, *raźni*; *łaźni*. Zachodzi tylko nie zgodność wymawiania przed zakończeniem względ oznaczającym *zna*, *znie*, *źnie*, *ojczyzna*, *ojczyźnie* lub *ojczyźnie*. Niezgodność ta częściej się trafia niżeli przy *śń*, ponieważ *z* jest miększe od *s* i w wymawianiu małą czyni różnicę. Przed sylabą *nik* względ oznaczającą, *z* urabia się według zwykłej zamiany głosek na miększe w grammatycznych formacyach: *powróż powroźnik*, *róg naroźnik*, *groza groźni*, *wys-oko*, *niz-ko*, *wyź*, *niź*, *wyźnik*, *niźnik*. Lecz ponieważ tu sylaba *zna*, *znie* jest względ oznaczająca, równie ważna, jak *stwo*, *stwie*, która według mnie, tak jak przedimek sylabę stanowiący, nieodmienną być winna; ponieważ, w tej sylabie, *z* jest głoską do oznaczenia względu po-

trzebną, nie zdaje mi się rzeczą stosowną, aby było zmieniane, tém bardziej, że tu nie ma żadnych powodów przez organ mówienia wymaganych. Dobitniej, a razem gładziej wydaje się uchu mojemu *mieliznie*, *siwiznie* niżeli *mieliznie*, *siwiznie*, *gotowiznie*, *włoszczyźnie*.

O przedimku roz.

Szwejkowski w piśmie swoim o przedimku *s* i *z* jest za stałem pisaniem przedimka *roz* i miał do tego powody:

1. Że przyimek *o* w podobném następstwie spółgłosek nie zmienia się na *o*.
2. Że na wyrazy zaczynające się od litery *s*, nie potrzeba robić wyjątku.
3. Że sylaby, jako części wyrazów dające się osobno uważać, mogą mieć postać ustaloną blisko jak całe wyrazy.

Później wniesioną została kwestya mówiąca za pisaniem *s* lub *z*, lub *sz*, według następstwa głosek: *rossiekać*, *roszczynić*, *rozczesać* i t. d.

Obowiązany bronić miększego wystowienia jestem za zdaniem Swejkowskiego i do przytoczonych jego powodów mam jeszcze następujące:

1) Że nie tylko *o* ale wszystkie przyimki stanowiące sylaby rozłączne, czy nierozłączne, nigdy zmianie nie ulegają, kończąc się bowiem, albo na samogłosce: *do*, *po*, *prze*, *przy*,

albo na słabej spółgłosce: *pod, przed, roz, od*, łatwo przybierają wszelkie brzmienia, z którymi łączyć się muszą: *obstrzygać, obszarpać, obrażać* i t. d. w zbiegu zaś trudniejszym do wysłowienia, przybierają podręczne *e*: *rozeprzeć*, lub równie w ich zakończeniach cechowych znoszą zbieg jednakich głosek: *oddać, panna*, co w środku wyrazów nadzwyczaj rzadko się zdarza.

Chce więc język polski mieć wszystkie takowe przyjмки ustalone, jako bardzo ważne, bo często połączone z wyrazem, zupełnie znaczenie jego zmieniają.

2) Nie wątpię, że wszystkie wyrazy zaczynające się na *roz*, składają się z tego przyjмка, nawet *rozkosz*, czego wywód znaleźć można u Lindego pod wyrazami *kosztować, kaszać, gust, rozkosz*, u Adelunga *kauen, kost* i t. d.; zkad dowód, iż ten wyraz we wszystkich językach znany, bardzo jest starożytny, przypominający jeszcze zupełną zmysłowość, gdy jedzenie było największą rozkoszą, od której wzięty nazwisko wszystkie inne. Również dowodzą słowniki pochodzenia wyrazu *rozpacz*, czego wywód byłby tu zbyt techniczny; *różga, rosnać, rościć* i t. d. mają swoje oddzielne znaczenie, pochodzą z jednego źródła *rość*, i piszą się lub przez *o* znamionowane: *różga*, lub przez *s*: *rosnać*; *różga* jest nawet przerobionym wyrazem z *rostka, różczka*. Gdyby nawet wywód słowa *rozkosz* i *rozpacz* mógł wątpliwosci ulegać dla dwóch wyrazów, nie

można psuć jednostajności pisania, i przyzwyczaj jest parę wyrazów do większości dołączyć.

3) Przyimek *z* nie stanowiąc sylaby, musi łączyć się ściśle z głóskami, które spływają na swoją sylabę: głóska *z* z przedimku *roz* tego nie potrzebuje, bo ma swoją własną samogłoskę, do której tak ściśle należy, jakby było słowem zupełnie osobnym; jest z nim połączoną tytułem unii, nie hołdownictwa.

4) Zwyczaj dawnych i nowych pisarzów do niczego nie może być w tym przedmiocie skazówką, bo ten bardzo jest różny. Przed literą *c*, *k*, *p*, *t*, piszą niektórzy *ros*, nawet przed miękkim *ć*: *rozciągnąć*, inni opuszczają *z* przed *sm*, *sw*, *si*, *st*: *rośmieszyć*, *rostać* (czego już w nowszych pismach nie widać); inni piszą *s* przed *ć*; *rościerać*, *rościć* i t. d.

Linde więc słusznie mówi: „że jednostajność wywodu źródłosłowowego wymaga pisać wszystko podług liter pierwiastkowych, bohy się nie bardzo zgadzało pisać: *rozepchnąć*, a *rospychać*, *rozeprzeć* a *rospierać*, *rozejść* a *roschodzić*, *rościerać* a *rozetrzeć*“

5) Zmiękczone *roś* przed miękkim *rościerać*, *rościekać*, lubo mniej gładkości przeciwnie, nie powinno móm zdaniem mieć miejsca, gdyż język polski nie jest skłonny do głósek podwójnych mocnych, ani syczących, gdyż wtedy wypadaloby także miękczyć z przed *ź* *roźziębic*, *roźzielenic*, co przynajmniej dla dobitności mówienia nie jest korzystne; a co wię-

ksza, wypadaloby według téjże zasady pisac *roźrzadzac*, *roźrzewnic*, tak jak się pisze *źródło*, *źrenica*, na coby zapewnie publiczność nie przystala.

6) Rzadko bardzo w polskim języku schodzą się trzy spółgłoski przyciskowe, albo zmiękczone. Gdybyśmy je pisali, musiałyby jedna w wymawianiu zniknąć: gdybyśmy przyjęli np. *rośsmiac się*, zamiast *rozśmiac się*, albo *roześmiac*, musielibyśmy mówić *rośmiac się*. Wyrzucamy *ś*, np. w wyrazie *szescienny* dla zbiegu trzech zmiękczonech, i tuhyśmy je z czasem wyrzucić musieli.

7) Rozdrobnienie tego przyimka na *roz*, *roś*, *roź* i *rosz*, zrodziłoby trudność dla uczących się w poznawaniu wyrazów w rozkładzie słowników, a mianowicie w dzieleniu sylab, np. w słowach *roszczę*, *roszczesać*, *rościek*, *roszczyn* (*rozczyn*) i t. p.; wtenczas potrzebneby może było używane przez Śniadeckiego odłączanie przedimków przez linijkę.

To samo zastosować można do przyimka *bez*, który także pisany jest niejednostajnie, *bezpieczny*, *bespieczny*, *beśpieczny*, tak jak w rozłączoném mówią niektórzy *beś ciebie*, a które nieprzyjemnieby brzmiało w słowach, np. *besczynny*, *beszczesny*, *zbeszcześcić*.

Z tych powodów byłbym za jednostajnym pisaniem przedimków *bez* i *roz*, tak jak są w Słowniku Lindego; zwłaszcza, że gładsze to wysłowienie nie sprzeciwia się żadnym przepisom grammatyki, lecz je owszem ułatwia, dając po-

znać, że wszystkie przedimki składające sylaby, są niezmiennie, i uważać się powinny jak całkowite wyrazy, bez względu, czy są połączone z innymi czyli nie. Z przybierając *e*, np. *zebrany*, nie może tu należeć, ponieważ *e* stanowiące sylabę, jest tu tylko tymczasowe, mogące się według woli wypuścić; równie *obethać*, *odepchać*, *rozepchać*, *bezędno*.

szcz.

Połączenie tych dwóch brzmień syczących, a czterech liter, szpeci wymowę jak pismo. Zbieg ten jednak jest przyrodzony językowi naszemu i słowiańskiemu, a w piśmie już mu teraz zaradzić nie podobna. Na początku wyrazów, składa je powszechniej przyimek nierozdzielny. Gdyby różnice przyimka *z* i *s*, *cum* i *ex*, nie musiały w naszym języku uleść co do brzmienia następstwu spółgłosek, moglibyśmy pisać *zczęślwy*, *s-czep* lub *z-czep* i t. p. Lecz gdy wymawianie tych przedimków przed spółgłoskami, zwłaszcza twardymi, mało odróżnione być może, przeto je Polacy zaniechali, a dążąc do tego, aby tak pisać jak mówią, woleli się i w piśmie trzymać jedynie zasady następstwa głosek, woleli oraz przykrzejsze pisanie, łatwiejszemu wymówieniu poświęcić. Przy tém nie mogłoby tego brzmienia uniknąć w środku wyrazów, w których *sz*, dwójkę *cz* poprzedzając, w żaden sposób być przedimkiem nie może. Pisząc *zasczyt*. *jeszcze*, jak pisał Wujek i co wznowił Kopczyński,

nie piszemy tak jak mówimy. Kiedy przedimek nierozdzielny z zmieniać się musi na s przed twardą spółgłoską: *skupić*, na ś przed miękką: *ścinać*, musi być zmieniane na s przyciskowe przed takimże brzmieniem, *szczaw*, *szczęk*. Znośnoby był wyjątek dla piękności wysłowienia, lecz tu wysłowienie jest tylko utrudzone, i zaradzając cokolwiek pismu, szkodziłoby się wymawianiu. Myślę zatem, że rozsądne w tym przedmiocie zdanie Felińskiego (str. CXXXVII) przyjęte będzie.

Odważam się jednak wymienić parę wypadków, w których nie widzę potrzeby pisania całej tej czwórki; np. w wyrazach *szczkawka*, za *czkawka*, *nieboszczka*, za *nieboszku*, *rozszczepiać*, za *roz-czepiać*, *szelcszczy*, za *szelści*. Polacy zmienili już niektóre *szcz* sła-
wiańskie na inne brzmienia, np. *szczo* na *co*.

Później, przy większej wprawie języka przez obcowanie, znajdują się może sposoby zaradzenia temu istotnie przykremu zbiegowi. Jeżeli np. w wielu wyrazach ostatnią spółgłoskę sylaby, przed spółgłoską następującą, a czasem i dwie wyrzucamy, np. *sześcienny*, może da się kiedy w tych przypadkach *sz* przed *cz* pomijać. Już je nawet, chociaż w niewielu wyrazach wypuszczamy; np. *cudzoziemczyzna*, *deska*, zamiast *cudzoziemszczyzna*, *deszczka* i t. d., albo może być nawet złagodzone przez zostawienie właściwej spółgłoski, np. *staroświetczyzna*, jak *matczyzna*, *Wotoszyzna* (*Wolochy*), zamiast *Wotoszczyzna*, *Pomorczyzna*, zamiast *Po-*

morszczyzna, jak mówimy *Włoch*, *Pomorczyk*. W dawnych drukach jeden tylko znalazłem wyraz, to jest, *oczyszczenie*, pisany wszędzie *oczyścienie* (Postilla Wujka Kaz. o oczyszczeniu P. Marji) Knapski nawet, i wszyscy bez wyjątku dawni kaznodzieje, jakich przeglądać mi się zdarzyło, piszą stale *oczyścić*, *oczyścienie*.

ś, sz.

Na początku wyrazów polskich piszemy *spolicie s* lub *ś* przed spółgłoskami *l*, *p*, *t*, w tém zdarzeniu *s* lub *ś*, jest przedimkiem. W wyrazach cudzoziemskich, piszemy przed temiż spółgłoskami *sz*, stosując je do cudzoziemskiego wymawiania: *szlaban*, *szpada*, *szturmy* (*). Brzmienie *sz* nie podpada w tém zdarzeniu wątpliwości; pozostają tylko niektóre niepewne jeszcze wyrazy, które należy podciągnąć pod *ś* albo pod *sz* przyswojone.

Ślad. Januszowski radzi pisać przez *sz* od *szedt*. Gdy jednak wyrazy pochodnie *śledzić*, *śledztwo*, *poślednik*, *naśladowca*, już są stale przez *ś* pisane, należy więc ten wyraz zastosować do przyjętej zasady miękczenia spółgłosek, według następstwa.

Śluki, znaczące brzeg wężki, równie przez *ś* pisać wypada, jako należące zapewne do *ślad*,

(*) Nieprzyjemny i niebardzo potrzebny jest wyraz *szlach* od *schluchzen*, *tkać*, *tykać*, *schlucken*.

jako będące w polskim i niemieckim języku źródłem wyrazów *schleichen* (*prześlizgać się*). Wzięte z niemieckiego *szlag*, *apoplexya*, albo *potrzask*, *Taubenschlag*, nie jest w używaniu, i nie do tego źródła należy.

Słóza. Nie masz powodów pisać ten wyraz przez sz w mniemaniu, że pochodzi od *Schleuse*. Wyraz ten, oznacza w niemieckim języku tylko kanał, i narzędzie tokarskie, w polskim, znaczy prócz tego *ukos*, *spadzistość*, tudzież *zamulenie wnętrzuosci*, i zdaje się mieć pierwiastek *złóg*, *zlegać*, *leż*, *toże*; albo raczej wspólne jest wyrazowi *ślizkie*, *prześlizgnąć się*, odpowiednie wyrazom *claudere*, *ciusa*, *schleissen*, *zamek*, *przesmyk*, *zmykać*.

Slaz. Czyli oznacza ziele, czy czwarty żołądek zwierząt przeżuwających, wszędzie w dawnych książkach pisane jest przez ś. Pochodzenie tego wyrazu trudno oznaczyć, lubo, przynajmniej w drugiem znaczeniu (anatomiczném), jedno zdaje się mieć źródło z wyrazem poprzednim *ślóza*. Linde przytacza pod tymże słowem z Mag. mskr.: „*Slaz* łączy się z żołądkiem, i od niego zaczynają się cienkie kiszki.“ W obu dwu znaczeniach pisałbym *śl*.

Szlachcic. W najdawniejszych pismach, jakie mi się czytać zdarzyło, znalazłem *ślachcic*, nawet często *śliachcic*. W tłumaczeniu statutów Wiślickich roku 1449, przez Lelewela wydanych, częściej jest *ślachcic*, niżeli *szlachcic*. Gornicki każe pisać *szluchta*, z powodu, że ma pochodzić z niemieckiego *Schlacht*, i od

XVI^{go} wieku, aż dotąd, tak się powszechniej pisze. Jak wielu innych, tak i tego wyrazu źródło, dziedziczymy zapewne spólnie z Niemcami, po dawniej, nieznaniej już matce języków, lubo ich używamy na oznaczenie różnych pomysłów. Według Adelunga w niemieckim języku *edel*, dawne *aedel*, spólne jest wyrazowi *Geschlecht*, które oznaczało wolne urodzenie. *Schlacht*, od którego *Geschlecht* pochodzi, oznaczało istotnie, nie tylko *bój*, ale i *rodzaj*, pisane było u Otfrieda *Shachta*; z kąd, *aus der Acht schlachten*, *aus der Art schlagen* (wyrodzić się). *Geschlaechter Knabe*, znaczyło dobrze urodzony. Nadto, *Geschlecht* w tymże języku znaczy osobę z rodu patrycyuszów, zdolną do rady (w miastach Wyższych Niemiec) Zatem *ślachcic* spólne jest zupełnie niemieckiemu *Geschlecht*. Statut Wiślicki r. 1449 (wyd. Lelewel) mówi: *Śliachetności pokolenia s porodzicielów gych początek zawsze...* Tenże z r. 1503: *Rodzaj śliachecki od rodzajuu pochodzi.* W tłumaczeniu Łaskiego tamże (Lelew.): *Śliachetności rodzaje, z pierworodnych ich biorą początek.* W języku luzacko-wendejskim, *ślachta* znaczy pokrewieństwo. *Ślachtą* zowią się w tymże przysięgli przyjaciele (*die Blutsfreunde*). Zatem *Lach*, z *Lacha*, *ślachcic*, oznacza męża rodu wyższego. Wywód źródłowego wyrazu *Lach*, *Lech*, jest trudny, dla różnaitości znaczeń niepewny, i tu mniej potrzebny. Ma zapewne tę samą spólność z wyrazem *ród*, jaką ma *edel* z *Geschlecht*, *Schlacht*, odpowiada

łacińskiemu *generosus*. Mimo jednak wielkiego podobieństwa, że ten wyraz prawdziwie jest polski, w czasach dzisiejszych przyjęte jest powszechnie *szlachcic*; dla tego zapewne, iż brzmienie to jest dobitniejsze, i wyrazy *szlachetność* i t. d. w wyższym stylu często używane, nichy na tém zmiękczeniu nie zyskały. Byłbym więc za pisaniem *szlachcic*. Z tej samej przyczyny: *Szląsk* (*), *szkło*, *szpik*, lubo są słowiańskie, przez *sz* pisaczym wolał.

Przez *sz* pisać należy wszystkie przyswojone: *szpieg* (**), *szpital* i własne niektóre: *szpara*, *szpony*. *Śpilka*, *spiżarnia* przez *ś* najpowszechniej się piszą. W polskich wyrazach przed *r* pisze się *ś*, *ź*, np. *środa*, *źródło*, o czém była już mowa; w przyswojonych *sz*: *szruba*, *szranki*.

O dwojeniu, dodawaniu, wyrzucaniu i zamianie głosek.

Dodawanie, wyrzucanie, lub zamiana głosek pojedynczych, ważnem jest bardzo dla bar-

(*) *Szląsk*, *Silesia*, w dawnych polskich drukach *Zlesia*. pochodzi według Naruszewicza od małej krajny: *pagus silensis*. Nie wchodząc w wywód kronikarzy od *ślężenia*, *Zlezoków* czyli *Zchodników*, nadmieniam tylko, iż inne narody słowiańskie nie mają w tym wyrazie brzmienia *sz*, przynajmniej w piśmie.

(**) Wyraz ten przybył do Polski zapewne z włoskiego języka, należy więc zostawić na nim to obce piętno i pisać: *szpieg*.

monii stylu, chociaż pod względem ortografii, mało w tym przedmiocie zostaje do powiedzenia. Ta własność wszystkich języków, a tém bardziej już ukształconych, wyniknęła najpierw z potrzeby, gdy pewnego zbiegu głosek, narzędzia mowy dokładnie oddać nie mogły. Zbieg taki, zdarzał się naturalnie dopiero wtenczas, gdy się zakończenia grammatyczne w całej swój różnaitości ustalać zaczęły, które potrzeba spajając z pierwiastkowemi wyrazy, i ostatnie ich głoski dla niezmienności cech gramatycznych poświęcać kazała. To samo dziać się musiało z początkowemi głoskami, gdy z rozszerzeniem pojęć, łączyć się zaczęły z różnemi przedimkami. Później pochodziła ta własność z uczucia piękności, a zatém z potrzeby względnej, piękniejszego wystowienia. Pod drugim względem, wolność ta przy smaku zepsutym, pięściwym, mogłaby się stać szkodliwém nadużyciem, jak to bywa i teraz, nie już w piśmie, ale w samém mówieniu. Szczęśliwy więc język, który w ortografii, idąc za upowszechnionym zwyczajem, ustala dodatnie, wyrzutnie i zamiany z mechanizmu mowy i uczucia piękności wynikłe, a razem, kłaść może tamę nadużyciu. W polskiej ortografii, jest już pod tym względem prawie zupełna pewność i zgoda ze zwyczajem mówiących. Przyjawszy to, o czém się na początku téj rozprawy mówiło, że pismo zachować powinno niektóre brzmienia nie obowiązujące do wymawiania; i że się nie da wszystko wypisać tak jak się wymawia, mała tylko liczba pozo-

stanie takich, na które jeszcze nie ma powszechnej zgody.

I. O głoskach podwójnych.

Język polski nigdy samogłosek nie podwaja. W najdawniejszych pismach polskich mamy ślady, bardzo częstego ich podwajania; lecz to w początkowych usiłowaniach ortografii chciało tylko oznaczyć, bądź długie wtenczas, bądź znamionowane później samogłoski. Mamy je dotąd podwójne wtenczas tylko, gdy przedimek na samogłoskę zakończony, łączy się z wyrazem od téjże samogłoski zaczęty, i to zdarza się tylko przy samogłosce *o*, np. po przedimku *po*; *poobiedni*, *poobchodzić*. Przedimek *o* przybióra *b*: *obostrzyć* (*omdlewać*), *obumierać*: inne przyimki kończące się na samogłoski: *za*, *prze*, *u*, *wy*, nie mogą się łączyć z podobnemi samogłoskami, gdyż nie ma żadnego w polskim języku wyrazu mogącego się zrastać z takimiż przedimkami.

Jak na samogłoski tak i na spółgłoski podwójne, żaden się wyraz polski nie zaczyna, parę tylko wyjąwszy; a nigdy tak nie kończy. Pod tym ostatnim szczególniejszym względem, wyższy jest nad inne języki, w których najczęściej wyrazy na podwójne twarde spółgłoski się kończą: *Herr*, *matt*, *Schluss*, *Stoff* i t. d. Przecięż spółgłoski podwójne w środku wyrazów, przyczyniają się wiele do piękności i mocy brzmienia, w śpiewie szczególniejszym dzielny miewają

skutek, jak *terra Arragon, posso, prometto, donna, bellezza* i t. d. Tą zaletą nie może się język polski pochlubić. Unika on zbiegu podwójnych spółgłosek tak dalece, że w obcych wyrazach, nie znający innych języków, zwykle głoski podwójne na jedną stapiają, np. *sesya, komisya, gramatyka, kolega*. Dwie tylko spółgłoski podwójne są upowszechnione w polskim języku, i te są do wymówienia łatwe i przyjemne, to jest *dd* i *nn*. Pierwsze powstają z połączenia wyrazów z przedimkami zakończonymi na *od, pod, przed*; druga ze zbiegu z zakończeniem grammatyczném *na, nę, ni, ny, no, nu*. Obie podlegają jeszcze urozmaiceniu, gdy *d* po przedimku na *d* zakończonym, a *n* w skutku formacyj grammatycznych, miękczyc się zwykło, np. *nud-dziady, od-dzielić, pan-na, zmien-nie, staran nie*. W innym razie *d* spływa na samogłoski: *oddalić, oddech*; a po *nn* nigdy spółgłoska nie następuje.

Względem *nn*, najpospolitszego w polskim języku, w kilku tylko nazwach niezgodność zachodzi. Jak w obcych wyrazach zatracamy podwójne głoski, tak *n* lubimy w nich podwajać, np. *Dyanna*, a nawet i w słowiańskiem *Dziawanna, Marzanna*. Gdy zwyczaj za tém wyraźnie mówi, gdy to czyni wystowienie dobitniejszém, byłbym za pisaniem jednostajném podobnych wyrazów, przez *nn*. W jednym obcym wyrazie *tyran* nigdy dwóch *nn* nie używamy. Dawni Polacy mniej czuli piękności

w dwojeniu téj głoski, pisali *ptony, iny, rany*,
za *ptonny, inny, ranny*.

Inne spółgłoski podwójne bardzo są rzadkie.

kk.

Głoski te w kilku tylko wyrazach używane: *miękki, lekki*. Zamiana głoski *t* na *k*, zdawałaby się niepotrzebną, gdy mówimy *giętki, prędki, giętcy, prędcy*. Nie zmieniali jej dawni Polacy, nawet jeszcze pod Stanisławem Augustem, szczególnież Naruszewicz. Lecz gdy *k* drugie w zakończeniach grammatycznych zmienia się na *miękczy, miękczy, mięksi, miększy*; które przy zachowaniu źródłowego *t* miałyby brzmienie mniej dobitne i przyjemne, np. *zmięczenie, letcy, letsi, miętsi, miętczy*, piszemy sprawiedliwie literę podwójną, jak to częściej daleko czynią w podobnych wypadkach inne języki, mianowicie łaciński i włoski.

tt.

Podwójne *t* w trzech tylko słowach jest używane: *cett, spetta, zmetta*.

Cto, cett, niepotrzebnie na podwójną twardą spółgłoskę kończymy. Gdy mówimy *szkto szkiet, igtu igiet, zdźbto* (raczej *zdziebto*) *zdziebet*, nie widzę konieczności tego wyjątku. W zakończeniu innych przypadków ni-

knie wszędzie *ł* drugie, tak, jak w odpowiednich wyrazach *dzięto, dzied, dzielny, ctoceł, celny*. Brzmienia *zmetł, spetł; zmetła, spetła*, od *mléc, plewić, mléwo, pielenie*, nieznający grammatyki zmieniają jak mogą, unikając nienaturalnej twardości. I gdyby te wyrazy więcej w pismiennej mowie były używane, zapewne grammatycy musieliby przystać na inne ich zakończenie. Właściwie podwójne *ł*, zostaje tylko w imionach własnych narodu litewskiego: *Rudziwitt, Jagietto, Zabitto* i t. d.

mm.

Głoski *mm* przypadają tylko w czasownikach *karmmy, tammy*, w których według Kopczyńskiego pierwsze *m* należy zmiękczać. Takie zmiękczenie nie byłoby żadnym ułatwieniem ani pięknością. Brzmienie to, byłoby równie piękne jak *nn*, lub jak w innych językach *Emma, immer*, gdyby nie łączyło się jedynie z grubym *y*.

ss.

SS używane jest w jednym tylko słowie *ssać* utworzonym przez wyrzucenie samogłoski z wyrazu *sysać, cycać*. Wyrazy *sstąpić, sstępić* w niektórych pisach używane, zawierają dwa przedimki *z i s*, które osobne wzglę-

dy oznaczają, pisać się więc powinny *z-s-tępić*, *z-stąpić* jak *tupać*, *s-tapać* i *z-s-tępować*.

Nadając nasze zakończenia obcym wyrazom, nie piszemy w nich podwójnego s na końcu: *sukces*, *proces*, *kongres* (*sucessus*), lubo je zachowujemy w środku wyrazów.

zz.

Te spółgłoski w polskim języku schodzić się nie powinny, gdyż w tenczas zbliżają się do mocnego s, przy czém ginie wyraźność mająca wydać obecny zawsze w tym zbiegu przedimek; w tenczas tylko obok siebie stać mogą, litera z po przedimku z, znamię otrzymuje: *z-zięby* *z-ziąjać*, *z-żuć* *z-żymać*. W innych zdarzeniach przedziela je zwykle e podręczne: *ze-zwolić*, tak jak *ze-stawić*. Jeżeli po zz bezpośrednio samogłoska następuje, wtedy brzmienie to nie jest harmonii przeciwne: *z-zuć*, *z-zuchwalić*. Częściej jednak i tego zbiegu unikamy przez zamianę przedimka, np. *o-zuć*, *o-zuchwalić*.

II. O dodawaniu głosek.

Język polski, który o większą połowę spółgłoski stwardza, lub zmiękcza, który przeto najwięcej mieć może brzmień energicznych i pieściwych, przez tę samą własność skłonny

jest dodawać lub wyrzucać, nietylko pojedyncze głoski, lecz i całe sylaby, według potrzeby dobitności, albo miększego wystowienia. Dodawanie samogłosek nadaje mu łagodność, dodawanie spółgłosek przyczynia mu mocy: jedno i drugie sprawia szczególniejszą wyrazistość, dźwięczność i płynność wystowienia.

O dodawaną eufoniczną samogłosce *e* już była mowa. W tej posłudze tak już jest ustalona, że pod względem ortograficznym nic o niej powiedzieć nie pozostaje.

W wyrazach *ośm'*, *siedm'*, nie kładziemy niezbędnie potrzebnego *e*, dla tego, że tu *m* powinno być zmiękczone, chociaż spółgłoski poprzedzające, *s* i *m*, *d* i *m* są różnoorganne; czynimy to nawet w dalszych: *ośm'naście*, *ośm'set*, *siedm'dziesiąt*, czego nikt nie wymawia. Czesi skłonni do opuszczenia w piśmie samogłoski *e*, tu ją zachowują, nie miękcząc otaczających ją spółgłosek: *osem*. Bez ubliżenia formom grammatycznym, moglibyśmy pisać tak, jak mowimy, *osiem*, *osiemnaście*, jak piszemy *jeden*, *jedenaste*, *jedni*, *jednych*, albo *równien*, *równi*, *osiem*, *ósmy* i *taśma*, *tasiem*, *tasiemka*. Prawda, iżby to był wyjątek; że znaki ortograficzne do wymawiania nie obowiązują; ale dla czegoż mają być wyjątkiem te tylko dwa wyrazy, w których samogłoskę *e* niepisaną wymawiać należy. Co innego jest wypuszczać w mówieniu pisaną spółgłoskę, co innego, głoskę jakąkolwiek doda-

wać. Wszak tym sposobem *e* podręczne, moglibyśmy w innych wyrazach opuszczać: *pan-na pań panien, państwo panieństwo, pi-smo pismienne* albo *pisemne tuśma taśm ta-siemek*.

Prócz *e*, rzadko dodajemy w polskim języku inne samogłoski eufoniczne, i te już są ustalone: *poł Udnie*, chociaż piszemy *północ*, *zUpetnie*; *zadmę*, *zad Ymka*, *jednać*, *po-ed Ynek* i t. p.

Dla zmiękczenia, albo lepszej wyrazystości, dodajemy miękkie, słabe spółgłoski *d, j, n, ś*.

Stosownie do mojego zakresu, namienię o tych tylko wyrazach, względem których są jeszcze wątpliwości.

Dawni Polacy pisali powszechnie *barzo*, później dla dobitności, potrzebnej samemu znaczeniu słowa, piszą i mówią *bardzo*. Linde i Sniadecki, za nimi wielu innych, piszą po dawnemu. Mówi zatem to może postrzeżenie, że żaden słowiański dyalekt nie ma w tym wyrazie głoski *d*; lecz w tych dyalektach *barzo* zuaczy nasze *szybko, skoro*. Sądzę, iż w tym wyrazie brzmienie dodatkowe pozostać winno. Wszak i w wyrazie *zdrada* (który ma pochodzić od *rady*), nie ma żaden słowiański dyalekt brzmienia *d*; dodać go jednak kazało to samo ucho, które go w trudniejszym zbiegu spółgłosek na miększe *j* zamienia, albo je dodaje w ustalonych już wyrazach: *zdjąć, zdejmować, zdrajca* i t. p.

Wyrzucanie brzmienia *d*, w wyrazie *poszedł*, postrzegać się daje w małej liczbie pism najnowszych. Jak nikt nie mówi *poszedła* od *poszedł*, tak nie będzie mówił *poszetem*, i *posztem* i *poszet*. Brzmienie *d* uznał tu cały naród za potrzebne dla dobitności, nawet niektórych przyswojonych, np. *pendzel* (*Pinsel*), *rodzenki*. Mniej potrzebnie dodajemy je w słowie *rdzeń drdzeń*. Spółgłoska *j* jako najmniejsza, nie tylko staje na miejscu brzmień twardych, ale bywa dodawaną dla przyjemnej pełności szczególniej w środku wyrazów. Ścisłe połączona z samogłoską *i*, często jej miejsce zajmuje, i przez nią jest wzajem zastępowana: *jimać*, *imać*; *podisście*, *podejsście*; *wyisć*, *wyjsć*.

Mało bardzo mając wyrazów zaczynających się od samogłosek, wyjąwszy najniższe w przedimkach *ob*, *od*, *u*, dodawali dawni *j* przed wyrazami cudzoziemskimi: *Ewa*, *Jewa*, *Jędrzój*, *Andrzój*; zmieniamy ją i w polskich: *ażali*, *jeżeli*, *jeśli*, lub odrzucamy *i*: *iskra*, *skra*.

W wyrazie *abo* dodajemy *l*: *albo*, którejto głoski lud prosty nie wymawia, i która w dawniejszych pismach nie była kładzioną.

Głoskę *n* dodajemy w wyrazie obcym *rynsztunek*, tudzież w wyrazie *garniec*, które w zmiękczeniu przyjemne, utrudza wymówienie bez niego: *garnca*, i tu powszechnie jest wyrzucane. Często używano dawniej *n* w wy-

razie *sumienie*, i dziś niektórzy tak piszą *sumNienie*. *N* jest tu niepotrzebne, ani ze względu na źródło, ani na dobitność. Wszak ten wyraz znaczy dosłownie to co *con-scientia*, *Ge-wissen*, z *umienie*, z-*um*, s-*umienie*.

Ze głoska *ś* w wyrazach *wziąć* i t. p. być wyrzucaną nie może, już to dowiódł Mrozowski (*).

III. O wyrzucaniu głosek.

Samogłoska *e* wtedy się tylko wyrzucać może, gdy jest podręczną, co zależy od smaku, a na co najczęściej sam zbieg spółgłosek naprowadza, i tu pod względem ortograficznym nie masz nic do powiedzenia. Wyrzucanie innych samogłosek, przy formacjach grammatycznych jest już zupełnie ustalone; to samo i w największej części spółgłosek. Naruszewicz staranny w prozie, lecz nie dość gładki w budowie wiersza, czynił natomiast w pisowni wyrzutnie, których nikt nie naśladował. W nieprzyjemném zakończeniu czasowników na *szy*, gdy *t* na *w* być zmienioném nie może, powszechnie tę spółgłoskę wyrzuca: *wypadszy*, *wprzęgszy* i t. p.: wyrzuca *t* w wyrazach *zawistny*, *korzystny*; *zawisny*, *korzysny*. Wy-

(*) Odpowiedź na recenzję.

rzuca *d* w słowach, np. *najezdnik*: *najeznik*; *śmierdzący*: *śmierzący* i t. p.; *l* z wyrazów *rzemieślnik*, *pomyślnie*: *rzemieślnik*, *pomyślnie*. Te i tym podobne głoski w piśmie się mieścić powinny, chociażby ściśle do wymawiania nie zmuszały. Podobnych mniej daleko mamy niżeli Francuzi. Rzadko kto wymawia *jabłko*, *gardło*, jednak każdy tak pisze.

W zamianie samogłosek i spółgłosek nie masz w terażniejszej ortografii polskiej żadnej niezgodności.



ZDANIE SPRAWY

DEPUTACYI

przy złożeniu

TOWARZYSTWU KRÓL. WARSZAWSKIE-
MU PRZYJACIOŁ NAUK

rozpraw i wniosków dotyczących się ustalenia

PISOWNI POLSKIEJ. (*)

Wyznaczeni z grona Towarzystwa do przejrzenia zasad pisowni polskiej, chcąc odpowiedzieć chlubnemu wezwaniu, zaczęliśmy prace nasze od rozpoznania celniejszych Grammatyk

(*) W tomie VIII. dzieł Brodzińskiego, od str. 183— 200 położyliśmy uwagi naszego autora *Nad pisownią polską*, które stanowią przedmowę do

i licznych pism, które się kiedykolwiek w całości lub części tym ważnym przedmiotem zajmowały. Porównanie tytu przepisów jednych z drugimi, jakoteż z ortografią znakomitszych dzieł wydanych w różnych miejscach i w różnych epokach literatury ojczyściej, wskazało nam długi szereg sprzeczności, dotąd nierozwiązanych równie w teorii jak we zwyczaju narodowym. Nie zdołały zaprowadzić stałych prawideł usiłowania autora Gramatyki dla szkół publicznych, chociaż dzieło to od pół wieku zatwierdzone przez władzę edukacyjną, stanowiło początkową naukę młodzieży krajowej. Sam autor czuł niedostateczność swoich przepisów, gdy niektóre z nich tak często poprawiał i zmieniał.

Myśl utworzenia jednostajnej pisowni, powzięta od lat przeszło dwudziestu przez Towarzystwo Przyjaciół nauk, jeżeli dla wielu przyczyn dotąd skuteczną być nie mogła, stała się jednak powodem, dla uczonych badaczy, do nowych w tej rzeczy poszukiwań. W roku 1811 Franciszek Szopowicz przesłał Towa-

działa pod tytułem *O pisowni Polskiej w Warszawie* 1830 r. Teraz zaś dla uzupełnienia prac zmarłego kładziemy tu *Zdanie Komisji Sprawy Deputacyi*, wypracowanie którego, s. p. Brodziński, jako jeden z pięciu wyznaczonych członków do Deputacyi, przyjął na siebie — (P.W.)

rzystwu szacowne uwagi swoje nad samogłoskami i spółgłoskami, później w roku 1827 drukiem ogłoszone. Udzielali i inni pisarze swoich postrzeżeń, bądź przez pisma publiczne, bądź przez nadsyłane zgromadzeniu rozprawy. W roku 1816 Aloizy Feliński na czele zbioru dzieł swoich umieścił obszerniejsze w tém przedmiocie badania.

Pisma te, wsparte powszechniejszém przyjęciem niektórych zasad ortograficznych, posłużyły Deputacyi za pierwszą przewodnią w porównanej jej pracy. Zapatrując się szczególnie na rozprawę Felińskiego, zawierającą staranny wykaz najgłówniejszych wątpliwości, będącą już od lat kilkunastu pod sądem publicznym, i mającą po sobie słuszną powagę pisarza, dokładnie obeznanego z przedsięwziętym zawodem, starała się jedynie Deputacya wyjaśnić i udowodnić co w tej rozprawie dobrém, sprostować co mniej dostateczném, uzupełnić co opuszczoném uznała.

Wykonanie jednak zamiaru naszego nie mogło tak rychło postępować, jakśmy z początku sami mniemali. Pisarz myślący, jakim był Feliński, w uchybieniach nawet swoich nie jest bez powodów: jeżeli przeto znajdował w Deputacyi przeciwników, znajdował także i obrońców. Przedmioty sporne często małej wagi na pozór, otwierając pole do rozleglejszych badań, nie zawsze mogły być załatwione ustnym na obradach rozbiorem. Popierano różniące się zdania osobnemi rozprawami; roz-

prawy pociągnęły za sobą równie obszerne odpowiedzi: tym sposobem obrady ustne zamieniły się w piśmienne, a z tąd każdy szczegół dłuższego potrzebował czasu, nim Deputacya w rzeczy różnostronnej wyjaśnionej i dostatecznie przygotowanej, przystąpić mogła do uznania wniosku.

Zbiór takowych rozpraw, z przydaniem ogólnego wykazu ostatecznych rozstrzygnięć, przynosimy teraz pod sąd Towarzystwa jako owoc ukończonej pracy, do której nas rozkaz jego powołał. Jakaśmy drogą postępowali w poszukiwaniu przepisów któreby jeżeli nie zupełnie ustalić, tedy przynajmniej znacznie zbliżyć mogły pisownią polską do pożądaney jednostajności; okażą tu przyłączone pisma i porównane z niemi wnioski Deputacyi.

Ściśle poznanie natury głosek, mechanizm języka, pochodzenie wyrazów, pilny zawsze wzgląd na formy grammatyczne wyczerpnięte z budowy języka, łagodzenie brzmień, wolne jednak, od przesady, któraby mowę polską właściwej jej mocy i wyrazistości pozbawiać mogła, powaga znakomitych pisarzy, były dla nas nieodstępniemi skazówkami. We wszystkich wnioskach tośmy na pierwszym mieli widoku, ażeby przepisy ortografii, jasne, proste wyrażne, nieobciążone mnogością wyjątków, najbliżej odpowiadały głównej zasadzie, która nakazuje każde oddzielne brzmienie własną i stale tąż samą postacią alfabetyczną wyrażać. Je-

żeli nam z jednej strony troskliwie należało unikać nowości; nie mogliśmy z drugiej być obojętnymi na takie poprawy, które chociaż przez nawykłość piszących i długie zaniedbanie najoczewistszej prawdy, mogą się na pozór wydawać nowemi, w gruncie jednak wyływają koniecznie z natury mowy polskiej.

Wreszcie w najtrudniejszych wątpliwościach łączyliśmy zdanie nasze z przewagą zwyczaju narodowego, żywo przejęci tą myślą, że ortografia powinna upatrywać, w tymże narodowym zwyczaju, dążenie języka od samej natury mu wskazane, i w tém go popierać. Jakoż pewna część terażniejszych przepisów, jeżeli będą przyjęte, służyć tylko może na czas ograniczony, szczególnie co do znamionowania samogłosek. Ściśnione np. *é* było dawniej daleko częściej w mowie naszej używane niż teraz. W stanowieniu zatem prawideł na samogłoski ściśnione musiała Deputacya pilnie się radzić obecnego zwyczaju.

Wspomnieć jeszcze winniśmy, jak wielką dla nas w zachowaniu tych trudnych warunków, było pomocą znane dzieło Mrozińskiego pod tytułem *Pierwsze zasady języka polskiego*, pomnożone zamożnemi wiadomościami w przydatkowém tegoż autora piśmie obejmującém *Odpowiedź na recenzję*. Sam autor tytuł uczonych nad językiem badań, tytuł gruntownych posrzeń, z równą uprzejmością jak wytrwaniem prace Deputacyi podzielał i wspierał.

Oznajmilo już Towarzystwo publicznie, że

zbiór przepisów jakie pod względem ortografii wydać zamierza, ma być tylko ze strony jego nowym dowodem troskliwości o język ojczysty, tłumaczem jego w tej mierze mniemania, nie zaś ostatecznym wyrokiem; że pragnie usłyszeć pierwój głos publiczny, nim własny z powszechniejszym sądem znawców pogodzi. Tą myślą powodowana Deputacya, obok przepisów, które za pewne i konieczne uznała, podaje razem i te, które uważa jedynie jako myśli godne dalszego rozbioru, nie przywiązując do nich znaczenia prawideł. Równie w samych rozprawach znajdzie Towarzystwo liczne uwagi członków bądź różniące się od przyjętego w Deputacyi zdania, bądź zawierające nowe pomysły, które w poniższy wykaz nie weszły. Rozwaga Towarzystwa i publiczności wydoskonalili dzieło potrzebujące i czasu i usilnych badań, ażeby objąć mogło wszystkie wątpliwości pisowni i stanować w ich rozwiązaniu powagę.

Ostateczne wnioski wynikłe z narad Deputacyi są następujące:

I.

Znamionowanie samogłosek.

Zwyczaj powszechny oddawna już odrzucił znamionowanie samogłoski *a*, do rozróżnienia w wymowie prawie niepodobne, dla wdzię-

ku języka niekorzystne (Rozprawa Ks. Szwejkowskiego str. 35—44, Mrozińskiego 48—78, Brodzińskiego 378 i nast.): pozostają więc tylko samogłoski *o*, *e*, których brzmienie ściśnione, to jest pochylające się, w pierwszej do brzmienia *u*, w drugiej do brzmienia *y*, *i*, oznacza się w piśmie znawieniem.

Samogłoska *o* ma zwykle brzmienie ściśnione i kréskuje się:

1. Gdy spółgłoska słaba, lub, płynna nienosowa, alko też dwie spółgłoski, z których pierwsza jest słaba druga płynna nienosowa (*), kończąc wyraz, spływają na samogłoskę *o* poprzednio stojącą, np. *bób*, *osób*, *głód*, *trzód*, *głóg*, *nóg*, *rów*, *głów*, *wóz*, *ncź*, *strój*, *sól*, *dół*, *bór*, *hóbr*, *dóbr*, *mógł*, *wiózt*, i t. p., prócz następujących wyjątków:

a) W słowach *od*, *pod*, *dob* (doła), *dzieciót*, *gruczoł*, *kwiczoł*, *mozót*, *pachót*, *sokoł*, *gąsior*, *jawor*, *jezior*, *kaczor*, *piskorz*, *por*, *sikor*, *węgorz*, *żywiót*, spółgłoski mające moc pochylania poprzedzającej samogłoski *o*, wcale jój nie pochylają.

b) Również jój nie pochylają w wyrazach obcych, np. *aktor*, *fawor*, *honor*, *rektor* i t. p.

(*). Spółgłoski słabe są: *b*, *d*, *g*, *w*, *z*, *ź* *dz*, *dź*, *h*, do których spółgłoskę *j* przydać należy. Spółgłoski płynne nienosowe: *l*, *t*, *r*, (ob *Pierwsze zasady Grammatyki jęz. pols.* str. 9. 12. i *Rozprawa w témże dziele* str. 88).

c) Spółgłoska *z* nie pochyla także samogłoski *o*, gdy jest przyrostkiem, np. *toż*, *jakoż*, *wszelakoż*, *trudnoż*, *mówionoż*, *byłoż to*, i t. p. (Mroziń. str. 88-89, 94-98. 102. Szwejk. 21—27).

W przypadku, który objęty jest powyższym prawidłem I^{em}, samogłoska *o*, po rozłączeniu się ze spółgłoską, która brzmienie jej pochylała, odzyskuje brzmienie otwarte: *grób*, *grobu*; *osób*, *osoba*; *głód*, *głodu*; *nóy*, *noga*; *trzód*, *trzoda*; *strój*, *stroju*.

2. W środku wyrazu samogłoska *o* ma brzmienie ściśnione przed temiż samymi spółgłoskami, gdy po nich następuje zakończenie *ka*, *ko*, bądź dla zdrobniałości, jak np. *główka*, *szkótko*, *klódko*, *słówko*, *ziółko*, *kółko*; bądź w słowach, które tymże samym sposobem, nakszałt zdrobniałych, chociaż od nieużywanym wyrazów, utworzono, jak np. *borówka*, *krzyżówka*, *dachówka*, *Żydówka*, *mrówka*, *złotówka*, *rozwódka*, *dorożka* i t. p.

W tym przypadku samogłoska *o* ma brzmienie ściśnione po odłączeniu się nawet od następującej spółgłoski: *słówko*, *słówek*; *Żydówka*, *Żydówek*; zachowuje oraz to samo brzmienie w wyrazach pochodnych: *podgłówek*, *podbródek*, *przystówek*, *podnożek*. (Mroziń. str. 96—98, Szwejk. 25).

Równie w wyrazach zdrobniałych *ogródek*, *otówek*, *wózek*, *ogórek*, chociaż

utworzonych od rzeczowników męzkich, głoska *o* ma brzmienie ściśnione. (Mro. 102)

3. W słowach *pół*, *ów*, *bój*, oraz w słowach liczbowych *dwój*, *trój*, *czwór*, samogłoska *o* zachowuje brzmienie ściśnione które jej nadaje wspierająca się na niej spółgłoska: *półtora*, *półmisek*, *półsetek*, *spółka*, *wspólnik*, *współczesny*, *naówczas*, *zbojca*, *bratobójca*, *dwójka*, *podwójny*, *w dwojnásób*, *trójka*, *trójca*, *potrójny*, *trójkąt*, *trójząb*, *czwórka*, *poczwórny*; lecz przestaje być w niej ściśnioną, skoro spółgłoska pochyłająca jej brzmienie od niej się odłącza: *połowa*, *spotem*, *owad*, *nabojem*, *dwojako*, *podwoje*, *podwoić*, *dwoisty*, *troić*, *czworo*, *czworaki*, i t. p. (Mroziń. str. 95)

4. Wreszcie zwyczaj zachowuje *o* ściśnione w słowach *bóstwo*, *chór*, *córa*, *córka*, *czótno*, *dowództwo*, *dwóch*, *glówny*, *góra*, *Jakób*, *Józef*, *któć*, *któcić*, *król*, *krótki*, *który*, *młócić*, *mnóstwo*, *mówić*, *mózg*, *uchędóstwo*, *ogót*, *pióro*, *ptótno*, *podróż*, *pójść*, *póki*, *póty* *powrósto*, *późny*, *próc*, *próchno*, *prócz*, *prószyc*, *próżny*, *robotka*, *równy*, *róża*, *różga*, *różny*, *skóra*, *sobotka*, *szrót*, *stróż*, *szczegót*, *tchórz*, *tłomok*, *twórca*, *ubóstwo*, *włóczyć*, *włókno*, *województki*, *województwo*, *wojt*, *wróbel*, *wrócić*, *wróżyc*, *wskórać*, *wskroś*, *wtóry*, *żóć*, *żóty*, *żótyw*, *żóraw*, *żrótko*, *tudzież* w słowach liczbowych *szósty*, *siodmy*, *ósmy* (Mroziń 103-104).

Co do *e* ściśnionego Deputacya pilnie rozważała wniosek ks. Szwejkowskiego (str. 29), że też same spółgłoski, które pochylają brzmienie *o*, pochylają także samogłoskę *e*. Mniemanie to zdaje się być popartém, przez inne postrzeżenie (str. 31): że *samo tylko e otwarte ginie w przypadkowaniu rzeczowników*, np. *ojciec, ojca; sen, snu, poczet, pocztu*, i t. p.; zkadby wypadło przyznać samogłosce *e* znamię ściśnione w wyrazach, w których ona nie znika, jak *pogrzyb, pogrzebu; brzeg, brzegu; chmiel chmielu* i t. p.; a następnie prawidło I^{wsze} przyjęte co do samogłoski *o* rozciągnąchy należało równie do samogłoski *o* której mówić mamy. Ale zastanawiając się jak daleko tu różnym, jak niejednostajnym, jak mało znacznym jest wpływ spółgłoszek *stąbnych i płynnych nienosowych*; widząc że zwyczaj narodowy coraz więcej zbliża samogłoskę *e* do brzmienia otwartego; że w tym razie zaledwie już w kilku słowach chwieje się samogłoska *e* pod wpływem spółgłoski *stąbnej*, np. *chléb, śnieg, spiew, siew*; przeciwnie zaś otwarte jój brzmienie w wyrazach *pogrzyb, brzeg, chmiel* i t. d. zda się być powszechnie ustalone; Deputacya skłoniła się do wyłączenia téj zasady, podając następujące przepisy:

Samogłoska *e* ma brzmienie ściśnione i krótskuje się:

1. W końcu wyrazu w zakończeniu *ej*, np. *olój, złodziej*, i t. p. a przeto w drugim i trzecim przypadku przymiotników w rodzaju żeń-

skim, np. *dobrój, pięknej, przyjemnej*, w stopniu wyższym i najwyższym wszystkich przysłówków, np. *bliżej, dalej, częściej, lepiej, najgłośniej*; (ndziej w zakończeniu *ej* w trybie rozkazującym, np. *chciej, chwiej, miej, mdlej*, i t. p. (Szwejk. str. 29-30. Mroziń. 99-100)

2 W szóstym i siódmym przypadku przymiotników w rodzaju nijakim, np. *pięknem dziełem, rzadkiem zdarzeniem*. (Szwejk. i Mroziń. tamże)

3 W czasownikach niedokonanych, złożonych z przyimkami pochodzących od słów, *drzeć, trzeć, wrzeć, mrzeć, przeć, żreć, prać, dziać, grzać, lać, srać*, np. *odzieram, zacieram, umieram, zapieram, pożeram, wylewam, zaśiewam* i t. p. (Mroziń. 103).

4- W pierwszym przypadku rzeczowników *chleb, śledź, śpiew sięw* (Szwejk. 30); we wszystkich odmianach czasowników *umie, rozumie, wie, powie, dowie się, śmieć, jeć*, (Mr. 103); i w trybie bezokolicznym niektórych czasowników: *grzmieć, brzmieć, lecieć, pleć, mdleć, iłsnieć, piec* i t. p. (Szwejk. 30, Mroziń, 101).

5. W wyrazach: *Agnieszka, biada, biś, cęruję, cówka, chlew, cierpieć, czepek, ctery, dopiero, dziecię, dziewczka, dobrodziejka, dzięrgać, dzieża, gniew, grzech, imbiér, Jerzy, jeź, kaléka, karéta, klój, klészczce, kobiéta, kolébka, kréda, kréska, łócić (ogrzewać), léczyć, mlécz, mléko, mléwo, papier, papiér, piérwszy,*

piérze, podcklébiam, rzéko, ściérwo, sér, sieć, siékiera, sknéra, śniég skwiér, śmiech, stér, świéca, świércz, swiérk, swiérzba, świéży, szczéry, wiécha, Wiédeń, wiérsz, wiérzba, wiérzch, ziewać, źrebie, zwiérz, zér, zerdź: i w niektórych zakończonych na erz, np. alkiérz. Kazimierz, kołniérz, kusniérz, masztalérz. możdiérz, pastérz, pérz, talérz, żołniérz.

Ogólnie co do znamionowania samogłosek *o e*, uważa Deputacya, że słowa, w których jedni piszą *ó* króskowane, drudzy *u*, wypada dla ustalenia pisowni pisać przez *u*, jeżeli w grammatycznych odmianach wyrazu nigdzie się nie ukazuje *o* otwarte; i jeżeli bliższe pochodzenie słowa nie wymaga koniecznie *ó* ściśnionego. Tym sposobem pisać należy *bankrut, biuro; but bruzda, catun chruściel, chrust, dtuto, drut, kłus, krubka, luźny, nucić, nuta, płukać; pułk, pułka, pułkownik, ślusarz, sruba, sznur, szpunt tłumacz, i t. p.*

Wyrazy cudzoziemskie mające *u*, a mianowicie zakończone na *unek*; nie powinny się pisać przez *ó* ściśnione: *trunek, werbunek, gatunek, frasunek*; przeciwnie polskie podobnego, zakończenia mają zawsze *o* otwarte: *trzonek, korzonek, i t. p.* (Brodziń. 383).

Podobnież co do *é* ściśnionego Deputacya radzi pisać, na téj saméj zasadzie *badył; blich, cybuch, cyrkiel, cyrulik, cyrograf, drzymać, gryka, gzyms, gdyrać, mir, pył, rozynek żbir, zydel, zyz, nie zaś badel, blech, cébuch, cérkiel i t. p.*

Ponieważ zwyczaj narodowy dąży do zamiany *é* ściśnionego na otwarte; powszechnie zatem, gdzie zachodzi wątpliwość powyższemi prawidłami nierozwiązana, pisać raczej należy *e* otwarte aniżeli ściśnione. (Brodz. 365-366).

II.

Używanie w pisowni liter i, y, j,

Uważając, że głoska *i* pisze się u nas w dwojakim kształcie, według tego, jak od poprzedniej spływającej na nią spółgłoski *miękkiej* lub *twardiej*, tou cieńszy *i*, albo też grubszy *y* otrzymuje; że *i* umieszczane po spółgłosce, przed jedną z samogłosek *a, e, ę, o, u*, nie wydaje bynajmniej oddzielnego swego tonu, ale służy tylko za znak zmiękczenia poprzedniej spółgłoski; że teoria dyftongów jest mylną; sądzi Deputacya, iż równie pisownia nasza, jak wymawianie i sama grammatyka pozyska większą pewność, jasność i dokładność, gdy przyjęte będą następujące prawidła:

1. Iżbyśmy stale używali postaci *j* wyrażającej brzmienie spółgłoskowe tam, gdzie dotąd pisownia nasza mieściła literę *i, y*, jako część mniemanego dyftongu, czy w zaczęciu sylaby: *jabłoń, jądro, jeden, jęk, jodła, już*; czy w zakończeniu: *maj, réj, kij, stój, wuj, stryj*; — *przedajny, uprzejmy, zbrojny, bujny, familijny, kommis-*

syjny; równie w tenczas gdy do niej należy sama, jak w powyższych przykładach, jak łącznie z inną spółgłoską: *wjazd*, *zjazd*, *objazd*, *wojt* i t. p.

2. Postać rzeczona ma w takim używaniu brzmienie spółgłoskowe *je*.

3. Ponieważ brzmienie spółgłoski najmniejszej *je* spływając na samogłoskę najcieńszą *i*, w wymawianiu zlewa się w jeden ton i pozornie znika; spółgłoska prze' o *j*, ani się wymawiać, ani pisać powinna przed samogłoską *i*; to jest: nie piszemy *szyji*, *sto-jisz*, *kra-jina*, ale *szyi*, *stoi*, *kraina*.

4. Jako spółgłoska należąca do rzędu najmniejszych, nigdy na grubsze *y* spływać nie może; przeciwnie gdy na nią spływać może cieńsze *i*, lub grubsze *y*, zarówno po obudwóch się pisze: *bij*, *kij*, *żyj*, *stryj*.

5. Wyrazy cudzoziemskie: *Julia*, *Fabian*, *Scypion*, *Idamia*, *Niobe*, albo *komedya*, *Greycja*, *Azya*, i t. p. takim sposobem, zgodnie z pisownią języków, z których pochodzą, pisać się powinny; nigdy zaś *Fabijan*, *Scypijon*, *Ilamija*, *Njobe*, *Greycja*, *komedycja*, *Azyja*; ani *Fabiion*, *scypią*, i t. p. ani też przez mylne użycie spółgłoski *j*, i złe wymawianie *Azja*, *Anglja*, *kurjer*, *Prejoza* i t. d.

6. Kształt alfabetyczny postaci odróżniającej samogłoskę *i*, od spółgłoski *j*, w drukach i w piśmie małym, jest wyraźny. W początkowych tylko większych literach piśmie

nych potrzebuje tej różnicy znanej i przyjętej we wszystkich językach mających alfabet łaciński: żeby *J* spółgłoska przechodziła za podstawę liter, *I* samogłoska na niej się opierała. (Ob. Rozprawę Osińskiego o używaniu liter *i*, *y*, *j*, str. 128).

III.

Końcowa samogłoska ę w rzeczownikach rodzaju nijakiego.

Deputacya przyjęła ogólne prawidło następujące:

Należy kończyć na *ę* nietylko rzeczowniki żywotne: *cielę, dziecię, dziewczę, jagnię, lwię, ksiączę, kurczę, prosię, zwierzę*; ale i nieżywotne: *brzemię, ciemię, dymię, imię, plemię, ramię, siemię, wymię, znamię*, które w dalszych przypadkach jeszcze jedną zgłoskę przybierają, np. *dziecię, dziecięcica; plemię, plemienia*, (ob. Rozpr. Mroziń. 105-127).

IV.

Wątpliwość co do zakończeń cechowych e-mi, imi w 6^{ty}m przypadku przymiotników męzkich, oraz émy, imy w 1^{sz}ej osobie czasowników liczby mnogiej.

Zważając, że z odróżnienia przymiotnika

męzkiego w 6 przypadku liczby mnogiej *stawnymi mężami, wielkimi, pisarzami*, nie wpływa żadna korzyść ani dla wdzięku mowy, ani dla wyjaśnienia formy przypadkowania; Deputacya nie widzi wprawdzie potrzeby takiego odróżniania rodzaju, i sądzi, iżby jedno tylko powinno być zakończenie *emi* na przymiotniki każdego rodzaju; trzymała się jednak powszechnie w tój mierze używanój pisowni (Brodziń. 373—378. Mroziń. 440—451).

Co do 1^{sz}ej osoby w mnogiej liczbie czasowników, względ na tworzenie się tego zakończenia przez dodanie zgłoski *my* do trzeciej osoby liczby pojedynczej: *pali, palimy; nosi, nosimy; uczy, uczymy*; kazał jój być za utrzymaniem tego sposobu pisania, który wypływa z grammatycznego układu mowy naszej (obacz Brodz. 372. Mroziń. 456).

V.

Znamionowanie spółgłosek.

Podział spółgłosek na *twarde* i *miękkie* stanowi ważną zasadę na której się opiera, w mowie polskiej, równie znaczenie wyrazów, jak zmiany ich grammatyczne. Dla wydania zatem takowój różnicy należy zachować znamiona zmiękczenia nietylko nad spółgłoskami *ć, dź, ń, ś, ź, ż*, które i w wymawianiu i w piśmie powszechnie są używane, ale i nad spół-

głoskami *b'*, *m'*, *p'*, *w'*, których zwyczaj w mowie i w piśmie ściśle nie zachowuje.

Ostatnie te cztery spółgłoski na końcu tylko wyrazów kréskują się jako zmiękczone:

1. W rzeczownikach, które przed zakończeniem drugiego i innych przypadków miękko się wymawiają: *drob'*, *drobiu*, *kurm'*, *kurmi*; *drop'*, *dropia*; *karp'*, *karpia*; *paw'*, *pawia*; i t. p.

2. W trybach rozkazujących czasowników, które się w trzeciej osobie czasu teraźniejszego lub przyszłego kończyły na *i*, albo przed zakończeniem na *e* miały miękką spółgłoskę, np. *robi*, *rob'*; *łame*, *łam'*.

Mięczenie to jednak nie jest potrzebnem w liczbie mnogiej trybu rozkazującego *łam'my*, *rob'my*, i t. p.; a nawet w liczbie pojedynczej ginać powinno przy zetknięciu z inną spółgłoską: *robno*, *robze*, podobnie jak znika miękkość spółgłoski *dziewięć*, *dziewiętnaście*.

Spółgłoska *f*, wchodząca do bardzo małej liczby wyrazów, nie kréskuje się nigdy. (Porówn. Rozprawę Brodz. 387-391).



W tém miejscu należy wspomnieć, że jak się zmniejszą znamiona nad samogłoskami, tak zwyczaj narodowy przestaje zmiękczać i kréskować niektóre spółgłoski.

Są wyrazy, w których niejednostajnie piszemy *s* lub *ś*, *z* lub *ź*, *ż* lub *ż*. To zdarza się najpowszechniej przed zmiękczonekami *p*, *m*, *n*. Nie różnimy się nigdy w wyrazach *spiąc*, *spieka*, *wyspie*; *jaśnie*, *właśnie*, *trzaśnie*, *śmieszny*, *taśmie*, *wieżmie*. Ale jest niezgoda w mówieniu i pisaniu *spi*, *spi*; *spiesz*, *spiesz*; *pasmie*, *pasmie*; *ojczyźnie*, *ojczyźnie*; *przyjajnie* (adv.), *przyjajnie* (Brodz. 411).

Zachodzi także podobna niejednostajność w pisaniu wyrazów przez *ś*, lub *sz*, np. *śkto*, *szkto*; *Słask*, *Szłask*; *ślachcic*, *szlachcic*; i t. p.

Deputacya, idąc za powszechniejszym zwyczajem, sądzi, iż pisać należy:

Spi, *spieszny*, *pismie*, *pasmie*, nie *spi*, *spieszny*, i t. p. (porów. Szwejk. 203, Brodz. 412); *ojczyźnie*, *gotowiznie*, *mierznie*, *siwiznie*, *włoszczyźnie*, *darowiznie*, *starszycznie*, *cudzoziemczyźnie*, *przyjajnie*; nie *ojczyźnie*, *gotowiznie* i t. p. Brodz. 412-413).

Przeciwnie, pisać trzeba: *ukośnie*, *jaśnie*, *zazdrośni*, *bolesni*, *trzaśnie*, *właśnie*, *błyśnie*, *wiośnie*, *śpiw*, *wiośle*, *maśle*, *pośle*; równie *ściec*, *ściek*, *ściągnąć*, *ścisnąć*, *powściągnąć*; (Szwejk. 203. Brodz. 412-413; 422).

Zwierzę, nie *zwierzę*; *żmija*, nie *żmija*; *szlachcic*; *Szłask*, *szpik*, *szpital*.

szpieg, szpinak, szlak, szkło, szklanka, szła, szrót (w mieleniu);

Śzlaz, śle, ślub, śluza, śruba, śrub-szak. (porów. Szwejk. 203-204. Brodz. 412-422).

VI.

Jak się pisać powinna głoska g przed i, tudzież e w wyrazach cudzoziemskich.

Gdy w wielu wyrazach cudzoziemskich zgłoski *ge, gi*, wymawiamy miękko jak *je, ji* (*generał, geografia, logika*); gdy oraz w polskich słowach samo *g* nie może poprzedzać samogłoski *e*, ale miękczy się zawsze przydaną głoską *i*, która w tym razie uważana jest za znamię miękczące, np. *giermek, długie, gięda*: znosząc przeto rażąca niejednostajność, przyjąć należy prawidłó:

Ażeby we wszystkich słowach obcych, nie tylko w nazwiskach własnych i chrzestnych, jak *Gessner, Germania, Genewa, Gerwazy, Gertruda*, ale i w imionach pospolitych do języka przyswojonych: *geografia, genealogia, algebra, geometrya, ewangelia, generał, regestr, logika* i t. p. pisać przez *g* według pisowni języka, z którego pochodzą, nie zamieniając ich ani w zmiękczone nasze *gie*, ani w brzmienie spółgłoski *je*. (Rozpr. Bentkowskiego 164—173).

VII.

Końcowe spółgłoski trybu bezokolicznego.

Tryb bezokoliczny tworzy się od pierwszjej osoby czasu teraźniejszego lub przyszłego, np. *trzęsę, trząść; piję, pić; gryzę, gryźć; wiozę, wieźć; leżę, leźć; mówię, mówić*. Wypływają ztąd następujące prawidła:

1. Jak się ma pisać niezmiękczone spółgłoska końcowa niektórych czasowników w trybie bezokolicznym, np. *pięc, mōdz, tłuc, strzydz*, czy przez *c*, czy przez *dz*, okazuje pierwsza osoba czasu teraźniejszego lub przyszłego, pomnąc na mechałizm języka, w którym głoska *k* zamienia się na *c*, głoska zaś *g* zamienia się na *dz*, (*taska, tasce; noga, nodze*). Ztąd czasowniki *włec, pięc, ciec, tłuc*, i t. p. pochodzące od *tłukę, piekę, ciekę, wlokę*, mają w trybie bezokolicznym zakończenie *c*. Czasowniki zaś *mogę, biegnę, strzegę, strzygę* i t. p. mają w trybie bezokolicznym *dz*: *mōdz, ledz, biedz, strzedz, strzydz, zaprzadz, przyśiadz*. (Beutk. 271, Mroziń. 296—314 (*)).

(*) Czytelnik porówna w tém miejscu Uwagi Prezesa Deputacyi Ka. Szwejkowskiego, nad zakończeniem trybu bezokolicznego słów *biegnę, mogę, strzegę*, i t. p. w których autor podaje myśl kończenia w tym trybie wszystkich słów na *c*, lub *ć*, z wypuszczeniem zupełnie brzmienia *dz* (str. 287).

2. Czyli zaś w trybie bezokolicznym niektórych czasowników pisać należy *ć*, lub *dź*: zważając że spółgłoska *ć*, jest u nas charakterystyczném zakończeniem trybu bezokolicznego, pisać je należy wszystkie bez wyjątku przez *ć*: *kłaść*, *paść* (od *padać*), *kraść*, *prząść*, *siaść*, *jeść*, *bość*, *wieść*, *iść*, *duć*, *być* i t. p. (Bentk. 275, Mroziń. 302).

3. Czasowniki *leźć*, *wieźć*, *znaleźć*, *gryźć*, *grząźć*, dla formowania swego piszą się przez *źć*, nie przez *ść*. (Bentk. tamże).

VIII.

Zakończenia trybu rozkazującego.

Między nowościami wprowadzonymi do pisowni polskiej daje się postrzegać, że kiedy jedni tryb bezokoliczny w kilkunastu czasownikach, zamiast podług Kopczyńskiego przez *dź*, pisać zaczęli przez *ć*; inni, nie objawszy rzeczy należycie, nietylko tryb bezokoliczny ale i rozkazujący tym samym sposobem piszą: *bąć*, *siąć*, zamiast *baź*, *siąź*. Równie sądzą niektórzy, iż według rady Felińskiego tryb rozkazujący czasowników *rwiéj*, *tniéj*, *drzéj*, *zwiéj*, i t. p. pisać należy, z opuszczeniem *e*, *rwiij*, *tnij*, *drzij*, *zwij*. To było Deputacyi ortograficznej powodem do wznowienia przepisów:

1. Że w słowach, które formują tryb rozkazujący od 3^{ciej} osoby liczby pojedynczej try-

bu oznajmującego przez przybranie spółgłoski *j*, tenże tryb rozkazujący pisać się ma przez *e* ściśnione jeżeli trzecia osoba kończyła się na *e*; np. *zawrze, zawrzěj; umrze, umrzěj; rozzedrze, rozzedrzěj; ssie, ssiěj; umie, umiej; wstrząśnie, wstrząśniěj; schnie, schniěj; rwie, rwiěj; tże, tżěj; kaszle, kaszłěj; i t. d.* (Bentk. 322. Mroziń. 325. Brodz. 368).

2. Że w słowach, które formują tryb rozkazujący przez odrzucenie końcowej samogłoski *e*, w trzeciej osobie trybu oznajmującego, pisać się powinno *ć* lub *dź*, wedle tego, jaka spółgłoska, po odjęciu końcowej samogłoski, pozostaje: *ktuci, ktuć; nuci, nuć; wróci, wróć; kręci, kręć; chodzi, chodź, błądzi, błądź, siedzi, siedź; będzie, bądź.* (Bentk. 322).

IX.

O używaniu liter S, Z, i w ogólności o zmianie brzmienia spółgłoski, przy zbiegu spółgłoski mocnej ze słabą.

1. Jeżeli spółgłoska słaba nie zlewa się ze spółgłoską mocną, ale się z nią tylko styka; zmiana brzmienia spółgłoski w mowie nie pociąga za sobą zmiany liter w piśmie; np. *ga-tąź, ga-tązka; związek, związki; Francuz, Francuzka; zagadać, zagadka; Arab, a-*

rabski i t. p. oprócz *dech*, *tchu* (Mroziń. 233 237. por. rozpr. Szwejk. 183)

2 Jeżeli przy łączeniu zakończenia *stwo* lub *ski*, spółgłoska mocna zléwa się w jedną głoskę ze spółgłoską *d*, *dz*, lub *dź*, pismo zachowuje ślad głoski słabéj należącój do słowa pierwotnego: *Żmudź*, *żmudzki*, nie *żmucki*; *lud*, *ludzki*, nie *lucki*; *wojewoda*, *województwo*, nie *województwo* i t. p. (tamże 237—240).

3. Jeżeli przy łączeniu zakończenia *stwo* lub *ski*, spółgłoska mocna *s* zléwa się w jedną głoskę ze słabą spółgłoską *z*, *ź*, lub *ż*; wtenczas wyraz pisze się przez *z*, nie przez *s*, np. *maż*, *mężki*, *mężtwo*; *zwycięzam*, *zwycięztwo*; *Francuz*, *francuzki*; *papięż*, *papiężki*, tamże 241—246).

4. Jeżeli wyraz traci głoskę *g* przed przybraném zakończeniem *stwo*, *ski*; należy pisać *s*, nie *z*, np. *bóg*, *boski*, *bóstwo*, *ubóstwiać*; *mnogi*, *mnóstwo*; *ubogi*, *ubóstwo*. (tamże 246—250).

5. Przyimek *z*, gdy nie jest spojony ze słowem, pisze się zawsze przez *z*, np. *z toba*, *z Polski*, *z siostrą*. Gdy zaś jest spojony ze słowem, pisze się przez *s* przed półgłoskami mocnemi *c*, *f*, *k*, *p*, *t*, *ch*, *cz*, np. *ścieśniać*, *sfałdować*, *skruszyć*, *sptynać*, *stoczyć*, *schować*, *szczarować*; przed wszystkiemi innemi głoskami pisze się przez *z*, np. *zbić*, *zgubić*, *zniszczyć* i t. d. Przyimki *bez*, *roz*, piszą się zawsze przez *z*, nigdy przez *s*, np. *bezprawie*, *bezpieczny*, *rozpiąć*, *roztłuc*,

roztropny, rozkosz, rozpacz, chociaż wywód tych wyrazów wątpliwości ulega (Szwejk. 204—219, Mroziń. 259—267, Brodz. 414).

6. W przysłówkach *zład, zład, ztém-wszystkiem*, przyimek wyraża się przez *z* i pisze się łącznie.

7. Choćby pierwiastek jakiego wyrazu nie był teraz używanym, np. *niż, bliż, bliża*; choćby wcale zaginął. albo był wątpliwym jak tych wyrazów *wązki, ślizki*; tedy inne pochodne a pobliskiego znaczenia, jakoto: *zniżyć, zbliżyć, zwężyć, pośliznąć się*, są dowodem, że wyrazy *nizki, blizki, wązki, ślizki*, przez *z* pisać należy (Szwejk. 199)

X.

Użycie litery ks lub x.

Główniejsze wyrazy, które za polskie uważać należy, a które piszą się często przez *x*. są: *xiądz, xiążę, xięga, xiężyc*, i od nich pochodne. Powinniśmy je pisać przez *ks*, bo taki sposób pisma więcej się zbliża do ich etymologii *kniaź, kniga* (Szwejk. 174 i nast. Brodz. 401).

Wyrazy jedynie obce tak w imionach własnych: *Xerxes, Xenofon, Syfux*, jak w pospolitych przyswojonych: *text, examen, maxyma* i t. p. zatrzymują *x* (tamże 186).

XI.

Szczególne postrzeżenia i sprostowania dotyczące się niektórych głosek.

1. Nie można rugować z dwojek *sz*, *cz*, litery *z*, a przeto nie można jęj też rugować z wyrazu *szczęście*, *szczęry* i t. p. pisząc *szczęście*, *szczęry* (Szwejk. 201, Brodz. 417).

2. Piszemy *królewicz*, w *Polszcze*, *Kacper*, *ptactwo*, trzymając się powszechniejszego zwyczaju, nie zaś *królewic*, w *Polsce* *Kacper*, *ptactwo* (Szwejk. 185, Brodz. 391).

3. *Ph* w obcych przyswojonych wyrazach piszemy przez *f* (Brodz. 395).

4. Niektóre wyrazy dotąd przez *f* pisane, a mające przed tą literą głoskę *s*, pisać powinniśmy przez *w*, z przyczyny pochodzenia: *swora*, *sworność*, *sworzeń*, jak piszemy *swój*, *swar*. W jednym tylko wyrazie polskim *obfitość* i w pochodnych z niego, którego nie można zastąpić przez *okwitość*, utrzymuje się *f* (Brodz. 395).

5. Wyrazy *źródło*, *źrzebie*, *źrzenica*, *śrzedni*, *śrzoda* i pochodne, pisać się powinny przez *źr* i *śr*, bez zmiękczenia głoski *r*, *źródło*, *źrzebie*, *źrzenica*, i t. d. Gdy jednak wyraz zaczynający się od głosek *źr*, przybiera przyimek stanowiący osobną sylabę; natenczas *ź* zamieniamy na miękką podręczną spółgłoskę *j*,

wejrzenie, dojrzały, a głoska *r* powraca od brzmienia *rz* (Szwejk. 203, Brodz. 406—408).

XII.

O łączeniu i rozłączaniu wyrazów.

1. Wyrazy pojedyncze piszemy osobno dla wygodnego czytania; wyrazy więc składowe pisać powinniśmy w jednym ciągu, aby ich części nie brano za dwa lub trzy odzielne słowa: *wielkomysłny, oddzielny, dobrowolny* i t. p.

2. Są wyrazy składowe, których części rozkładają się na osobne wyrazy np. *tak jest, to jest, nadto, oto, zatem, poco, zaco, naco, dlaczego, dlatego, wtenczas, wówczas, naówczas, natenczas, ztemwszystkiem* i t. p. *tak jest, to jest, nad to, o to, w ten czas, z tem wszystkim* i t. d. Kiedy takowe pisać należy łącznie a kiedy rozłącznie, wskazuje i wewnętrzna myśl wyrażenia i odmienny nawet akcent wymawiania, np. Czy się co stało? *Tāk jĕst.* — Jak się stało, *tāk jĕst.* — Stworzenie obdarzone rozumem i mową, *tō jĕst* człowiek... — Czegoś żądał, *tō jĕst.* — Nie tylko sprawiedliwy, ale *nadto* miłosierny. — Nic lepszego *nad to* co się stało. — Luboś nie zasłużył, *ztemwszystkiem* daję ci. — *Z tem wszystkim* czegoś dokazał, jeszcześ nie wygrał; i t. p.

3. Przyrostki (*enclitica*), które nigdy osobnych wyrazów nie czynią, piszą się łącznie, np. *chceszli, dałby, ktokolwiek, gdziekolwiek, datże, byłże, tenżeto* i t. p. Toż mówić i o skróconym zaimku *on, doń, przezeń, nadeń*.

4. Przysłówek *nie*, gdy znaczy przeczenie, pisze się, zawsze osobno: *nie daj; nie mów'*; *nie rozum, ale głupstwo* i t. p. Gdy zaś *nie* znaczy przeczenia, ale niedostatek, ubycie czego z przedmiotu, lub zmianę własności jakiej rzeczy; pisze się łącznie, np. *niemowa, niemoc, nieszczęście, niecnota, niestusznie, niewinnie* i t. p. (Rozpr. Ks. Szwejk. 462).

XIII.

Pisownia imion własnych cudzoziemskich.

Imiona własne eudzoziemskie należące do narodów, które używają a'fabetu łacińskiego, pisać się u nas mają tak, jak je cudzoziemcy piszą w swych własnych językach.

Wyłączają się od tego ogólnego prawidła:

1. Imiona własne starożytne, które zwyczaj powszechnie przyjęty dozwala wyrażać podług polskiej pisowni: *Wirgiliu, Tacyt. Babilon, Sydon* i t. p. chyba że pisarz dla szczególnych powodów, w nazwiskach starożytnych, w postaci nieprzeistoczonych, chce zachować ich pisownią cudzoziemską.

2. Kilka imion ludzi wielkich z późniejszych nawet wieków, w których powszechny zwyczaj spolszczenie pisowni zatwierdził, np. *Wolter*, *Szekspir*, *Rasyn*, *Kornel*, *Kondeusz*. (Rozprawa Mrozińskiego, str. 469).

XIV.

Większe początkowe litery.

Większe początkowe litery piszą się:

1. W pierwszym słowie pisma, i w pierwszym słowie od ustępu. chociażby ten nie po kropce ale po innym znaku pisarskim następował.
2. W pierwszym słowie okresu po kropce; również po znaku zapytania, i po znaku wykrzyknienia, jeżeli po nich nowy zaczyna się okres.
3. Na początku słów obcych, gdy je pisarz przytacza bez wcielenia ich do własnej mowy.
4. W imionach *Bóg*, *Bóstwo*, *Pan*, *Trójca* i t. p. gdy oznaczają Istność najwyższą.
5. W przymiotniku *Święty*, gdy się odnosi do imienia własnego.
6. W imionach własnych aniołów, ludzi, ludów, bogów, duchów, potworów, zwierząt, części świata, krajów, prowincyj, miast, wiosek i wszelkich siedlisk, rzek, jezior, gór, mostów, okrętów, herbów, świąt, konstellacyj, ciał niebieskich i t. p.

Zwyczaj teraz upowszechniony nie wymaga, aby pisać większe początkowe litery w imionach pór roku, miesiący, dni, wyznań i sekt religijnych, zakonów, umiejętności, sztuk, rzemiosł i wyrazów naukowych. Gdy jednak imię nauki może się uważać za tytuł książki, lub rozdziału, należy je pisać przez większą początkową literę.

Równie w przymiotnikach uformowanych od imion własnych ludów, krajów, miast i t. p. nie piszą się większe początkowe litery, np. *francuzki, paryzki*; przymiotniki zaś uformowane z imion własnych osób, mają większą literę, np. *Sapieżyński*.

Większe początkowe litery piszą się jeszcze:

7. W imionach pospolitych, użytych zamiast imion własnych, np. *Cały Wschód mułdował*.

8. W imionach własnych użytych za imiona pospolite, np. *Nasz polski Tacyt*.

I. W rzeczownikach zmysłowych i umysłowych, gdy obraz wystawiony jest w postaci osoby np. *Już na ziemię Jutrzenka pierwszy promień rzuca*.

10. W słowach *Najjaśniejszy, Jaśnie Oswiecony, Jaśnie Wielmożny, Wielmożny, Przewielebny, Wielebny* i t. p. tudzież w słowach *Pan, Pani, Panna, Ksiądz, Dobrodziej*, i t. p. gdy się dodają do innych imion na znak uszanowania i grzeczności.

Nie masz powodu pisać większe początkowe litery w imionach godności i urzędów znanych w starożytności, tudzież godności i dostojęństw cudzoziemskich.

Pisanie większych początkowych liter w imionach krajowych urzędów, dostojęństw i godności osób żyjących, zawisło od osobistych stosunków piszącego, oraz od rodzaju pisma.

Większe początkowe litery piszą się także:

11. W poezyi na początku każdego wiersza.

12. W głównych słowach tytułów książek, w tytułach artykułów w książce zawartych (Rozpr. Mrozińskiego, str. 516).



ROZMAITOŚCI.

Przemowienie do Zeltnera Obywatela Szwajcarji (*).

Ach! jakże rozrzewnia nas widok dwudziesto letniego przyjaciela wiecznej u nas pamięci Tadeusza Kościuszki, przybywającego za zwłokami bohatera Polski, aby, obyczajem naszym garść ziemi ojczystej na jego rzucił grobowiec! O czemuż tak wielki przyjaciel, tak wielkiego bohatera swobody Polaków obudzać musi smutne wspomnienie jego utraty! Jednakże z męstwem niepoddajmy serca smutkowi, bo w nieskażonej chwale do czystego życia unioś się duch rycerza naszego, w krainy wiecznej ojczyzny, już od nikogo nie napadane; bo

(*) Mowę tę miał Brodziński w kole przyjaciół witając Zeltnera który ostatnią oddawał cześć zwłokom Kościuszki i one do rodzinnej ziemi sprowadzał. Obacz Ruski Inwalid 1820 r. N. 151. str. 603.

sława jego, w ziemskich świątyniach sławy, a cnoty jego w sercach cnotliwych pamiętane będą.

Szanowny przyjacielu! miłą Europie drogą wolności, a najmiłą narodowi polskiemu jest zawsze twoja ojczyzna. Doniej to spieszy wędrowiec uymować się cudami natury i obyczajami jej ludu, tamto ziemia znana w dziejach wolności, której kolumny utwierdza miłość Boga, ojczyzny, i swobod; na te to skały ku mieszkaniu tworca wzniesione, do tego ludu, którego obyczajna prostota w szczęśliwe wieki wspomnienia unosi, uciekali się mędracy prześladowani, obrońcy praw ludzkich, ucisniona niewinność, wszystko cisnęło się na te góry, nad powódzie i ziemskie chmury wzniesione; ta to ziemia wydała lub żywiła mędrców, głoszących prawdy dla szczęścia ludów zbawienne; tam nakoniec doczekał się gościnności i przyjaźni, nasz obrońca swobody na obu półswerzach.

Takiego to kraju mieszkańca, takiego ludu obywatela, przywołał cień Kosciuszki, na ziemię polską.

Znane ci są szanowny przyjacielu jej losy, często zapewne bohater nasz a twój przyjaciel, posyłając zgórnej twojej krajny westchnienia ku bratnim siedzibom, wywnętrzał się przed tobą z ich nieszczęściami, którymi spokojni niegdyś na swoich płaszczyznach, rozgłosili się po świecie! Teraz oddajesz proch jego

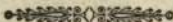
ziemi co go rodziła, co się napiła krwi jego. Przybyłeś do grodu Krakusa, z kąd niegdyś rozległym powiatom panowała Rzecz pospolita nasza; zastałeś szczątek ziemi, którą dawcy pokoju, dla spiących naszych Królów i bohaterów oddzielili, co niegdyś ich potęgę wspierali i bronili, widziałeś smutne siedlisko cieniów chwały naszej; do którego z różnych brzegów zwozili ziomkowie nasi zwłoki obrońców wiary i swobod. Z wyniosłych gór ojców twoich, żadnemi burzami nie wstrząsnionych stąpiłeś na nasze równiny, zniszczone wszelkimi nawałnościami, z których roje synów rozsypały się na czyste morze i skały przestraszone cieniem ojczyzny zalegającym próżną krwią zlane siedliska. Zdziwiony zapewne byłeś opowiadaniem bohatera naszego, że CESARZ PAWEŁ, możny władca północy, ledwo berło potęgi swej połniost, pierwszy krok z tronu do Kosciuszki uczynił, rozbił więzy, powrócił niezdatną już swobodę i dobrodziejstwy chciał go obdarzyć. Ale jakże więcej zastanowić cię musiało, kiedy na ziemi naszej silniejszy jeszcze potęgą następcę jego, ujęty stąłością i nieszczęściami Polaków, wraca imie, zasiada tron, próżny w czasie naszej wojennej sławy po swiecie, i ogłasza z niego dziwiące Europę zasady, pierwszy raz z tronów słyszane. Godnym był natchnąć się niem na tronie, co przez długie wieki swobodę szanował, a cudem męztwa ludu i wspaniałości Monarchy wróconym został.

Nie możemy ominąć porównania ziemi naszej ze Szwajcaryą. Prostota téj krótkiej przemowy jest jedyną jest wzorową.

Przyjacielu nasz! do mniejszej szczęśliwej ziemi, ale do ludu równego twojemu przybyłeś! Rolnik ojczyznę swoją oswobodził i wstawił, i nasz naród w nagrodę gościnności obrał sobie, w prostocie rolnika za króla, i długim pasmem lat potwierdzał potomstwo jego na tronie. Przybyłeś do ludu, co równie jak twój gościnnością zasłynął i jak twój pałał do swobody, której zawczesne rozwinięcie przywiodło go o cierpienie i zgubę; równie jak twój czci wiarę i ostatni w jej sprawie w świątyni obcej stolicy zwyciężki wieniec zawiesił; równie jak twój nie puszcza się na dalekie morza, ale z trzodami i pługiem swych ojców, wymaga pożywienia z własnej swój ziemi; jak twój zachowuje miłą prostotę i drogo opłacone przywiązanie do strzechy ojczystej. Zostałeś nas gojących dopiero rany po tylu cierpieniach: nie kwitnie ziemia nasza jak twoja w przemysł i kunszt, bo wiész jak my i ojcowie nasi kosy i sierpy na broń zamieniać musieli, bo żyźne niwy nasze nie są jak twoje skałami warowne, z świetniejszych epok naszych, nieśmy prawie uchronić nie mogli prócz ducha narodowego w niewydartych sereach, tymesmy tylko martwą ojczyznę naszą na nowo życiem natchnąć zdołali.

Utęskniony zapewne do pięknej swojej krainy puscisz nas, rwócisz od mogiły przyjaciela twojego. W dziejach bohatera i w sereach na-

Wpływ Rodziców na Synów.



Powaga i łagodność ojca, wiele może nad dziećmi; często jego roztropność i czuwające obchodzenie się z niemi, stanowi ich los i wpływ na całe życie. Nie namiętności, przemiana z gwałtownej grozy do psującego pobłażania, ale stałość charakteru, pokój duszy i przytomność umysłu, zbawiennie na nich działają. Kto ile możności, trzyma się zawsze jednych prawideł religii i rozumu, ten buduje trwałe szczęście swych dzieci, bo na mocy charakteru wszystko polega. Syn do rozumu przyszedłszy, nie pyta *ile* ojciec go kochał; bo miłość rodzicielska jest nie zgłębiona, nie ogarniona i ojcu tylko znana, ale *jak* go kochał, to jest jakim był? sama miłość jest najdzielniejszą wszelkich cnót mistrzynią.

Ale ważniejszy wpływ wywiera matka, szczególnież na synów. Jeżeli ta jest uprze-

dzającą, szlachetną, religijną, pogodną w każdym postępowaniu, wtedy synowie karmią się jej cnotami, w nich na zawsze mocnieją. Łagodność i dobroć uszlachetnia serce synów, i skłania ich do przedsięwzięcia: być na zawsze rzetelnym i dobrym. Niechby matki zawsze miały w pamięci, ile pilność, porządek, czystość, oszczędność i ludzkość w całym znaczeniu słowa, w synach dobre przymioty zaszczepia; bo syn zwykle, więcej się przywiązuje do matki, niżeli do ojca, a chociaż przywiązanie jego równe jest do rodziców, przecież śmielszy bywa do matki, bo ta więcej jego skłonności zgaduje. Jej łagodność więcej do żywości jego przemawia, i kieruje w nim żądze w świat go wołające. Jej rada, pociecha, przestroga z kochającego serca idąca, głęboko się uwierdza w sercu kochającym.

Wpływu matek na syny, najwięcej dowodzą życia znakomitych ludzi; wszędzie się pokazuje że one ich cnotom, charakterowi, i uczuciom popęd nadały. Przez jakiegokolwiek szkoły i doświadczenia syn później przechodzi, wszędzie on tylko dozupełnia wychowanie swjej matki; szczególnież zaś *serce* przez nią zapełnione, nie już nieprzyjmie coby było obcym i niegodnym.

Wpływ dobrych zasad.

Człowiek bez zasad jest trzcina igraszkom wiatrów oddaną; nikt na nim polegać nie mo-

że, i on w nikim nie ma ufności; ale te zasady niech będą szlachetne i dobre, niech mają za cel prawosć i użytek powszechny. Takie tylko zasady zaszczycają człowieka i pożytek mu niosą. Te od młodości niech sobie obierze za kierownika swęj woli.

Zasadą główniejszą jest: czasu rządnie używać, Kto w wieczór rozważył, co i jakim porządkiem jutro ma czynić, ten sobie ułatwia i uprzyjemnia swoje zatrudnienia. Od wczesnej młodości trzeba sobie przedsięwziąć czegoś gruntownie się uczyć, zawsze to w sobie doskonalić, nabierać w tém zręczności i wprawy coraz doskonalszej. Nikt nie może nic zupełnie się wyuczyć. My jesteśmy tylko cząstki, cząstką jest tylko nasza wiedza, czynność i umiejętność. Dobre zawsze może być lepszym, albo lepiej użytym.

Kto sobie mocno postanowił, ażeby obowiązków swoich, jako człowiek, we wszelkich stosunkach sumiennie dopełniał, ten nabiera zdobiącej mocy charakteru, i wszystkie burze tego życia przepłynie. Ku niebu zwrócony czerpa otuchę, a sumienie daje mu w przeciwnościach odwagę i siłę.

Cechy służące do poznania ludzi.

Ludzie są jak posągi, które tylko w właściwém miejscu uważać należy. Pewnego dnia poseł hiszpański rozmawiając z Henrykiem

IVtym, oświadczył: iż radby poznać każdego z jego ministrów, aby z nimi według ich charakteru mógł działać. Zaraz ich poznasz, rzekł król. Wszyscy byli właśnie w przedpokoju, oczekując godziny przeznaczonęj na radę. Wszedł najprzód kanclerz Sillery, do którego rzekł król: Panie kanclerzu! widzę że ten sufit bliżkiem grozi spadnięciem Najjaśniejszy panie! odpowiedział kanclerz, trzeba się poradzić architekta wszystko dobrze rozpoznać, naprawić, jeśli będzie potrzeba; ale nie ma powodu się śpieszyć. Przywołany później Villeroy i podobnie zapytany, odpowiedział nie patrząc nawet na sufit: Tak, prawda! to grozi niebezpieczeństwem. Gdy tenże wszedł, przybył prezydent Jeannin, który na toż samo pytanie oświadczył: Niepojmuję Najjaśniejszy panie! co to ma znaczyć? ten sufit jest bardzo mocny; jeżeli na nim niemasz rysów, rzekł król, to chyba oczy mię mylą. Bądź Najjaśniejszy pan spokojny, ten sufit dłużej pożyje, niż Najjaśniejszy pan.

Po oddaleniu się wszystkich trzech ministrów, rzekł król. Teraz ich poznałeś: Kanclerz nie wie nigdy, co czynić; Villeroy zawsze mi prawdę przyznaje; Jeannin mówi co myśli, a myśli zawsze dobrze, i wcale mi jak widzisz, nie pochlebia.

Upór sumienie i choroba.

Na upór nie masz lekarstwa, mawiali dawni Polacy, którzy tę chorobę moralną uważali

za nieuleczebną. Jest ona istotnie taką, gdy jej zakorzenie się damy. Jednakże usilność aby jej zapobiedz, i w samym ją zarodzie utłumić, należy do pierwszych obowiązków wychowujących, i tego, który sam nad sobą panować zaczyna. Upór jest skutkiem wad innych, które usunąć należy. Jest on pierworodnym synem głupstwa i zarozumiałości. Człowiek uporny w wieku podeszłym, obrzydza poźycie sobie i drugim, ale upor w młodości jest tamą wszelkiego postępu moralnych i umysłowych przymiotów. Czuli rodzice nadaremnie wyszukują środki aby wytępić w synu tego wroga społeczności; religia, nauki, i doświadczenia próżno usiłują ocucić człowieka tą zarazą ogłuszonego; upor otacza go murem żelaznym, przez który żadne uczucie i przekonanie nie przejdzie, dla niego wszystko jest obrazą, nawet na błędy swoje jest dumny, z niemi rośnie i ginie opuszczony od ludzi: *nie ma dla niego lekarstwa*. Pismo święte, owa bozka szkoła wychowania rodu ludzkiego, na każdój niemal karcie daje przykłady i przestrogi uporu. Życie społeczne co dzień, skutki onego czuć daje.

Tacy ludzie najjawniej złego serca dowodzą, bo nieczuli na wszystko, mają nawet złośliwą rozkosz sprawiać przykrość tym, którzy ich dobrem są zajęci. Mają oni śmieszna dumę, nigdy tego nie cofnąć, co raz powiedzieli, lub uczynili, choćby mieli najoczywistsze dowody pomyłki. Są najnieszczęśliwsi, bo żadnej nie godni litości. Fałszywa duma, każe im ra-

czěj wytrwać w cierpieniu i pogardzie od ludzi, niż błąd naprawić; myślą w swém zagłupieniu że otwartość jest wadą, uczciwość występkiem, poprawa słabością.

Biada rodzicom! którym słabość szepta, iż dzieci uporne, rozwiną w sobie mocny charakter duszy. Upor tak jest przeciwny mocy umysłu, jak zuhwalstwo odwadze, zarozumiałość mądrości, nieczułość mężtwu, i ciemność światła. *Upor na upor*, jak mówi przysłowie, jest słusznym odwetem dla starych i zatwardziałych, ale złém lekarstwem dla młodych. U nich raczej, można powiedzieć, upor rośnie z uporu. Tu przeciw niemu, potrzeba wystawić stałość, aby sam w sobie miał karę, ale chronić się od jawnego zawstydzenia, na które uporny niestety, co chwila jest narażony; gdyż przeciwnie, utworzy się w młodym jakoweś rozpaczające zamiłowanie w tój wadzie, będzie się miał za męczennika mniemanój mocy duszy, stanie się martwym, niedostępnym wszelkiej oglądzie, a w końcu być może człowiekiem złym, w całym znaczeniu wyrazu. Jedynym kluczem do tego zasklepionego stworzenia, jest obudzenie w nim przywiązania, a następnie szacunku, który u niego nabyć najtrudniiej bywa. Okazywana pogarda, zrobi go zupełnie pogardy godnym, gardzącym i zatwardziałym na wszystko.

Starożytni wyobrażali upor w postaci kobiety z ośleni uszyna, w stroju czarnym, z kawałkiem ołowiu na głowie, w towarzystwie ośła; na ciemnym miejscu. Ubrana jest czarno,

bo jak ten kolor innego nie dopuszcza, tak uporny, wszelkie dowody i doświadczenie odrzuca; ołów na głowie, oznacza niewiadomość, która upornych ciśnie i drażni; osieł jest godłem tych ludzi, według przysłowia: *uparty jak osieł*. Ciemność nakoniec, znaczy głupstwo, które upornego zewsząd otacza.

Wina, jako wrzód w ciele, tworzy w duszy naszej ranę, która się ciągle sama z siebie rozjatrza i zakrwawia. Rozum wszelkie inne smutki i przykrości z czasem zaciera, ale tój ani rozumowanie, ani roztargnienia, ani czas nie zatrze, tém bardziej, że jest wewnątrz nas, tak jak zimno, albo gorąco febrę dotkliwsze jest od tego, które zewnątrz nam tylko dokucza. Jest niewypowiedziana rozkosz pogody i szlachetnej śmiałości człowieka, mającego dobre sumienie. Nie mała to pociecha, móż sobie wewnątrz powiedzieć.

„ Kto by zajrzał do mojej duszy, nie znalazłby mię winnym ani zazdrości, ani zemsty, ani chęci szkodzenia komu. “

Choroba wtedy powstaje, lub nabiera mocy zatrważającej, gdy ją obudzamy i żywimy wie. ząc w jej istnienie. Widzimy wiele ludzi zdrowia bardzo delikatnego, którzy jednak zajęci zawsze obowiązkami swojego powołania, literalnie mówiąc, nie mają czasu chorować; ale niech ci oddadzą się beczynności, a wnet zaczęną rozważać w sobie choroby, czuwać zaw-

sze, wszystkiego się obawiać i wszystkiém leczyć, a tak wywołają sami niebezpieczną chorobę i śmierć, która od nich daleka była. Stal używana, zawsze się połyskuje i błyszczy, ale beczynną rdza pożera.

Przysłowia Arabskie.

Często język ucina głowę.

Cierpi gospodarstwo, gdy kot ze szczurem żyją w porozumieniu.

Jeśli wszystkiego nie dopniesz, nie porzucaj wszystkiego.

Gdyś słowo wyrzekł, ono panuje nad tobą; ale nim go wyrzeczysz, tyś panem onego.

Kto nie ma pana, czas go opanuje.

Kto nie rozumie pojrzzenia, tém mniej wyrozumie długie wywody.

Przedał winnicę, kupił prassę.

Pożyczana suknia nie grzeje.

Wiadomość jest zamkiem, a kluczem nauka.

Pytaj najgłupszego i najmędrszego, i z obu dwu utworz twe zdanie.

Poszły muły po rogi, wróciły bez uszów.

Ogól brodę, gdy syn twój zarasta.

Sonnet I.

Któż jest ten dłućtem mistrza z ogromnego wywołany kamienia, który zasiadł jak ol-

brzym, i nad wszystkie utwory sztuki się wyniosł? Któż jest ten, którego usta tak są ożywione i mówiące, iż się głos jego słyszyć zdajemy.

To jest Mojżesz—mówi to broda piersi jego cieniaca i dwa promienie co błyszczą nad czołem jego. To jest Mojżesza, gdy zeszedł z góry, i gdy na twarzy jego wielka część hóstwa jaśniała. Takim był, gdy w koło siebie wielkie i grzmiące chmury zawieszał; gdy morze zatrzymał i grobem nieprzyjaciół być mu rozkazał. A ty ludu jego! ty mogłeś po nim wystawić cielca i cześć mu składać! Gdybyś przynajmniej wzniosł był posąg jemu podobny, mniéj byłbyś występny, cześć mu boską oddając.“

Sonnet II.

„ Któż ty jesteś marmurowy olbrzymie w takim majestacie siedzący, który na czole twojem trzy okazujesz znamiona, nikomu z śmiertelnych niedane: prawodawcy, wojownika, i sługi bożego!

„ Ty nad Nilu brzegami nieprzyjaciół Boga w morze wgrążyłeś i jednym ciosem zważyłeś balwochwalcze posągi.

„ Takim byłeś na ziemi, takim oddychasz w marmurze, gdzie boski Michała Anioła geniusz, wszystkie twoje głębokie i gorejące myśli na jaw wyraził.

„ Ten Michał Anioł był tobie podobny, i zapewne, wskazany jak ty, na wędrowkę po pu-

szczy, byłby równie laską cudowną zdrój ze skały wydobył. “

Uwaga. Mimo to. krytyka ma dosyć temu posagowi do zarzucenia. Ciało zdaje się być pokryte flanelowym kaftanem, a jakowys rodzaj pantalonów okrywających uda, golenia i nogi, nie przystoi wcale Mojżeszowi. Zato ramiona, ręce i stopy, godue są porównania z Laokoonem.

Michał Anioł Bounarroti był największym artystą wieku XVIgo. Był malarzem, rzeźbiarzem, architektem, poetą, ideałem artysty owych czasów. Urodził się w Toskanii r. 1474, z starożytnéj i znakomitéj familii. Ozdobiwszy Rzym i Florencyą mnóstwem dzieł pędzla i dłuta, został architektem w czterdziestym roku; wnet był inżynierem i kommissarzem jeneralnym fortyfikacyi Florencyi, i przez rok bronił tego miasta przeciw nieprzyjaciółom oblegającym. Później zagnalony przez papieża Pawła IIIgo do wykonania rozległych planów bazyliki S. Piotra, poświęcał się przez lat 17, niechcąc żadnéj pensyi ani nagrody, téj pracy, przy której dawniejsi architekci wielkie zebrali mająki. Umarł nie dokończywszy prac swoich, wyprowadził jednak wspaniałą kopułę S. Piotra. Papież chciał mu wystawić pomnik w tymże kościele, ale Medyceusz, uwieść kazał w nocy zwłoki artysty, dla złożenia ich we Florencyi, szczyjąc się słusznie sławnym swym ziomkiem.

Myśli rozmaite.

Mówić mało i źle, jest nieszczęściem prostaków; mówić wiele i źle, jest zuchwalstwem głupców; mówić wiele i dobrze jest szczęściem dowcipnych; mówić mało i dobrze, jest roztropnością mądrych.

Żyjąc ze zlemi, stajemy się ich ofiarami albo uczniami; przeciwnie przestając z dobrymi, kształcimy się na ich wzór, a przynajmniej coraz więcej wad naszych się pozbywamy.

Prawie zawsze rozum zwichnięty i serce kazi, i błędy rozumu, w wady serca przechodzą.

Nie zawsze wielkie dzieła, ale całe życie wielkimi nas czynią.

Jak poznasz siebie samego? Nie przez badanie, ale przez czynność. Sprobuj wypełnić wszelki twój obowiązek, a poznasz coś wart.

Same tylko ogólne pojęcia, równie jak uprzedzenie najwięcej szkody zrzadzają.

O historyi ten najlepiej sądzi, kto jęj sam dożył na sobie.

Zdrowy rozsądek, jest geniuszem ludzkości.

Mylne mniemanie, fałszywy system, znajdują stronników, a nawet wielbicieli, ale niestusność sprawia oburzenie. To dowodzi, że serce ludzkie więcej warte niż rozum.

O pospolitych tylko umysłach nie sądzą ludzie fałszywie. Kto nie umie znosić nagany, ten się nigdy nie ucieszy pochwałą.

Nieszczęśliwy nie jest nigdy zupełnie bez winy; najtagodniej można go posądzić, że nie był roztropny.

Ciekawość jest największą pochwałą narodu. Ona jest wyłącznie człowiekowi właściwa. Zwierzęta nie mają o niej wyobrażenia. Wyrabiaj co chcesz przed stadem owiec, nie zajmiesz ich, jeśli ich nie dotkniesz. Gdy dają jaką oznakę tego, co ciekawością zowiemy, wtenczas okazują tylko iż są przestraszone. Człowiek ciekawy jest więc człowiekiem, niż bez tego przymiotu. Lud ciekawy ma więc ludzi nad innych.

Kto o sobie coś trzymać może, ten nie jest zdolnym do pychy.

Rozpatrując się w zwierzętach, trudno się nie zanurzyć w podziwienie nad tajemniczym ich bytem. Jeden poeta nazwał je *snem natury, której obudzeniem jest człowiek*. Na jaki cel są stworzone? Co znaczą ich pojrzenia, które się ciemnym obłokiem osłonięte zdają, z za którego chciałaby się myśl przedrzeć?

Platon nazywał czystość w ubiorze i sprzętach, półnotę.

Perski jeden poeta mówi, iż łatwiej jest szpilką górę dalej posunąć, niż dumę z serca ludzkiego wykorzenieć. Niechaj nikt się nie chlubi, że od dumy zupełnie jest wolnym; duma bowiem mocniej jest w sercu ukryta i wię-

cój oku niedostępną, niżeli ślad mrówki, która w czarnej nocy, przez czarny kamień przebiegła.

Niesprawiedliwość jak obłok, słońce wiary zasłania.

Szczęście jest módz wszystko, co chcemy; a wielkość, chcieć wszystko co możemy.

Mało pragnę, mówił S. Franciszek Salezy, a nawet tego mało, ledwo że pragnę; samo zatrudnienie jest mi nagrodą i roskoszą.

Kto ścina drzewo przez ojca sadzone, ten przeda i dom wystawiony przez niego, ten zdolny jest pozbyć się wreszcie wziętości, jaką wienien rodzicom.

Cnota, zdrowie, talent, szczęście, są owocem uwagi i cierpliwości. To są zasady naszych moralnych postępów; geniusz nawet od nich zależy.

Milton, który się znał na piekle i raju, mieści piekło w niezmierniej przestrzeni, a raj w małym obwodzie.

Porządny człowiek postępuje zwolna; nieporządny zawsze się śpieszy.

Głupi nie słucha rady przyjaciół, rozumny korzysta z obmowy nieprzyjaciół.

Porządek jest najlepszym sposobem utrzymania niezawisłości, i znakiem wznioslejszej duszy; bo człowiek rachuje się z sobą, aby nie był zmuszony rachować się komu innemu.

W kościele łask wszystko jest wielkie, wyjąwszy bramę, przez którą chyłkiem wchodzić potrzeba.

Jeden z siedmiu mędrców zapytany co jest szczęście, powiedział: Pozbyć się roboty, którą mamy przed sobą.

Ucz się pilnie wszystkiego, co ma związek z twoim zawodem, a będziesz rozumny; bądź pracowity i oszczędny, a będziesz bogaty; bądź wstrzemięźliwy, a będziesz zdrowy; kochaj sprawiedliwość, a nie ustraszy cię ziemia i niebo.

Szanuj w starcu ojca twojego, syna w dziecięciu, córkę w kobiecie, a siebie w każdym człowieku.

Czcic Boga, jest religią człowieka; czcic prawa, religią obywatela.

Szanuj zaufanie, nie strzelaj do ptaszka siedzącego na ziemi.

Wiele jest wad i zbrodni, którym religia zapobiedz nie może, ale któż poznał te, które ona niewidzialnie wytępią?

Najlepszy sposób uczenia się obcych języków.

Hrabia Bathyani pytał się poety Metastazego, jakim sposobom możnaby młodego arcyksięcia Józefa (później cesarza Józefa II), najłatwiej języka włoskiego nauczyć? W odpowiedzi na to, poeta złożył pismo tyle zawierające praktycznych postrzeżeń i zdrowego rozsądku, iż za godną rzecz uważamy, niektóre z niego wyjątki przytoczyć, tém bardziej, że to pismo mało jest znane.

„ Języka obcego mówi on, więcéj daleko przez wprawę niżeli przez naukę, nabywać trzeba. Obciążać ucznia mnóstwem prawideł i wyjątków, jest to równie szkodliwe jak okrutne nadużycie. Te bowiem, zamiast nadać mu łatwość rozumienia i wymawiania, sprawiają w nim tylko odrazę od nauki, iż w końcu traci wszelką nadzieję, nauczyć się kiedykolwiek trudniejszego języka. Do mówienia i rozumienia potrzebne są tylko prawidła najogólniejsze, które nauczyciel w czasie czytania i obcowania przytaczać może. Niech tenże najprzód najpotrzebniejsze reguły wymawiania objaśni, i zaraz do czytania przystąpi, a potém niech przejdzie w ogólności do rzeczowników i czasowników. Niech przytém namieni o imiesłowach i liczbie mnogiej, ale niech nie przymusza do uczenia się na pamięć, bo czytanie samo w niewielu dniach może objaśnić wszystko, co jest najpotrzebniejsze. Słowa tyle mają różności w czasowaniu, że najlepiej jest, gdy przy każdej lekcyi słowo jakowe, dwa lub trzy razy we wszystkich czasach i w każdym sposobie mówienia uczący się głośno odczyta. To ćwiczenie wspierane razem okiem i uchem, połączone z ciągłym mówieniem i czytaniem, bez uczenia się na pamięć, ułatwi naukę. Głównym celem jest mówić i mówiącego rozumieć; dla tego nie radziłbym od razu przystępować do czytania pisarzy klassycznych. W nich powiększój części są wyrazy i zwroty, mało w potoczném życiu używane, a mało takich, które są najpowszechniejsze; u-

czeń więc dręczy się niepotrzebnemi a często fałszywie użytymi wyrazy, nie nabywając wielu potrzebniejszych. Najlepsze są zwyczajne *Rozmowy*, których mnóstwo jest drukowanych. Przech nie łatwo wrażają się w pamięć wyrazy i zwroty, których każdy wykształcony używa. Nauczyciel może zaraz przy tém czytaniu rozmaite wyrażenia wyższego i niższego stanu namieniać i porównywać. “ Dla tych, którzy francuzki język rozumieją, zaleca Metastazyusz do uczenia się włoskiego, nie używać z początku pism oryginalnych, ale z francuzkiego przetłózonych, ponieważ język włoski, wiernie ducha łacińskiego dochował, co zaczynającym rozumienie utrudza, przeciwnie ci, którzy znają język łaciński, lepiej uczynią, zaczynając od oryginalnych dzieł włoskich. W każdym razie, do poetów najpóźniej przystępować potrzeba. Gdy już uczeń dostateczną ilość wyrażen ma w głowie, niechaj pod okiem nauczyciela pisze listy, opowiadania, powieści i t. p. *Pod okiem nauczyciela*, gdyż ten służy mu w ten czas w miejsce grammatyki i słownika. Tak znajdzie się zaraz brakujące, lub stosowniejsze słowo i szyk właściwy, i żywiej wraża się w pamięć, niżeli nudne, późniejsze poprawy; jeżeli jeszcze uczeń może obcować z rówieśnikami, którzy lepiej od niego mówią językiem, wtedy bardzo prędko może nabyć płynności w mówieniu. Gdyby zaś chciał w tym języku zostać autorem, wtedy, mówi Metastazyusz, niech się uczy dokładnie prawideł i wszelkich grammatycznych szczegółów.

Rolnictwo w krajach południowych i północnych oraz pożyteczne dla rolników uwagi.

Bonstetten, porównywając ludy północne z południowemi, tak mówi o rolnictwie:

Co za różnica rolnictwa w krajach, gdzie prace około gruntu są nieprzerwane, a tam, gdzie ich na 7 i 8 miesięcy zaniechać potrzeba.

Na Południu mnogość rozmaitej uprawy nie ma granic, jak w s łach, kapitałach i czasie, które im gospodarz poświęcić może. Na Północy pola i łąki a gdzie niegdzie, same tylko łąki zajmują mieszkańców.

Przed wojną z Anglią, warzywa przychodziły do Norwegii, do Bregthen i Dorntheimu aż z Holandyi, i nie rzadka rzecz była widzieć w Chrystjaniu siano irlandzkie. Dopiero od lat trzydziestu kilku, wstawiony jeden Norwegeczyk zaprowadził w swoim kraju chodowanie ogrodów. Do dziś dnia w Kopenhadze targowiska roślinne zaopatrzają Holendrzy od wieku XVItego w Danii osiedli. Ta mała, wśród wielkiej stolicy osada, wystawia szczególny widok obcego ludu, który od trzech wieków zachował obyczaje, język i starożytny ubiór swojej ojezyny.

Rolnictwo proste i większa onego wartość, zaszczerpiły w mieszkańcach Północny miłość porządku, która szczególną wykazuje sporność z południowemi narody. U Szwajcara niemieckiego wszystko jest w porządku: studnia ochłodzona,

obory dobrze urządzone, parkany starannie utrzymane, drzewa oczyszczone; drwa porąbane ułożone w porządku około domu, wewnątrz największa czystość i wygoda. Ten sam porządek przenosi się do zarządu całej rodziny, a nawet wioski. Ztąd wypływają nałogi, które są zarodem dobrych obyczajów.

W Europie południowej, rolnicy nie są niewolnikami czasu. W *Hyères* słyszałem w miesiącu lutym praczkę, nad strumieniem pod oknami płynącym, przez całą noc swoją robotą zajęte. Wszelkie roboty, tak się mogą odbywać we dnie jak w nocy. Zwyczaj wychodzenia z domu, (najwięcej jeżeli spanie wyłączymy), wytępia wszelkie skłonności do życia regularnego. Ztąd wypływa, iż dom nie jest nawet ojczyzną mieszkańca, gdy przeciwnie dla północnika, dom jest prawie skorupą ślimaka, bez której żyćby niezdolał.

Na Południu mieszkańcy zajęci są zawsze za domem; ztąd zwyczaj jedzenia mało i źle, bo dla apetytu zaostzonego dobrą powietrzem i głodem, wszystko dobre się zdaje. Ztąd dla mieszkańca jest kuchnia na drzewie, w winnicy i w polu. Cebula, rozenek, figa, lub główka czosnku wystarczy Hiszpanowi, że żyć i bić się może.

Okrywać się i ogrzewać taką jest na Północy potrzebą: jak samo jedzenie. Mieszkaniec Południa prawie od tego jest wolny, słońce same może go odziać i ogrzać.

Porównywając w ogóle rolnictwo południowe z północnym, znajdziemy je na Północy *następnem*, to jest uprawę obliczoną na skutek następstwa roślin, chodowanych jedne po drugich. Na Południu przeciwnie, uwaga zwraca się głównie na chodowanie spólczesne obliczone na skutek, jaki rośliny, jedna na drugą przez sąsiedztwo wywierają.

Na Południu klimat i bogactwo gruntu dozwala więcej wyboru uprawy, niż na Północy; gdzie ziemia wyłącza wielką liczbę roślin użytecznych. Południowiec obsiada nie tylko w rozmaitsze rośliny, ale nadto wiel- czasu grun- towi poświęcać może, gdy przeciwnie Północnik przez zimę w domu zamknięty, cierpi ubóstwo na czasie do pracy.

Wielka część zwyczajów narodowych ma źródło w rolnictwie. I tak: rolnictwo północne zostawując wiele czasu człowiekowi w domu zamkniętemu, sprzyja dumaniom o rzeczach oderwanych i wzniostych; gdy na Południu ciągle obecne słońce, prace nieprzerwane i zawsze czuwające uczucia, wyrywają myśl z głębi duszy mieszając ją w zmysłach zewnętrznych.

Nikt dobrym rolnikiem nie będzie, kto nie ma obyczajów wiejskich, jeżeli nie mieszka na wsi, i tam we wszystko nie wgląda.

Największa czynność jest próżnowaniem, jeśli nią nie kieruje porządek.

Obok przesądów niewiadomości, są przesady ulepszeń, czerpane z książek i prawideł ogólnych.

Zamieniać skuteczne doświadczenie w danej okoliczności w ogólne prawidło, jest to przyczyniać przesadu.

Najgorsze są przesady wynikłe z teoryi pisanych przez ludzi bez doświadczenia.

Duch obserwacyi jak jest potrzebny rolnikom, jak lekarzom.

Rolnik nie powinien być nigdy wyłącznym. Uprawiać jedną część gospodarstwa ze szkoda drugiej, jest to nie mieć prawdziwego zamiłowania w rolnictwie.

Obok téj, która w danym czasie, najwięcej przynosi, nie trzeba zaniedbywać innych części rolnictwa.

Rolnik nowy niedoświadczony, niechaj zaczyna od sposobów najprostszych, zwyczajem na miejscu uświęconym; niech wprzód radzi się sąsiadów, niż książek, wprzód poczciwych chłopków miejscowych, niż ekonomia; niech się stara nie wiele z razu wkładać na doświadczenia, które jako dla niego, zawsze więcej są ryzykowne.

Piérwszem staraniem jego, niech będzie ziarno, pasza, bydło i nawóz.

● Wzroście miast.

Podnieść miasta do wielkości i bogactw, pomnożyć handel i przemysł, ożywić rolnictwo i

wznieść, ile być może, wartość gruntów, wszystko to jest jedną i tą samą sztuką. Gdyby rolnik sądził, że handel i przemysł jego kosztem i szkodą się wznoszą, czyniłby tak, jak owa lewa noga, która się mniemała pokrzywdzoną przeto, że prawą swą towarzyszkę naprzód wysuniętą widziała. Miasta wzrastające w ludność, rękodzieła i kapitały, podnoszą razem rolnictwo, więcej spożywając produktów, i obudzają przeto w klasie rolniczej miłość pracy i chęć wydobywania z gruntu produktów łatwych do zbycia. Większa płaca i pomnożenie kapitałów w miastach, wpływa koniecznie na podniesienie wartości kapitału gruntowego. Jeżeli w mieszkańcach wsi wzmaga się pilność i przemysł, jeżeli dochód z ich gruntu corocznie się zwiększa, wtedy pomnażają się zasoby i dowóz do miasta, a wzajem płody miejskiego przemysłu większy na wieś zyskują odbyć. Zgoła miasto i wieś podobnie są dwóm wspomnianym nogom: jedna stawiając krok naprzód, daje możność drugiej aby również się posunęła, a jeżeli jedna jest kulawą i druga nie zajdzie daleko.

Do wzrostu wszystkich gałęzi produktów, potrzeba przedewszystkiém *siły poruszającej*: bo siła człowieka słaba przez się, wtedy tylko coś znacznego dokazać może, gdy siły natury do swój służby zniewolić potrafi.

Wpływ siły poruszającej na dobry byt człowieka okazał się najjaśniej w użyciu pługa z połączeniem siły poruszającej wołu; i jak dalece

to dobrodziejstwo uznano, ztąd poznać można, że starzy Egipcjanie, którzy tej siły najprzód użyli, cześć oddawali wołowi. Samo to użycie sił zwierząt, postawiło człowieka w możności uprawiania zboża, więcej nad domową potrzebę; a ten dostatek sprawił, iż jedna część ludzi poświęcić się mogła wyłącznie rękodzielom i przemysłowi, czyli *żyć w mieście*. Poruszająca siła wolu z połączeniem kilku kawalków drzewa i żelaza, które plugiem zowiemy, założyła fundament miast, i nie bez przyczyny są podania między ludem, iż miast założyciele, plugiem granice onych oznaczali. Inne siły poruszające później użyte, wzniosły je i wykształciły. Handlowi służyła z początku tylko siła wielbłąda, konia, osła i rudla. Teraz siła ciągnąca koni z połączeniem kół, ulepszeniem dróg, i siła wiatru z połączeniem udoskonalonych okrętów, tudzież z igłą magnesową, tysiąc razy więcej posług przynosza. Węzły łączące dziś z sobą wszystkie części świata, mocniejsze są daleko, od związku sąsiednich miast jednego narodu w wiekach starożytnych.

Gdy tamte siły szczególnież handlowi służą, tedy poruszająca siła wody w połączeniu z kołem wodnym, szczególnież rękodziela podniosła. Skoro bowiem siła nie potrzebująca chleba, ani owsa i siana, mléc, pić, trzeć i inne ciężkie roboty wykonywać zaczęła, wtedy większa ilość ludzi ujrzała się w możności poświęcić się rolnictwu, rękodzielom, naukom, wychowaniu, i t. d. Dochodząc źródła powsta-

nia i wzrostu miast, ujrzymy, że siła wody wielką ich część założyła i wychowała.

Wiek dziewiętnasty ujrzał nową siłę, która w działalności i powszechném zastosowaniu wszystkie inne przewyższa, to jest: poruszającą siłę pary. Ta nowa siła zastępuje wiatry i żagle na rzekach i na morzu, z korzyścią ledwo co mniejszą od siły zwierząt, która w starożytności siłę człowieka zastąpiła. Niemniej ważne jest jęj działanie jako surogatu siły wodnej i zwierzęcej, na młyny, pompy i inne stojące maszyny.

Ktoby się dotąd nie dał przekonać, że siła poruszająca, jest główną przyczyną wzrostu miast, ten pewno wątpić o tém przestanie, gdy mu wskażemy, że maszyny parowe w Anglii i w Ameryce północnej, prace milionów ludzi i koni zastępują, i że obok tego, ludność i przemysł największej liczby miast, podwojoną, a nawet potrojonoj została. W tym względzie siła pary, nieskończenie siłę wody przewyższa, bo gdy siła wody po całym kraju jest rozrzuconą, siła pary na każdym miejscu użyć się dozwala, i tylko przywozem i ceną opału ograniczoną być może.

Siła wody w bliskości miasta prędko się wyczerpa, i często wielkiemu miastu nie wystarczy. Jak za założeniem pierwszego młyna wodnego, wnet przy nim inne powstały, tak równie powstawałyby tartaki, olejarnie, przedziałnie i t. p. gdyby potrzebna do nich siła poruszająca znalezioną być mogła na miejscu, które największą obiecuje korzyści. Ale ta dogodność bar-

dzo jest rzadką. Temu zaradza skutecznie machina parowa. Każdy, kto swą robotę kołmi lub rękami ludzkimi odbywał, może dowolnie się swych machin powiększyć, nie potrzebując daleko od pierwszej, drugiej fabryki zakładać. Każdy zaczynający, tam może rozpocząć swój zakład, gdzie doświadczonych rzemieślników, biegłych robotników i najłatwiej kapitał znajdzie. Słowem, potrzeba tylko dowozu opału, ażeby miastu tyle nadać siły poruszającej, ile z niej zręczność i przemysł mieszkańców korzystać może.

Liczny zatem i tani materiał palny jest dzisiaj pierwszą potrzebą, miast chcących się podnieść. W dzisiejszym czasie niszczenie lasów dla lichych zysków, zapowiada szkody niewypowiedziane na przyszłość.

Zakładanie kolei żelaznych w miejscach gdzie się węgle kamienne znajdują, jest także jednym z najważniejszych środków do wzniesienia miast.

Poruszająca siła pary, co dzień więcej ważności nabiera, codziennie zjawiają się wynalazki i ulepszenia, przez które machina prostszą, tańszą jest w budowie, w utrzymaniu mniej niebezpieczną i skuteczniej zastosować się daje. Nowe ulepszenia zapowiadają, że żywienie maszyny o sile 12 koni, przez godzin 12, ledwo 6 złotych wyniesie tam, gdzie beczka węgla 5 talarów kosztuje.

Wzrost miasta, równie jak drzewa, głównie od tego zależy, jak daleko i głęboko ko-

rzenie zapuścić może. Czém dla drzewa grunt na którym stoi, tém jest dla miasta kraina z którą w handlowych stosunkach zostaje. Ulice któremi wozy przychodzą są korzeniami onego. Im łatwiej i taniej żywość, materyał budowlany, srodki siły poruszającej i przedmioty do fabryk sprowadzane być mogą, im łatwiej miasto przedmioty sztuki i przemysłu wysyłać może, tém lepiej jego mieszkańcy żyć, mieszkać i ubierać się będą, tém więcej u nich przemysł zakwitnie. Im dalej się te korzenie zapuszczają, tém większy pień i gałęzie drzewa, tém wyżej wierzchołek onego się wznesie. Ścieżki i dróżki są to małe korzonki niedaleko sięgające, które jednak mnóstwo pożywienia z najbliższych okolic ściągają. Dalej sięgające pożywne kanały miasta są bite drogi, ułatwiające stosunki z największą częścią miast i wsi.

Ważniejszym nierównie korzeniem żywym miasto są rzeki, co łatwo postrzeżemy, patrząc na mnóstwo i wielkość miast nadbrzeżnych, w porównaniu z liczbą i stanem tych, które od rzek są oddalone. Można powiedzieć, że wielkość miast zależy od szerokości i głębokości rzek, nad którymi są założone. To ztąd pochodzi, iż wielkie rzeki ułatwiają handel z morzem i wszystkimi częściami świata, równie jak z poblizkicmi stronami i że żegluga tém jest korzystniejszą, im rzeka jest głębsza, szersza i spokojniejsza, im łatwiej na niej z wodą i w górę płynąć, im większe ciężary ładować i więcej siły wiatru do transportu użyć można.

Przywóz wodny ciężkich i tanich artykułów, tańszy jest cztery, a nawet do 20 razy (jak np. drzewa budowlanego) od transportu wozowego, a zatem na wzniesienie miast w równym działa stosunku.

Ale najkorzystniejsze dla miasta położenie jest to, gdzie wielka, szeroka, daleko w kraj spławna rzeka, tam do morza wpada, gdzie do portu wygodnego łatwo i bezpiecznie w każdej porze roku okręty przyplwać mogą. W Hamburgu jedzą włoskie i hiszpańskie jabłka, hiszpańskie winogrona i kasztany, kawior rossyjski, piją hiszpańskie i francuzkie wina, palą angielskie węgle kamienne, pożywają amerykański cukier i kawę, ryż i tytoń za cenę mało większą, jakby przywóz tych przedmiotów o 10 lub 20 mil z kraju kosztował. Londyn sprowadza masło z Holsztynu; potaż, drzewo i len z Kanady i Rosyi, jabłka z Ameryki północnej, a jaja z brzegów Hanowerskich. W niektórych latach prowadzą z Irlandyi kartofle do New Yorku i Filadelfii; te zaś opatrują Maderę, Wschodnie Indye i wiele portów Ameryki południowej, nawet Cichego morza, mąką, solonemi rybami, wędliną, przywożąc w zamian wina, ananasy, orzechy kokosowe i mnóstwo innych przedmiotów. Niektóre budowle Bosforu wystawione są z drzewa i kamieni z Karoliny południowej i Georgii sprowadzonych. Liche cacka dziecinne i koszyki na północnych brzegach Niemiec robione, mają odbyć w południowej i północnej Ameryce.

Ztąd powziąć można wyobrażenie, o ile transport morski jest tanim.

Otém wszystkiém łatwiej się czytelnik przekona, gdy zwrócimy uwagę, że statek mający 20 ludzi, w przeciągu miesiąca 12,000 cetnarów z Nowego-Yorku do Liverpool sprowadzić może, i że cały wydatek przewozu na utrzymanie ludzi, naprawy, zużycie, zabezpieczenia i procenta, przez tenże czas 2,000 dolarów nie przechodzi. Gdyby więc okręt zawsze miał ładunek, tam i na powrót gotowy, wtedy przewóz cetnara z Nowego-Yorku do Havre wynosiłby tylko złt 1. gr. 6 kosztu.

Wielką część swojej zamożności winni są Anglicy żegludze pobrzeżnej. Ta im wskazała nie równie wyższe korzyści transportu wodnego, i naprowadziła ich na myśl ułatwienia handlu wewnętrznego przez kanały, których korzyści wskazał im stary Egipt, Chiny i Holandya.

Kanały nierównie więcej, niż rzeki ułatwiają przewozy, gdyż nie zależą od wiatru, tudzież wyższego lub niższego stanu wody, i tam, jak na powrót z równą płynąć można łatwością. Płynąć rzeką, można często 5 i 10 razy dłużej zabawić jak wczasie pomyślnego wiatru i stanu wody; na kanale zaś, w każdym stanie powietrza (wielkie mrozy wyjąwszy), można tak jak na lądzie, zwykle stacye odbywać. Nadto, drzewo do żeglugi na rzecze użyte, często za bezcen sprzedawać potrzeba na miejscu gdzie dopłynęło, i dla tego w niektórych miejscach korzystniejszy jest nawet dowóz lądowy, pewnej części towa-

rów. Stosunek przewozu lądem i kanałem ocenić można zważając, że jeden koń na dobrym kanale z łatwością 30 i 40 razy więcej ciągnie, niż po najlepszym bitym gościńcu. To niezmiernie ułatwia przywóz i wywóz z miasta, i przeto zaludnia go i wzbogaca.

Że to wszystko jest prawdą dowodami stwierdzoną, to okazują Chiny, których miasta niektóre, miliony ludności liczące, jedynie przez ogromny system kanałowy tego państwa, tak bardzo się wzniosły; tego dowodzi Holandia, która wielkość swych miast głównie kanałom jest winna; nakoniec Anglia i Ameryka północna.

Dopiero w r. 1772 założyli Anglicy pierwszy swój kanał w Birmingham. Potem mnóstwo kanałów z ogromnym nakładem wybudowano. Do r. 1800 a zatem w przeciągu około 30 lat, wystawiła Anglia 87 wielkich kanałów, długich w ogóle na mil około 2475. Rozgłębienie tych wielkich kanałów obok mniejszych, można na 500 mil obliczyć, tak iż Anglia w ogóle, ma około 3000 mil kanałów. Od r. 1800 przybyło kanałów tylko na 150 mil. Można więc epokę kolei żelaznych od roku 1800 datować. Od r. 1830 upowszechnione i wydoskonalone koleje żelazne walczą o pierwszeństwo z kanałami.

Cokolwiek po kolejach żelaznych spodziewać się można, to pewna, że kanały niezmiernie miasta w Anglii podniosły. Wszystkie miasta ich wpływu doznające od 30 lat podwoiły i potroili swą ludność. Ze kanały są tego wzrostu przyczyną, przekonać się można z kanału Nowego-

Yorku, który w 12 latach nie tylko sam Nowy-York, ale inne przybrzeżne miasta o połowę powiększył, i do wystawienia miast zupełnie nowych stał się powodem. Miasto Filadelfia przez Pensylwanskie kanały do tego stopnia się wzmo-gło, że w jednym upłynionym roku, 2500 domów w niem wystawiono. Kanałami i koleją żelazną sprawdziło to miasto w zeszłym roku 10 milio-nów cetnarów węgla kamiennych, przez co nie tyl-ko mogło wielkie fabryki zakładać, ale nadto mnóstwo ładunków okrętami wysłało. Teraz za pomocą kanałów sprowadza Filadelfia zboże, mię-so i inne produkta, o 100 i 300 mil z kraju, opłacając je artykułami swego przemysłu. Gdyby tam statki parowe, kanały i koleje żelazne zarzu-cone zostały, wnet ludność miasta do piątej czę-ści by spadła. Teraz liczy Filadelfia 180 000 ludności; w r. 1750 było jej tylko 20,009; w r. 1850 liczyć jej będzie zapewne do puł miliona; a jeżeli zawsze roztropne i czynne korzeni, z któ-rych pożywność ciągnie, pomnażać i rozszerzać nieprzestanie, wtedy, nim wiek 19ty upłynie, te-rażniejszy Londyn przewyższyć może.

W Ameryce głównym środkiem wzniesienia miast jest urządzenie, iż albo na miejscu gdzie się zboże zbiera, albo w bliskości, w mąkę za-mienione zostaje, i tak na sprzedaż jest wywo-żone. Mąka ubija się w małe 196 fuutów trzy-mające beczki, na których wypala się mieszka-nie i nazwisko młynarza, wraz z numerem bie-żącym. Te beczki złożone na przeznaczonym ku temu placu, próbuje świdrem biegly przy-

sięgły, a wrazie znalezienia niedobréj mąki, wypala napis *zły gatunek*. Gdy tym sposobem 300 funtów pszenicy, na 200 funtów cienkiej mąki się zmniejsza, i gdy przewóz beczek nierównie jest łatwiejszy i pewniejszy, niżeli zboża, przeto transport może blisko o połowę większą drogę odbywać, naczem dowóz, a zatem załadnienie miasta wiele korzysta.

Nadto zyskuje natém bardzo wiele rolnictwo, że pozostające od mąki otręby i t. d. dla bydła na miejscu zostają.

Handel mąki zamiast zboża, tę jeszcze korzyść przynosi, że siła wody w bliskości miasta daleko skuteczniej niżeli do mąki, użytą być może. Wiele jest miast gdzie wcale fabryk zakładać nie można, dla tego tylko, iż wszelka woda użytą być musi na mléwo mąki. Gdyby handel mąką więcej był upowszechniony, gdyby jój mielenie wsioim zostawione było, wtedy woda koło miast daleko więcej mogłaby być korzystną, równie jak odległe w niektórych miejscach wcale nieużyteczne wody, do młynów użyte. Godna tu dodać, że w Ameryce północnej, prostym bardzo sposobem mąka przy mieleniu tak bywa wysuszoną, że wiele lat bez szkody w beczkach zapakowaną być może.

Okrucieństwo Chińczyków względem kobiet.

Ze względu obchodzenia się z kobietami, Chińczykowie, należą do najwięcej barbarzyń-

skich narodów. Nawet ślubne żony nie mogą siedzieć u jednego stołu z mężem (panem), jeżeli przyjaciół lub obcych zaprosi. Chiński jeden filozof w piśmie o wychowaniu, tak mówi o kobietach. „Małpy nawet nauczamy sztuk rozmaitych; psy pracują w młynach; myszy uczymy skakać w kołkach, aby je obracały; papugi wrzeszcząc uczą się odmawiać wiersze. Jeżeli więc ptaki i dzikie zwierzęta wprawiają się do pojmowania rzeczy ludzkich, o ileż więcéj zdolne by były do tego kobiety, gdy przynajmniej zaprzeczyć nie można, że są stworzeniami ludzkiemi.“

„Na brzegu Emoy mówi jeden podróżnik, ujrzelśmy piękną nowonarodzoną dziewczynę dopiero zabita. Gdyśmy się o przyczynę śmierci obecnych pytali, odpowiedzieli nam zimno: to tylko dziewczynka! Ta straszna zbrodnia jest u nich tak zwyczajną, że ją z dziwną obojętnością wykonywają. U Chińczyków jest to największą nieprzystojnością pytać kogo osobliwie z znaczniejszych, czyli ma córki? Ani rząd, ani pisma moralne, dotąd podobnych wyobrażeń zmienić u nich nie mogły.“

Rozmaitość obrzędów pogrzebowych.

Między rozmaitemi sposobami obejścia się z ciałami umarłych, najdawniejszém się zdaje pogrzebanie; jest to najprędszy i najprostszy spo-

sób usunięcia z przed oczu tak smutnego widoku. Zwyczaj grzebania rodzin w jedném miejscu, wskazany był zapewne przez chęć nierozdzielenia tych, którzy w życiu połączeni byli, równie jak przez owe nieokreślone pojęcie natury duszy i przyszłego jój życia, jakiego nam ślady z najdawniejszych wieków zostały.

Rozdział 23 Księgi Rodzajów okazuje, że groby rodzinne już były za czasów Abrahama, i ostatnie słowa Jakóba z tkliwą prostotą wyrażają uczucie, które ten starożytny zwyczaj aż dotąd przechowało. — „Pogrzebcie mię z ojcami moimi w jaskini, która jest w polu Ephrona hethejczyka. Tam Abraham pochowany został z Sarą z swą żoną. Tam równie pogrzebion jest Izaak z Rebeką, gdzie i ja sam pochowałem Lią“ (*Genez: 49.*) Wiele miejsc Pisma S. i innych świadectw starożytnych dowodzą, jak wiele do tego obrzędu przywiązywano. Grecy i Rzymianie nie wierzyli, aby dusza mogła być spokojną i szczęśliwą, dopóki ciało nie zostanie pogrzebane, albo spalone. Prawo pogrzebu jest zasadą wielu Tragedyi, greckich szczególnie Antygona, Sofokla. Ateńczykowie doszedłszy szczytu pomyślności, sześciu wodzów zwyciężkich na śmierć skazali w skutku oskarżenia, że zaniedbali oddać ostatnią posługę żołnierzom w jednej bitwie poległym.

Zwyczaj palenia ciał umarłych, chociaż nie jest tak dawny, sięga jednak czasów bardzo odległych; ci którzy pierwsi tego sposobu użyli, przywiązywali zapewne do tego myśl religijną

ofiary. U żydów, którzy powoli zwyczaję innych ludów przyjmować zaczęli, pierwszy Saul był po śmierci spalony, a potem pochowany. Ten zwyczaj trwa dotąd w Indjach, Japonii, Tartaryi, i innych stronach wschodu. Później upowszechnił się w niektórych stronach północnej Europy. Przyjęli go Grecy i Rzymianie, nie wyłączając jednak prostego grzebania.

Niektóre dzikie ludy wystawiają ciała na powietrze; starożytni Scytowie przywiązywali je do drzew, a za dni naszych, mieszkańcy Otahajty i innych wysp Oceanu Spokojnego, kładą je pod małe szafasy otwarte, i tak je działaniu powietrza zostawują. Tego zwyczaju nie można przypisywać winnej obojętności, gdyż nad temi szczątkami z wszelką starannością czuwają.

Starożytni mieścili obojętnie swe groby w miastach, w polach, a nawet przy wielkich drogach. W ogrodzie króla Judei w Jeruzalem były groby. Grób, który Józef z Arimathei dla siebie knił, i w którym ciało Zbawiciela pochował, był w ogrodzie; grób Racheli był przy drodze z Jerozolimy do Bethleem. Samue i Joab pochowani byli w własnych domach; Mojżesz, Aaron, Eleazar i Jozue na górach Debra pod drzewem. Taż sama różnaitość panywała w tym względzie u Greków i Rzymian, i obojętni byli na miejsce grobów około świątyń. Jednakże te trzy ludy chowały zwykle umarłych za miastem. W Rzymie tylko był od tego wyjątek dla Westalek i niektórych rodzin najzuakomitszych. Cmentarze publiczne i prywa-

ne były w okolicach miast; Turcy zakładają je przy wielkich drogach, w nadziei, że podróżni modlić się będą za tych, co już swą podróż odbyli. Pierwsi Chrześcijanie nie byli chowani w miastach. Dopiero w roku 800 założono cmentarze koło kościołów, a osoby znakomite miały wolność chowania się w samych kościołach. Papiież Grzegorz wielki tolerował ten zwyczaj mówiąc, że widok grobów może pobudzić żyjących do błagania za umarłych. Zwyczaj chowania się w sklepieniach podziemnych i pod ołtarzami nastął dopiero 200 lat później. Egipcjanie składali ciała zabalsamowane w podziemiach; Indianie nie mają ku temu miejsc stałych, powszechnie jednak rzucają popioły do Gangesu. Guebrowie potomki dawnych Persów, wystawiają ciała ptastwu na paszę.

Obrzędy pogrzebowe najwięcej mają rozmaitości.

Żydzi dotąd z największą dokładnością starają się zachować przy chowaniu ciał starożytnie obrzędy. Wszyscy otaczający umierającego, rozdzierają swe szaty, potem kładą ciało na desce okrytej, z wielkim palcem wewnątrz ręki ściśniętym, zapalają świecę nad głową. Niegdyś najęte płaczennice odprowadzały umarłych do grobu. Po spuszczeniu ciała, krewni najbliżsi zarzucają je ziemią, a tyłem odchodząc wyrrywają trzykroć po garści trawy, powtarzając słowa psalmisty. „Zakwitną, jak polne zioła.“

Drobne państwa greckie miały szczególne swoje obrzędy. Oni pierwsi używali napisów

na nagrobkach, i wprowadzili zwyczaj cześć pamięć wielkich ludzi przez wspaniałe pogrzeby, których wydatki skarb publiczny ponosił. Solon w prawodawstwie swoim zapobiega ogromnym nakładom na gry i widowiska w podobnych okolicznościach wydawanym. Historia zachowała nam cześć złożoną przez Perikleśa prostym żołnierzom, za ojczyznę poległym. Ich ciała złożone w trumnach cyprysowych uwieńczone w kwiaty i laury, wystawione były publicznie na wozach tryumfalnych. Mowca przez lud wybrany uczcił ich pamięć pochwałą, imiona ich na grobowcu wyryto.

Rzymianie kładli umarłym w usta pieniążek na zapłacenie Charonowi przewozu przez Styx. Prywatne pogrzeby odbywały się zwyczajnie w nocy; publiczne odprawiano później z wielką okazałością. Liktorowie czarno ubrani przewodniczyli licznemu orszakowi poprzedzonemu płaczennicami spićwającemi, tudzież mimikami, z których jeden zwany Archemimus (dowódzca mimów) starał się udawać zmarłego; niesiono także wizerunki przodków i godła urzędów zmarłego. Po mowie pogrzebowej miewanej czasem w forum, krewni zapalali stos i zbierali popioły w urnę złożoną potem w grobowcu. W niej mieszczono także małą flaszkę którą napełniano łzami i ztąd zwała się lacrimatorium. Ten zwyczaj nie był wyłącznie u Rzymian, gdyż i psalmy Dawida o nim wzmiankują.

Indyanie wystawiają ciała na wolne powietrze, pokrapiają jeżeli można wodą Gangesu, a w usta, oczy i uszy zmarłego kładą korale lub złoto, poczem wynoszą ciało na brzeg rzeki, gdzie jest stos przygotowany; krewni stos zapalają, leją nań wodę czerpaną rękoma, potem siadają w koło, odmawiają maxymy mor-dne. Ofiary trwają przez dni dziesięć, poczem najbliższy krewny grzebie kości, które później wydobyte, zaniesione bywają do świętej rzeki. Często na miejscu stosu wsadzają dla pamięci trzy drzewa, lub wykopują studnię. Anglicy dotąd nie mogli wytępić okrutnego zwyczaju, palenia żon na stosie mężów. Zwyczaj ten panuje u wielu ludów pogańskich, mianowicie w Afryce, z wyjątkiem, iż tamże poświęcenie się nie jest dobrowolne, jakie indyjskim kobietom jest przyznawane.

Dogma Mahometanów o przeznaczeniu nakazuje im wstrzymywać się w żalu i obchodzić się bez pogrzebnych obrzędów. W kilka godzin po śmierci, prowadzą umarłego na miejsce spoczynku, odmawiając pewne miejsca z Koranu. Przechodzący łączą się do orszaku, wierząc iż za tę pobożność winy odpuszczone im będą. Ciało kładzie się na prawy bok, głową odwróconą do Mekki. Groby często zwiedzane pokrywają kwiatem i drzewkami: to widząc możnaby powiedzieć, że żal nie wyrażony trwalsze zostawia ślady.

W Numerze 141 *Magazynu Powszechnego*, mówiliśmy o wielkich wydatkach Chińczy-

ków na pogrzeby. Niemniej łożą na piękne grobowce, które zwykle mieszczą się w ogrodach około domu, a które Chińczykowie najwięcej gościom pokazywać lubią. Zdobia je malowidła, rzeźby i napisy. Umarłym dają do grobu ubiory na wszystkie pory roku, tudzież dostatek żywności. Krewni i przyjaciele odwiedzają umarłych; wczasie ucztę wiele im potraw posyłają a ile można, ociągają się z złożeniem ich do grobu. Kapłanów radzą się o wybór miejsca na grób, co za bardzo ważną okoliczność jest uważane.

Dzicy w Indiach wschodnich wiele na tém zakładają, aby leżeli przy grobach swych ojców; dla tego zdarza się, iż kości zmarłego zaszyte w skórę jelenią, w dalekie miejsca przenoszone bywają.

Zabijanie ludzi zwyczajne jest w Afryce, przy pogrzebach naczelników pokoleń i wodzów; kobiety, niewolnicy i jeńcy padają wtedy ofiarą; z niemi rzucają broń, ubiory i skarby. Okropny przesąd wierzyć im każe, że cienia ojców uśmiechają się podobnym ofiarom.

Ciekawą jest rzeczą uważać o ile te rozmaite obrzędy zmieniają się według wyobrażeń ludu o przyszłości. Dzikie i mało oświecone narody, wyobrażają sobie stan przyszły na obraz niniejszego, dla tego dają do grobu broń, żywność i pieniądze. Grecy i Rzymianie zdali się tylko uważać zwyczaje tego rodzaju za czczą formalność, dobrą tylko do zadowolenia próżności żyjących.

Rozprawa o muzyce.

Angielski pisarz Wiliam Gardiner w dziele świeżo wydaném *O muzyce naturalnej*; dowodzi, że wszystkie głosy śpiewu kunsztownego mowy lub muzyki instrumentalnej, namiętności lub wesołości wyrażające, przejęte są z tonów świata żyjącego.

Wiadomo, że każde nieprzyjemne brzmienie jest harmonią nierozwiązaną; i to stara się autor naocznie wykazać, oznaczając wszystkie brzmienia natury, odpowiedniami tony kunsztownej muzyki. Przechodzi on cały świat żyjący: pszczoły, ptaki, koguty, osły, konie, psy, muchy, krowy; swawolące i krzyczące dzieci, pawie, gołębie, owce; krzyk bojaźni, tęt kopyta konińskiego, ruch ognia, dźwięk fałszywego pieniądza, wołanie młodej dziewczyny, i tysiące brzmień innych.

Z takiej różnaitości, niektóre tylko szczegóły przytoczyć możemy. Między innemi o słuchu, tak autor mówi:

„Przez ćwiczenie, można moc słuchu do najwyższej doprowadzić doskonałości. Od żywości onego, zależy szczęście szulerów i złodziejów. Po brzęku można poznać każdy pieniądz, (to jest rozróżnić np. dwuzłotówkę od złotówki) Wexlarze tak są wprawni, iż licząc pieniądze, słuchem poznają fałszywe; gracze poznają po dźwięku, na którą stronę padł pieniądz rzucony.

Atmosfera jest wielkim środkiem, za pomocą którego brzmienie dalej bywa prowadzone, późniejsze atoli odkrycia okazały, iż są inne ciała, które głos jeszcze śpieszniej podają. Uwiązawszy np do nitki trzonek strojnika (dyapason,) i wetknąwszy drugi onejże koniec na małym palcu okręcony do ucha, zostawując strojnik wolno na sznurku wiszącym, wtedy słyszeć możemy wyraźnie lekki łoskot o 200 łokci daleki, którego w około stojący bynajmniej nie pojmują. Pracujący około węgla kamiennych, przez same uderzenie poznają do jakiej doszli warstwy. Podług najnowszych odkryć, przez samo przyłożenie pewnej trąbki do piersi, rozpoznać można najdokładniej poruszenia serca. Są osoby mogące najlżejszy łoskot rozróżnić. Jeden mój znajomy utrzymywał, że gdy mucha na jego czapce usiedzie, z odgłosu jej skrzydełek pozna w którą stronę odleciała. “

Uważając dobrze tę konia, lub nasze własne stąpanie, postrzeżemy, że jedno stąpanie zawsze jest od drugiego głośniejsze, i to jest zwyczajnia miara taktu dwa. lub cztery ćwierciowego. Koń galopujący zawsze oddaje trzecie stąpanie mocniej, niżeli dwa inne, bo wtedy pierwsza i trzecia noga konia jednocześnie stąpają i to wydaje takt trzyćwierciowy.

„ Za czasów Hypokratesa puls według podobieństwa nie uderzał zapewne więcej jak 60 razy na minutę, i ztąd pochodzi najmniejsza nasza część czasu: chwila albo sekunda, przez co dzień na 86,400 podziałów się dzieli. W mia-

rę, jak się ród ludzki udelikatnia, zapewne i puls jest prędszy, i człowiek podobnie jak zegarek tём śpieszniej wyjdzie, im prędziej idzie“

Najłatwiejszy i najpewniejszy sposób zachowania taktu w muzyce jest, ażeby w koncercie grać razem z wielu innemi; a im większa orkiestra, tём pewniej takt zachowuje. Tak uważano, że w sklepach zegarmistrzów, wszystkie zegarki na jednej ścianie zawieszzone lub na jednej deszcze leżące, do tego stopnia sympatycznie takt zachowują, że te, które wyprzedziły, lub się spóźniły i wolno idące, za innemi pospieszają, tak, że potём wszystkie wraz idą“

„ Wstanie natury pies nigdy nieszczeka, skomli tylko lub wyje, szczeka zaś tylko do mowy. Sonnini mówi, że psy pasterckie w pustyniach egipskich tój własności nie mają i Kolumb uważał, że psy, które do Ameryki sprowadził, później szczekać przestały. Wiedzieli o tём i starożytni, gdyż Izaiasz porównywa ślepych stróżów Jerozolimy, z tёмi zwierzętami, które są ślepe i szczekać nie mogą, natomiast porównywa Dawid zgiełk swoich nieprzyjaciół z psami miejskimi. Zatem szczekanie jest talentem psa nabytym, usiłowaniem mówienia, do czego naprowadza go życie z człowiekiem.

Niemasz wątpienia, że teraz psy w Anglii, mniej szczekają, i mniej napadają się nawzajem, niżeli dawniej. Śmiało można to przypisać postępowi ukształcenia między niższą klas-

są ludu, która teraz nad walki psów szlachetniejsze przekłada zabawy; a zapewne wyższa cywilizacya która szczęściem, więcej się teraz w słowach, niżeli biciem objawia, wpłynęła i na te zwierzęta, przytłumiając w nich wrodzoną skłonność do walki.

Osoby nieznające się na ptakach, mniemać mogą, że wszystkie jednego rodzaju, jednakowo śpiewają; zawsze jednak są w ich śpiewie różne odcienia. Tak znawcy w Anglii poznają po głosie szczyglów, zięb, słowików, z których są prowincyi. Te odcienia możnaby porównać z różnemi dyalektami prowincyi.

Osobliwą jest rzeczą, iż najznakomitszym śpiewakom zdarza się właśnie detonować. Ten krytyczny moment zdarza się zwykle, gdzie przypada terza, quinta, lub octawa. Te przestanki są właśnie jak w mowie te same, w których głos instynktowo wznosimy, albo spuszczaemy; dla tego w tym czasie śpiewak mniej jest baczny na to, co śpiewa, i zwykł się opuszczać, gdy przeciwnie inne tony skali, potrzebują natężenia umysłu i szczególnego wykształcenia głosu, i dla tego, z większą je odśpiewuje bacznością.

Kuglarze indyjscy, którzy pałaszami, kulami i kielichami tak zręcznie władać umieją, jedynie tylko rytmowi w poruszeniach winni są powodzenie sztuk swoich. Kule mają ciężkość rozmaitą, i rzucane są z szybkością ściśle odmierzoną, tak dalece, iż według taktu ósemek

szesnastek, znowu na ręce spadają; a że są próżne, przeto spadając wydają dźwięk, który kuglarza jeszcze pewniejszym czyni. “

Już temu lat sto, kiedy w Oxfordzie dano pierwszy koncert na skrzypcach; znawcy uważali je w ten czas za fraszkę dziecinną, i uznali że do muzyki nigdy z dobrym skutkiem być użyte nie mogą.

Skrzypce wynalezione zostały we Włoszech r. 1600, ale najwięcej cenione są, wynalezione 50 lat później w Kremonie przez braci A. i J. Amate, a robione przez ich współczesnego nazwiskiem Stradivarius. Skrzypce tego artysty są większe od późniejszych, i mają ton mocięjszy; płacą za nie po 200 gwinców. Od lat 180 skrzypce nie zmieniły swojej postaci, ale sztuka grania na tychże, wielkie uczyniła postępy. Zdaje się, iż postępowały w równi z udoskonaleniem głosu kobiecego. Chciano przez nie naśladować inne instrumenta, nawet organy, co wszystko sprzeczne było z właściwością tego instrumentu. Gdy później Hejdn sztukę muzyki przez naturalne brzmienia i tonny ożywił, melodyjna i prosta muzyka zajęła miejsce sztucznej i wymuszonej. W tedy też skrzypce całą swoją moc rozwinęły. Stały się instrumentem najwłaściwiej uczucia i myśli utwórców tłumaczącym; ale najwyższe swe udoskonalenie otrzymały dopiero z wykształceniem głosu kobiecego. Z niego powzięły naukę czu-

cia i wyrazu, tak jak one głosowi kobiet w gracyi wykonania za wzór służyły. Skrzypce więcej obejmują, niżeli głos ludzki; mają cztery oktawy; i gdy wszystkie cztery strony mają ton rozmaity, można im niejako poczwórne przyznać działanie. Największa jednak moc tego instrumentu, polega na smyczku, który rozmaicie trzymany i prowadzony, tak może tony odmieniać, że według zdania szkoły francuzkiej za pomocą smyczka, jedno i toż samo dzieło muzyczne 54 razy, coraz w odmienny sposób wykonane być może.

Sztuka, utwór człowieka, ma za podstawę naturę. Nasz umysł przywłaszcza sobie jej rozrzucone żywioły, ukształca całość i nadaje im formę. Natura podaje nam tony, kolory, ale muzyka, malarstwo, są naszą własnością. Nam służy zręczność przewyższyć śpiewaków leśnych i od nich się ucząc, otrzymywać skutki im niewiadome. Czyżbyk, kos, zięba, a nawet słowik są naszymi mistrzami, ale ich głos nie jest muzyką. Przez naszą cudowną prawie organizację podnosimy do sztuki to, co u nich jest tylko instynktem, tak jak dzikie kwiaty przesadzając, nadajemy im piękniejsze i rozmaitsze kolory. Nasze ucho każdy ton rozpoznaje, i nasz organ każdy naśladować potrafi. Nasz rozum i moc kombinacyi uzupełniają dzieło i tworzą muzykę.

Ale to jeszcze nierozwiązuje pytania. Powiedziawszy, że ton muzyczny poehodzi tylko z ciał elastycznych, jeszcześmy nic nie powie-

dzieli. Ton pochodzi z ciał elastycznych, ale cała muzyka polega na równości drzeń; im drzenia są więcej jednakowe i czyste, tém ton muzykalniejszy. Akkorda są tylko wynikiłością drzeń zupełnie równych; gdzie wielką liczbę tychże, pomieszanych słyszymy, tam niemasz tonu muzykalnego. Uderzając np. we wszystkie razem klawisze klawikordu, wydamy ton najniemuzykalniejszy, jaki sobie wyobrazić można. Tajemnicą i duszą prawdziwej muzyki jest numerus, tempo, równy takt, równe drzenia, równe ich podziały i równe współdziałanie rytmu.

Ton odbywa drogi, 1142 stóp na sekundę. Odgłos więc rozciągający się od jednego danego punktu do drugiego, musi przez pewien czas ciągle następującym rzędem tonów o nasze ucho uderzać. Kiedy żołnierze w jednej linii na przestrzeni jednej angielskiej mili ustawieni, na raz do pewnego przedmiotu w środku linii wystrzelą, wtedy stojąc na jedném skrzydle, słyszymy przez 5 sekund łoskot, który coraz staje się słabszym; gdy staniemy w środku, wtedy łoskot trwać tylko będzie $2\frac{1}{2}$ sekundy, wtedy jest mocniejszy i tylko na końcu słabnie; stanawszy przy piątój rocie, usłyszemy w pierwszej sekundzie łoskot podwójnie mocny, w trzech innych coraz słabszy. Gdy strzelający w zygzak ustawieni będą, usłyszemy na raz wiele wystrzałów, łoskot będzie naturalnie mocniejszy, a nawet przez pomnożenie i obliczenie zygzaków, można wydać *crescendo* i *diminuendo*. Jeżeli w środku w przyzwoitém oddaleniu ucho

panionowo spuścimy, wtedy usłyszymy *jeden* mocny huk podobny do wystarzału armaty. Podobnie słyhać często grzmot na morzu, materya elektryczna tworzy w chmurach także zygżaki, i gdy słuchacz należycie jest oddalony, poweźmie też same skutki.

Odgłos najmocniejszy umiéra zaraz nie rozciągając się dalej; ale tony akcentowane, śpiewane w odległym miejscu, dokładnie zrozumieć można.

Zdaje się, iż melodia jest właściwe tylko środkiem rozsyłania tonu na przestrzeń obszerniejszą. Dla tego przekupnie ulicznicy nie krzyczą, ale śpiewają, aby zdala byli słyszani. Zbliżającemu się do miasteczka w dzień targowy, wrzawa ludu, śmiechy, wołania i klutnie wydają tylko gwar przytłumiony; ale klarynet, postywę, i t. p. wyraźnie dosłyszeć można. Skrzypce kremońskie, Amorka mająca tylko ton słaby, ale miękkie brzmienia jój stróny, rozlegają się na przestrzeń, którejby nowe daleko głośniejsze skrzypce, nigdy nie mogły zapełnić. Kiedy sławny skrzypek Bootti, grał na amorce, znawcy szli na galeryę aby go lepiej słyszeli.

Między ptakami głos słowika najdalej sięga. W wielkich kościołach mszę śpiewaną słyhać w każdym miejscu kościoła, gdy głos czytanój cboćby najmocniejszym głosem, trudno zewsząd dosłyszeć. Chatham sławny mowca angielski, chorobliwy mający głos nader słaby, przez mo-

dulacją głosu i zręczne tonowanie słów, był w całej izbie słyszany i z przyjemnością słuchany; przeciwnie Burke którego mowa była ciągłym krzykiem, mimo całego talentu, nie mógł zająć uwagi słuchaczy; gdy wszedł na mównicę, członkowie udawać się musieli do mównicy.

Na niczem spełzły usiłowania tych, którzy chcieli tony z farbami równać, lubo wiele dowcipnych rzeczy w tym względzie powiedzieli. Trudno bowiem przekonać kogo, czemu głos hoboja podobniejszy ma być do koloru żółtego, niżeli głos fletu? Nawet ojciec Pastel wynalazł klawikord kolorów, który jest tylko igraszką bez żadnego użytku. Jeżeli Heydn, chcąc wyrazić powolne przejście z ciemności do światła, użył najprzód instrumentu przytłumionego, potem głos pomnożeniem *mass* wzmocnił, aż nakoniec wszystkie instrumenta orkiestry w jedno *tutti* połączył, że niejako grzmiały: wtedy przyznamy w prawdzie niejaki podobieństwo między harmonijnem *crescendo* tonu, i światła; ale kto słysząc tę symfonię, nie wie o zamiarze utworcy, temu pewno wschód słońca na myśl nie przyjdzie. Niech więc muzyka działa, jako muzyka, a nie żądajmy po niej czego innego.

Naśmiano się dosyć z kompozytorów, którzy nutami chcieli malować. Pół taktu miało znaczyć gruchanie gołębia, szesnastka galop konia, trącanie o strony, uderzanie morskich bałwanów, i t. d. Takowe materialne naśladowanie do niczego nie doprowadzi. Gdy

Beethoven w *Te Deum* na zwycięstwo, użył grzmotu armat, narobił tylko wiele łoskotu i nic więcej. Jak układ pewnych linii przyjemność, lub odrazę sprawując, budzi w nas uczucie piękności, albo brzydoty, tak pewne równoczesne, albo następujące po sobie drżenia, pierwsze lub drugie na nas czynią wrażenie. Więcej, najpierwsi filozofowie nie wiedzą, a kto krainę tonów z krainą kolorów chce mieszać, ten nie zna pierwszych zasad obudwu.

W stanie uczuć, głos ludzki z natury samej do melodyi się wznosi. Przyjemne wzruszenia, wybuch gniewu, miłości, nienawiści, zemsty, nadają mowie akcentowanie, które istotę i podstawę muzykalnej melodyi stanowi.

Ptaki których instrumentowanie daleko nie sięga, śpiewają, aby wyrazić swoje żądze, miłość, uciechy i cierpienie. Naśladować ich tony, nie odbierajmy im namiętności, która jest ich duszą.

Nawet tony natury fizycznej, mają pewien wyraz, który rozmaicie nas wzrusza. W nocy zimowej, gdy wichry wyją, jest to przyjemnością melancholiczną słyszeć wściekłość, albo jęczczenie wiatru szumiącego na drzewach, świszczącego przez szpary. Zdaje się nieraz, iż to jest jęczczenie nieszczęśliwego szukającego przytułku. Inne ludy mają jeszcze okropniejsze koncerty: głucho drżenie ziemi, wściekłość orkanów, trzask piorunowy wulkanu, powodzi rzek w górzystych krajach, szum lodów, i t. p.

Któż nie wie, jak dziwną harmonią wydaje morze, czyli gdy ten olbrzym w śnie spokojnym głucho tylko mruży, czyli gdy wściekły powstawszy, wały swoje nad latarnię w Eddystone wyrzuca, skały opienia, i na mil kilka całe żniwo pożera.

Szum wiatru w lasach, niemniej jest okropny od burzy morskiej. Drzewa zginiają się trzeszcząc, bite deszczem i wiatrem drżyć się zdają z korzeniem. Jaka różnica odgłosu wiatru od bałwanów! ten jęczy jak duch rozpaczy, pędząc wały przed sobą; te wyją głucho, jak odgłos stu armat w jaskini. Rossini, Haendel i Beethoven naśladowali ten łoskot. Wśród wrzawy instrumentów dają oni pauzy majestatyczne, których się u natury wyuczili. Crescendo, którego Rossini aż do zbytku używa, słyszeć można w lesie, gdy wiatr świszczy przez liście, i powoli z wytrzymanego gniewu do wściekłości przechodzi.

Instrumentem kościelnym, królem instrumentów są organy. Żaden nie zrówna im w rozmaitości mocy i objętości. Jest to syn średniego wieku, organ chrześcijańskiej muzyki. Głęboki i poważny jak wiara, nienasłodziwy w wzniosłym wrażeniu.

W roku 1824 król i królowa wysp Sandwichskich, których chrześcijaństwo ledwo cokolwiek ukształciło, słyszeli po raz pierwszy organy w Westminsterskim kościele — „Byłem wtedy—mówi pisarz angielski—przytomnym: je-

szcze mi stoi przed oczyma mały murzyn w czarnej sukni, białej kamizelce, gdy stał z oczyma wlepionemi w organy. Przy nim siedziała żona kolosalnej budowy i rysów szlachejnych. Na pierwszy odgłos organu upadła z krzesła, i siedząca obok dama angielska, z trudnością mogła ją nieco uspokoić. Ile razy melodyjne akkordy zabrzmiały, tylekroć powtórzyło się jej zachwycenie, że nareszcie wyjść musiała z kościoła. “

Pierwotne wzory organów i wszystkich dętych instrumentów, znajdujemy w rozległych jaskiniach, w które wiatr się zapuszcza, a których niezmierne otwory okropną wydają harmonią. Brzegi Cornvallis pełne są skał wydrążonych, które przed burzą wydają ton głęboki, żalobny, organom podobny. Żaden rybak nie puści się na morze, póki ten smutny odgłos słyszcć się daje. Majtek drży na okręcie, gdy go postłysz, i ten, którego działa nieprzyjacielskie nie ustraszyły, trwoży się na głos znajomego zwiastuna. Wiadomą jest obawa wieśniaków, gdy orzeł morski, a nawet kruk, w starym dębie zakracze. Nie bez zamiaru dała natura nocnym i drapieżnym ptakom głos tyle przerażający, i gdyby kto mógł wątpić o ogólnej harmonii w dziełach Twórcy panującej, przekonałby się o niej, z gruchającego gołąbka obok wrzaskliwego krakania jastrzębia, albo wesołej piosenki zięby, obok orła głoszącego zwycięstwo.

Człowiek naśladował wszystkie rodzaje tonów, które przez uderzenie metalów, drżenie strun, przez mechanizm rury powietrznej, i szpary wydobywać się dają. Wiatr lecący przez liście, nauczył go brząkać po strunach lutni, a echo nauczyło go, jak przez zręczne użycie deki oddźwięcznej tonowi, który się skupia i odbija, można przydać siły i miękkości. Arfa, fortepiano i gitara są wypadkami tych odkryć.

Gitara którą muzycy dziś gardzą, jest sama w sobie małą orkiestrą. Zręczny muzyk może na niej wygrać *trio* i *sextet*. Prawda, że mając słaby ton i mały oddźwięk, nie może czynić wielkiego wrażenia, zwłaszcza teraz, gdzie w muzyce tyle strzałów i grzmotów. Gitara, matka naszych skrzypców, a córka dawniej lutni i greckiej liry, równie jest łatwą do zrobienia, jak do strojenia. Każdy mający jakie uczucie muzyki, wydobędzie z niej akkordy. W samotności, jest instrumentem najpoważniejszym: ona drząc o piersi, odpowiada sercu grającego. Im bliżej jest z nią w zetknięciu, tém czulsze i mocniejsze wywabi z niej tony. Dudki czyli multanki między dętymi, a mandolina między strunowymi instrumentami, najmniej mają wyrazu. U pierwszej dech grającego długie miejsca przebywa; a pozorne, ciągle *pizzicato* mandoliny, nie palcem, ale piórem wykonywane, zranem jest powszechnie. Przeciwnie arfa, skrzypce, flet, które przez grającego są bez pośrednio *natchnione*, w zupełności uczucie jego oddają.

To samo rozumie się o gitarze. Lecz aby skutek czyniła, powinno jej sprzyjać miejsce i okoliczności. Wieczór jesienny ciemny, lassek, na pół oświecony pokój, głęboka cisza: otoż pora, w której ten instrument mimo słabych i łagodnych tonów, najmocniej może poruszyć. Lud półwyspu pyrenejskiego jest jedynym, który najwięcej uczucia swoje wewnątrz odwraca, i w tém rozkosz znajduje, szczególniej ceni gitarę. Historycy opowiadają o armii portugalskiej, która do ucieczki zagnana, 11,000 gitar na pobojowisku zostawiła. Podczas wojny o sukcesyę, kawalerzysta wysłany na czaty napadł na nieprzyjaciela stojącego na widecie, gdy właśnie z nudów stroił gitarę. Poznawszy że to czynił niesforne, wziął mu z ręki gitarę, nastroił i oddał mówiąc: „*Thora es templada.*“ Teraz nastrojona. W małym narzędziu, które tak duszą włada, jest zapewne ukryta moc tajemnicza.

Co do skrzypców, te są podziwem i najwyższém udoskonaleniem sztuki muzycznej.

Do utworu tego instrumentu, którego wynalazek jest zupełną własnością człowieka, potrzebował geniusz jego wyższego wzniesienia, bo natura nie dała mu do tego żadnego wzoru. Skrzypce można uważać za ostateczną wynikiłość doświadczeń wielu wieków. One łączą zalety liry, lutni, mandoliny i wioli, wad ich niemając, nadto, wielcy artyści nowych czasów, nadali im doskonałość, której się z razu po tak

słabym i pogardzonym instrumencie nigdy nie spodziewano.

Muzyka działa szczególniej na psy, ale nie w mieście, gdzie do niej zwykle są uzwyczajone. Niektórzy utrzymują, iż na nie działa boleśnie, co poświadczać się zdaje okoliczność, iż słysząc granie: wyją i uciekają. Widziano psy tak wyuczone, iż przylegały do ziemi i na strzały z broni, były nieporuszone, ale na odgłos muzyki zaczęły drżeć i wyc mimoswolnie. Psy doświadczone, już są niespokojne na widok wziętego smyczka do ręki. Doktor Mead wspomina psa, który zmuszony długo muzyki słuchać, życie przestał wyjąc najboleśniej. Podobnego losu doznają inne zwierzęta, a między innymi sowa; koty miauczą słysząc muzykę, ale mniej na nie czyni wrażenia, niżeli na psy.

Przeciwnie ptaki z największą rozkoszą słuchają muzyki, osobliwie czyżyki; widziano je często, iż się zbliżały do instrumentu, i słuchały nieporuszone, a potem na znak radości biły skrzydłami.

Na konia działa szczególniej trąba: pieśni wojenne budzą w nim zapał, najeża grzywę, roztwiera nozdrza i parska, błyska oczyma i uszy nadstawia, a nogą zdaje się takty wybijać. Wiadomo że konie wyuczone, tańczą według taktu muzyki.

Mówią iż Tyrolezykowie polując, umieją śpiewem jelenie, a fletem sarny przywabić.

Również płazy i owady ulegają wpływowi muzyki, czém się szczególniej jaszczurka od-

znacza. Słyszac glos albo instrument, okazuje wszelkimi poruszeniami radość najżywszą, kładzie się na grzbiet, na brzuch i na bok, chcąc niejako aby każda część ciała, doznać mogła działania, drzenia harmonijnego; nadto jaszczurka jest znawcą i nie każda muzyka jest jój przyjemną; glos chropawy i glosząca muzyka, wcale jój się nie podobają, ale przejmuje ją ton słodki, wolny i czuły.

Podróźni mówią, iż ogromnego grzechotnika zlagodzić można graniem na flecie, albo stosownem gwizdaniem. Chateaubriand zapewnia, iż w wyższej Kanadzie, widział zacieklego grzechotnika, który aż do jego stanowiska się dostał, i który na glos fletni oddalił się idąc za grającym.

Z owadów najczulszym jest na muzykę pajak: słyszac instrument, szybko spuszcza się po swojej nici, zbliża się ku niemu, i nie poruszony przez kilka godzin słuca, dopóki trwa granie. Więźniowie tym sposobem ulaskawiali pajaki.

Ale najwięcej zasługują na uwagę dwa słonie w królewskiej menażeryi w Paryżu, dla których przed kilkunastu laty dany był koncert, tak, iż orkiestry widzieć nie mogły. Piérwszém ich uczuciem było zadziwienie. To patrzyły na widzów, to pieściły się ze swoim dozorca, jakby pytały, co to jest? Wnet potém oddały się najżywszym wrażeniom. Każda nowa muzyka, odmienne w ich sprawiała uczucia, a każdy wyraz ich ruchu i glosu, zbliżał się

mniej więcej, do rytmu muzycznego. Ale szczególném jest to, że taż sama muzyka, grana z innego tonu, czyniła ich zupełnie obojętnymi: a zatem nie sam charakter tonu mniej więcej świetny, obudzał w nich uczucia, ponieważ kilka rozmaitych pieśni, na jeden ton granych, nie jednakowe czyniły na nich wrażenie, umiały więc, jeżeli nie odróżnić, to przynajmniej czuć kombinacje brzmień różnych.

● Kassach oszczędności (*).

We Francji upowszechnia się coraz więcej życzenie założenia po wszystkich miastach departamentowych i obwodowych kass oszczędności, ażeby każdy z pracy rąk żyjący, miał jak najłatwiejszą sposobność umieszczać korzystnie najmniejszą oszczędzoną sumkę, sumkę, aż do jednego franka. Powiedziano, iż kassy oszczędności są szkołami elementarnemi przezorności; możnaby dodać iż są oraz rękojmią porządku i dobrego prowadzenia się najliczniejszej klasy społeczeństwa.

Głównym punktem projektu w téj mierze podanego są: Prefekt albo Podprefekt zgromadzi znamienitsze osoby, w celu wybrania komisji mającej się trudnić kassą oszczędności; w każdym obwodzie kommissja składa się z 10 osób wybranych, do których z prawa należą, prefekt albo podprefekt, burmistrz miasta i najznamie-

(*) Niniejszy artykuł jest tłumaczeniem z mowy P. De la Martine.

nitszy duchowny. Ci ułożą pomiędzy sobą kolej i wydział zatrudnień członków. Poborczy departamentów i obwodów, obowiązani są wykonywać bezpłatnie obowiązki kassjerów przez jeden dzień w każdym tygodniu; przyjmowane będą pieniądze niemniej nad jeden, nie więcej nad 5,000 franków. Jedna osoba nie może więcej wnosić całkowitej summy nad 5,000 franków. Każdy składający, mieć będzie darmo książeczkę, zawierającą wnioski do kassy, wypłaty téjże i przypadające procenta. Wszelkie pieniądze do kass oszczędności wniesione, uważane są za wpłynione do skarbu królewskiego, który je przyjmie na procent, oznaczony corocznie przez Ministra skarbu. Wszelkie wydatki na zarząd tychże zakładów, należą do rady municypalnej. Składający może w każdym czasie część, lub całą wniesioną summę bez żadnych potrąceń odebrać, uwiadomiwszy kassę tygodniem wprzód, chcąc odebrać summę nie przechodzącą stu franków; a miesiącem wprzód, gdy summa jest większą.

Ważnym tu jest punkt, iż urzędnicy i obywatele zarządzać będą tym zakładem bezpłatnie, i że na wydatki bióra, które rady municypalne lub inne magistratury przyjąć mogą na siebie, od summ wnoszonych potrącanie nie będą. Tym sposobem tylko zakład takowy wzbudzi między wszelką klasą ludności potrzebne zaufanie.

KONIEC PISM BRODZIŃSKIEGO.

WZMIANKA

O

ŻYCIU I PISMACH

KAZIMIERZA BRODZIŃSKIEGO.

WILLIAM

0

BY JOHN P. BROWN

NEW YORK: BROWN, GREENGLASS & CO.

*On to pierwszy zdziczałe ciął gałęzie wzniosłe
On śmiał ścieżki odkrywać wiekami zarosłe.—*

Wiersz przystosowany

J. KRASIŃKIEGO.

Przystępując do opisu życia i prac jednego z najznakomitszych i najzasłużeńszych w Literaturze naszej Mężów, zapowiadamy wcześniej, aby nikt sobie nie wyobrażał, iż to już będzie szczegółowa, dokładna, jakiejby pragnąć i życzyć należało, z wyższego stanowiska pojęta i ułożona Biografia. Czujemy i znamy dobrze, co to jest opisywać życie, a zwłaszcza trafnie ocenić prace, takiego, jak BRODZIŃSKI Człowieka i Pisarza. Trzebaby wpatrzeć się w niego z lat młodocianych prawie, trzebaby iść ślad w ślad za jego pierwiastkowym wychowaniem, dojść wpływu najpierwszych wrażeń, przeznac dostatecznie

stopniowy postęp moralnego i naukowego ukształcenia, odkryć, jakie mu okoliczności sprzyjały, a co w szlachetnym jego zawodzie stawiło nieprzełomne tamy, trzebaby nakoniec ściśle zbadać wszelkie otaczające go w ciągu całego życia okoliczności, stosunki w jakich zostawał, dążność, kierunek i wpływ, który w swoim czasie wywierał na powszechność, jako Poeta narodowy, jako Estetyk i Krytyk, jako publiczny Nauczyciel Literatury krajowej w Uniwersytecie warszawskim, jako naostatek wydawca *Pamiętnika*, będącego przez długi czas organem i zwierciadłem przeradających się wtedy u nas korzystnie wyobrażeń we względzie Literatury i Poezji, i. t. p. Słowem: należałoby mieć w najdrobniejszych szczegółach źródła, wykazujące jego życie i prace, a właśnie na takich pomocach, mimo najusilniejszych poszukiwań z naszej strony, niemal nam całkowicie zbywało ¹. Wreszcie wyznajemy otwarcie, że gdybyśmy nawet byli szczęśliwsi co do poszukiwań naszych w tej rzeczy, możeby i wtedy dokonaniu tak chlubnej lecz arcy trudnej pracy, własna nieudolność nasza stanęła na zawadzie. Zostawiwszy więc zamiar nad siły, świadomym, szczęs-

liwszym i zdolniejszym od nas; przestaniemy na prostéj, skromnéj wzmiance o życiu i pismach naszego, nigdy dosyć nieodżałowanego poety.

Kazimierz BRODZIŃSKI urodził się 1791 roku dnia 8 Marca w Galicji austryackiej, w Obwodzie bocheńskim, we wsi *Królówce*, i stąd czasami, zwłaszcza pod koniec życia, podpisywał się pod utworami swojemi *Kazimierzem z Królówki*. Ojciec jego Jakób, był naprzód pełnomocnikiem Starosty Fryderyka Moszyńskiego w Starostwie lipnickim, a później dzierżawcą tychże dóbr, do których i wieś Królówka należała. Matkę, Franciszkę z Radzikowskich, w młodocyanym utracił wieku. Oto co o niej sam powiada w zajmującym piśmku swoim, p. t. *Wspomnienia mojej młodości*, zostawioném w spadku jedynéj córce Karolinie. 2. —

Matki mojej wcale nie pamiętam, miałem lat pięć gdy mię odumarta. Jedyna scena, którą z dziecinnych lat moich pamiętam, jest pogrzeb mojej matki. Jej postać w trumnie, aż do ubioru, do katafalku, na którym złożoną była i do pieśni, które nad jej ciałem ubodzy przez dwa dni śpiewali, pamiętam jakby wczorajsze

zdarzenie; równie jak przepowiednię Księ-
dza, który wtenczas do nas powiedział:

DZIECI! BĘDZIE WAS BIEŁA MACOCHA!

W późniejszych czasach, służące i ko-
biety wiejskie, wiele mi o dobroci méj mat-
ki opowiadały, co najwięcej słuchać lubi-
łem i im jedynie winienem to przywiązanie
do niej, z którą, zdaje mi się dotąd że ży-
ję. *W* najsmutniejszych wypadkach póź-
niejszej młodości mojej, zawsze się do niej,
jako do patronki modliłem. Jój postać u-
marła, którą jedynie pamiętam, zawsze
mi smutne i pełne uszanowania czyni wra-
żenie.... Miałem jeden sen o niej, który
na długo żywym uczuciem mię przejął. By-
łem w wielkim Kościele, gdzie ona na chó-
rze, w ubiorze, w jakim złożona była w trum-
nie, wśród tłumu podobnych jój bladych
niewiast, mnie ręką do siebie wzywała.
*W*net znalazłem się na chórze, a uściski jój
dziwną mię upoiły roskoszą, gdy nagle o-
gromny głos od Ołtarza requiescat in pace,
który długo brzmiał w moich uszach, sen
mój zakończył. *W* dzieciennym bardzo wieku,
napisałem Elegję do cieniów mojej matki

której wcale nie pamiętam, wiem że ją pła-
 cząc pisałem, i w nocy, na oknie, tylko przy
 świetle księżycy. Brat mój Andrzej zawsze
 mi to pismo moje wychwalał. Nie wiem czy
 kto, choćby najtkliwszej miłości macierzyń-
 skiej doznawał; mocniej czuł nademnie, co
 to jest matka. Imię matki od lat najmłod-
 szych było dla mnie świętym nazwiskiem.
 Widok moich spótuczniów i później mło-
 dzieńców przy matkach, napętniał mię rze-
 wnym uczuciem. Nie mogłem się utulić ze
 smutku, który się cisnął w me serce, gdym
 widział lub słyszał wyrazy troskliwości i
 przywiązania macierzyńskiego. Nie tylko
 dla matek, ale i dla spótuczniów moich, któ-
 rych obok matek widziałem, miałem jako-
 wyś dziwny rodzaj uszanowania. Uważa-
 łem synów mających matki, choćby dale-
 ko uboższych odemnie, za jakoweś wyższe,
 do szczęścia od natury przeznaczone istoty.
 Kochałem ich więcéj dla tego, że ich mat-
 ki kochały. Wiele samotnych, nikomu nie
 znanych też mię kosztowało, gdym widział
 dziecię od matki pocałowane. Może to by-
 ło dzieci_{ne}, przesadzone uczucie, ale je

pojmie ten, kto lat dojrzałych doszedłszy, nie znał, co to jest uścisk rodzicielski. Pragnąłem zawsze i mniemałem w sercu, że zastępuję na miłość u kogoś, ale do późnych lat żadnej nie doświadczyłem. Nie mieć matki, która jedynie wychowanie serca dać może, nie mieć istoty, przed którą możnaby się szczerze ze wszystkiemi dziecinnymi fraszkami, z owemi pierwszemi uczuciami wywnętrzyć, to jest, co nam najwięcej nadaje owe czucie w sobie samym się trawiące, ową nieśmiałość do ludzi, a najbardziej niebaczość na swoje postępowanie, od dobrych natogow wrażeń i przykładów zaczawszy. Do dziś dnia czuję to w sobie, i gdybym dziś jeszcze znalazł taką istotę, ręczę że powierzałbym jej wszystko jak dziecko, we wszystkiem byłbym jej postuszny. Do dziś dnia nie czuję w tym względzie żadnej męskiej wyższości i dojrzałego wieku. Każda kobieta tytułem matki ozdobna, ma odemnie jakąś część miłości synowskiej. Zdaje mi się że człowieka jest potrzebą, aby kochał swą matkę, że kto jej nie ma, upatruje ją wszędzie, i we wszystkiem chce ją sobie nagra-

dzać. Do znanéj matki tęsknimy w całym
 życiu jak do ziemi, na której się nasze ży-
 cie rozwijać zaczęło; o nieznanéj marzy-
 my jak o raju lub o świecie obiecany-
 m jak o rajach i nagradzamy ją sobie tworząc o niej jak naj-
 doskonalsze wyobrażenia. Nie miałem mat-
 ki..... W szczupłym mieszkaniu maco-
 chy, którą moje próżniactwo bynajmniej nie
 obchodziło, miałem mieszkanie moje na stry-
 chu, do którego po drabinie wchodziłem,
 gdzie tylko na pościeli mogłem siedzieć, pi-
 sać, lub czytać Grammatykę. Tam między
 innemi rzeczami, postrzegłem wór papié-
 row po ojcu moim zebranych. Między li-
 stami, rejestrami, było wiele drukowanych
 na arkuszach i półarkuszach mów Sejmu
 czteroletniego, wierszy najwięcej na imie-
 niny różnych panów lub Króla Stanisława,
 jak to bywało zwyczajne, iż podobne rze-
 czy osobno drukowane, po wszystkich się do-
 mach rozchodziły prędzej, niż gazety i książ-
 ki. Z chciwością wielką odtaczałem te skar-
 by mojej lektury od papiérów na nic nie
 przydatnych, a biorąc po zwitku w pole, czy-
 tałem głośno to mowy, to wiersze. Wiersze

sprawiaty mi rokosz, jeżeli w nich jakie porównania, jakę obraz znalazłem. Ubogie to było żniwo: powinszowań Naruszewicza, X. Żukowskiego, lecz były i niektóre Trębeckiego bez podpisu, które mi się nieskończenie wyższe zdawały, i w pamięci utkwiły. Te jednak wiersze lubo wcale dla mojego wieku i moich skłonności niestosowne, obudziły we mnie chęć pisanania, a przynajmniej naprowadziły mię na poznanie zewnętrznego składu wiersza. Póki jeszcze służyła pora jesienna, chodziłem w pole i ukryty w gęstwinach układałem w rymy, co mi do głowy przyszło, jak piskłę w gniezdzie, które instynktem danym wiedzione, inne ptaki naśladować usiłuje..... Przecież zbliżyła się wiosna razem z Wielkanocą. Zajmowało mię wielce nabożeństwo wielko-tygodniowe, a przez znajomość z organistą należałem w części do czynności kościelnych. Uderzyły mię szczególnie śpiewane przez niego *Psalmy przy grobie CHRYSOSTUSA*. Śpiewałem je z nim samym później kolejno, nazajutrz całe rano i po południu sam nie ustawałem śpiewać, a organista z ochotą dał się wyręczyć, Nigdy nie

zapomnę uroku, jaki na mnie wtenczas sprawy tak śpiewane pieśni Dawida!

Po skończonej Uroczystości wielkocnocnej, potrafiłem uprosić od Organisty książkę, której używałem i czytałem i śpiewałem w polu, uchodząc najdalej, żeby mię ludzie nie słyszeli. Pogodziłem się z zarzuconą Grammatyką łacińską i czułem stodycz tego języka. Marzenia moje zaczęły być nie już tylko poetyczne, ale i religijne, a od smutku i tęsknoty, do błogiej weselości i nadziei mych marzeń przeszedłem.

W tym właśnie czasie odebrałem list od brata Andrzeja, który z Uniwersytetu lwowskiego przybył do Stryja, mającego znaczne probostwo w Wojniczu, o cztery mile od Rajbrodu. Co to była za radość moja czytać list cały o Poezji, której się brat mój z największym zapamiętaniem ciągle oddawał i dołączone do niego przekłady wierszem niektórych rozdziałów Tomasza z Kempis, a nawet całej Tragedji przez niego napisanej pod tytułem: Ludgarda. Postąpiłem mu nawzajem moje ramoty, odebrałem odpowiedź zachęcającą, pełną miłości bra-

terskiej i poezji. Już i Psalmy i płynąca z nich ostoda nie były mi wystarczające. Nie sypiałem z tęsknoty do brata, do jego książek.....

W ogólności nie znalazłem koło siebie ani jednej istoty, któraby moje zamitowanie (w poezji) dzieliła, a właśnie w tym czasie uczułem potrzebę nie tak wspólnych rozmów o poezji, jak przyjaźni, które to uczucie w młodym wieku, tak jest żywe i zajmujące. Myślałem i wierzyłem, że każda przyjaźń związana trwać powinna wiecznie i żyć poświęceniami. Młodzieniec jeden, Karpieński, samém nazwiskiem zwrócił na siebie moją uwagę, choć nie był krewnym poety i do poezji najmniejszego nie czuł powabu. Powolny, cichy, jak Anioł niewinny, zajął całe me serce, skąd ten tylko zysk odniósł, iż go gwałtem trapiłem, aby odpowiednie do imienia, był poetą. Dobroć jego, czyniła co mogła; jam zachęcał, popruiwałem, ale to nie szło. Nakoniec znalazłem przyjaciela, jakiego sobie exaltowana moja imaginacja wystawiać mogła. Był to syn Professoru, Parczewski Karol, o parę i wię-

cój lat młodszy odemnie, pobożny, pracowity, w moich oczach piękny jak Anioł, zawsze uniesiony i pełen do poezji skłonności. Zdarzenie zbyt smutne było początkiem naszej najgorętszej przyjaźni. Poszło nas kilkunastu do rzeki Białej kąpać się, gdzie kolega nasz Przygodziński daleko się od reszty oddalił i nie postrzeżony od nikogo utonął. W kilka dni dopiero znalezione jego ciało, już okropnie zeszpecone, przywieziono do domu. Całą noc po tym widoku nie spałem i papierkami polewając napisałem Elegję na śmierć nieszczęśliwego; jedyna to była moja poezja, którą spółkolegom przeczytałem, a która ich wszystkich zajęła jako wynikła ze zdarzenia, które na wszystkich wrażenie uczyniło. Nawet Professorowie pochwalili tę pracę moją, a młody Parczewski ze łzami rzucił się w moje objęcia nie mogąc słowa wymówić. On przyprowadził do mnie nieszczęśliwą matkę Przygodzińskiego, która dowiedziawszy się o okropnym losie syna, z prowincji przybyła. Ona rzewnie płacząc ścisnęła mię według jej wyrazów jak syna, i dziękowała za biedne wiersze o nim, które

ją doszły. Mało kto może uwierzy, iż to był dla mnie pierwszy uścisk i kobiety i matki, że był u mnie rzeczą nadzwyczajną, żem płakał, jak małe dziecko myśląc, iż nie mam matki, któraby na mój zgon była podobnie tkliwą.

Kogoż nie ujmie takie szczére, pełne miłej prostoty wyznanie? Kogoż nie rozrzewni taka tkliwa czułość i miłość syna dla ukochanej matki, taka czysta i piękna dążność do szukania przyjaźni?... Z tych krótkich wspomnień łatwo już poznać bogobojne i świątobliwe niejako usposobienie serca młodego Brodzińskiego, i widać, że chociaż później stracił ojca, choć był zaniedbywany przez macochę, własnymi jednak siłami wrodzonej szlachetności ducha, kształcił się na Poetę, a co większa, na zacnego, w całym znaczeniu tego wyrazu, człowieka, tym gruntowniej i trwałej, że to ukształcenie swoje na zasadach świętej naszej Religji opierał. Obdarzony z przyrodzenia sercem niezmiernie tkliwém, skłonny do rzewności i marzeń właściwych duszom niepospolitym i poetycznym, z najpierwszych lat dziecinnych rozwijać począł

wrodzone swe zdolności. Największy zaś i najskuteczniejszy wpływ w tym względzie, wywarł na niego, jakśmy widzieli we *Wspomnieniach*, starszy brat Andrzej, który także mający zdolność do poezji i namiętnie w niej rozmiłowany, obeznawszy się w Uniwersytecie lwowskim z Literaturą niemiecką, zamierzał celniejsze jej utwory poetyczne przelać na język ojczysty, aby tym sposobem oswoić ziomków z obrazami i pojęciami poezji, różnemi od obrazów i pojęć, panującej natenczas u nas wyłącznie szkoły francuzkiej, chociaż może i sam nie miał zupełnie jeszcze czystego téj rzeczy wyobrażenia, lub od razu z form powszechnie wtedy przyjętych otrząsnąć się nie śmiał. ³ Jakkolwiek bądź, zawsze jednak, wpływ Andrzeja, silnie działał na młodociany umysł brata Kazimiérza, nie tylko bowiem rozwinął w nim zaród talentu, zachęcił do kształcenia się i ciągłego postępu, lecz nawet w samym już początku, prace jego w tym zawodzie przedsiębrane, ku lepszemu i właściwyszemu skierować umiał celowi.

W roku 1809, mając lat ośmnaście, ukończył nasz Kazimiérz w Tarnowie szkoły, poczem niezwłocznie mimo wątpliwych sił ciała, wraz

z bratem Andrzejem, udał się wprzód do Krakowa, stąd zaś do Xięstwa warszawskiego i tam wszedł do półku Artylerji pieszej, (20 Lipca) naprzód jako ochotnik, a potem jako podoficer w kompanji 12-tój.
 4° Szczęśliwem dla młodego poety losu zrządzeniem dowodzącą téj kompanji, mianowany był wkrótce po wejściu Brodzińskiego do wojska, zacny i zdolny młodzian, Wincenty REKLEWSKI 5° lubiący namiętnie Literaturę i Poezję, i sam w wolnych chwilach piszący. Nie przykrą więc była dla Brodzińskiego służba pod takim naczelnikiem, który nie tylko żadnego rozwijającemu się talentowi nie stawił oporu, ale owszem spółczując, oceniać go sprawiedliwie i zachęcać potrafił. Wiek rowienniczy, jednakowość skłonności, sposobu myślenia i uczuć, skojarzyły wprędce najścislejszym węzłem przyjaźni młodego podoficera z Kapitanem, i ten już między niemi związek, przetrwał niezmiennie aż do zgonu Reklewskiego.— Wszystkie godziny zbywające od obowiązkow służby, zwłaszcza podczas pobytu z kompanją swoją w Modlinie, poświęcał Brodziński własnemu ukształceniu, oznajmiał się tak z Literaturą ojczystą, jako też i z obcemi, szczególnie z niemiecką, bo dokładnej znajomości ję-

zyka niemieckiego, w szkołach jeszcze był na-
 był; kiedy niekiedy drobniejsze tworzył po-
 ezje i spisywał dzienniczek wypadków życia
 swego w służbie wojskowej⁶. — Podczas Kam-
 panji 1812 roku dnia 4 Listopada otrzymał
 stopień Porucznika, następnie z wojskiem dzie-
 lił wytrwale wszelkie koleje losu wojny,
 przebył szczęśliwie pamiętny odwrót, lecz w bi-
 twie pod Lipskiem raniony i pojmany był przez
 Prusaków. Po kilkunasto-miesięcznej niewoli,
 wypuszczony na słowo honoru, wrócił do Kra-
 kowa, cały rok 1814 przebył u ciotki swojej,
 we wsi Sulikowie około Pilicy w pobliżu Kra-
 kowa, poczem udał się do Warszawy, gdzie
 otrzymawszy uwolnienie ze służby wojskowej,
 zajął się obowiązkiem cywilnym w Kommissji
 Spraw Wewnętrznych, i odtąd stale przebywa-
 jąc w Warszawie, z większym niż kiedykol-
 wiek zapałem i gorliwością, oddał się naukom,
 ku którym go wrodzona skłonność i prawdzi-
 wy talent, bezprzerwanie nęciły. Miał wte-
 dy lat 23 wieku, obejrzał naprzód stan ówczes-
 ny Literatury w kraju, obrachował jój potrze-
 by i własne siły, a wiedziony zacnem uczuciem
 stania się użytecznym dobru ogólnemu, nie od-

dał się pracy naukowej jedynie w tym celu, aby dla siebie samego zyskać imię i sławę, co-
by mu zapewne łatwiej dokazać przyszło; ale
stanowczo przedsięwziął tak działać i tak swé-
mi wpływać pismami, iżby te na właściwszą
drogę oczy rodaków pod względem Literatury
i Poezji zwrócić mogły.

Nim opowiemy dalszy zawód życia ś. p.
Brodzińskiego, wyłącznie już prawie naukowy,
i wyliczymy porządkiem lat, ogłaszane przez
niego dzieła; spojrzymy pobieżno na stan tam-
toczesny Literatury w Polsce.

Jak wszystko, co ziemskie, ma swój po-
czątek, kwitnienie, stan osłabienia i koniec; tak
i Literatura każdego narodu musi mieć swój
brzask swoje południe, w którym jasnym przy-
świéca blaskiem, i chylenie się do upadku,
albo ciągnące za sobą odrętwienie umysłowe i
letarg czasowy, albo wieczną grożące zagubą.
Od śmierci ratunku nie ma: lecz wydobyć z nie-
dołęztwa i odrętwiałości uspięne umysły, skie-
rować na tor przyzwoity skrzywione wyobrażenia,
było zawsze i będzie dziełem człowieka niepospo-
litego, człowieka wyższych usposobień i pojęć,
człowieka nakoniec, który potężny siłą woli, śmiałe

stawi czoło w trudnej walce z ciemnotą, lub zagrzechłeni w opacznym sposobie widzenia rzeczy, przesądami.

Takim to mężem silnej woli, takim właśnie zwiastunem pomysłniejszej zorzy dla Literatury naszej, stał się Kazimierz BRODZIŃSKI. Literatura polska, aczkolwiek zamożna w najszacowniejsze pomniki Wymowy i Poezji; ten atoli dawniej ściągala na siebie zarzut, że zawsze prawie od początku swojego naśladowniczą była. Po wyrobieniu się siły moralnej i umysłowej narodu, arcy dzieła Greków i Rzymian nie tylko były dla naszych uczonych i Poetów wzorem, lecz jakąś konieczną, nieodzownie potrzebną modlą, według której naginali oni swój talent i najcelniejsze jego utwory. Rzadko, bardzo rzadko, gęśl polskiego wieszczka zabrzmiała nutą rodzinnego śpiewu. Mieliliśmy nawet takich poetów, którzy nie ojczystą, lecz łacińską, pośród własnego kraju śpiewali mową, bo język MARONA był natenczas powszechnie wziętym i w całej uczonej Europie. Poźniej nastąpił ogólny umysłowy letarg. Po ocuceniu się z niego, po odrodzeniu się Nauk i otrząśnieniu się ze skażonego smaku, przy końcu pano-

wania Augusta III. a zwłaszcza za czasów Stanisława Augusta; pod wodzą nieśmiertelnych zasług Pijara KONARSKIEGO, wzięto się najgorliwiej i z najzacniejszym zapałem do rozszerzenia oświaty, lecz szukając znowu koniecznie dla siebie wzoru, za nadto od pierwszego wstępu, zapatrzone się na słynącą podówczas w całej Europie Literaturę francuzką, którąby raczej, *Literaturę dworu wersalskiego*, przeważać należało. To ślepe zapatrzenie się, zrodziło niewolnicze naśladownictwo, i choć wpłynęło korzystnie na zewnętrzną ogładę wystowienia, lecz z czasem Poezji śmiertelny cios zadało. Zamiast albowiem dozwoić poetom iść za głosem natury i własnego natchnienia ⁷ przytrzymywano ich ściśle więzami surowych ustaw *Sztuki rymotwórczej* BOALA i szyderczą powagą mało wyrozumiałych, a jednostronnie tylko spoglądających na przedmiot krytykow, którzy że tak powiemy, z cęrklem w ręku rozmierzali natchnienia poetycznego ducha. Nie zastanawiali się oni jbynajmniej nad nowością pomysłów, nad doskonałością i trafnością obrazów, niewieściiej im o tocho-
 pzieło, żeby nie wykraczano przeciw formie i przyjętem razna zawsz e prawidłom. Nieraz poeta lę-

kając się wprowadzenia nowości i śmielszych zwrotów, skrępowany w swym duchu, do wyższego usposobionym lotu, dla przepisow powszechnym uświęconych zwyczajem; musiał ograniczać wyobrażenia swoje, i najlepsze czasem, lecz nowe, ścieśniać pomysły. Chcący utworzyć bohaterskie poema, za grzech poczytywał nie zacząć je podobnemiż wyrazami i tokiem, jak HOMER, VIRGILI, lub TASSO. Pisarze Tragedji niewolniczo trzymali się KORNELA, RASYNNA i WOLTERA, czego największym dowodem jest to: że w ówczesnych najlepszych Tragedjach zawsze są sceny i osoby, przypominające wyraźnie którąkolwiek scenę lub osobę z *Cyda*, *Horacjuszow*, *Fedry*, albo *Zairy*. Zewnętrzny polor wierszowania w wysokim stopniu ukształcony i wydoskonalony został. Chcąc ujść wtedy za gładkiego i wdzięcznego, według francuzkiej formy rymopisa, dosyć było dobrze być odczytanym, bo ducha prawdziwie poetycznego nie koniecznie już wymagano, owszem przeciwnie, śmiałość zwrotów zapął porywający serca, właściwy w ogólność, wielkim Poetom; musiał nieodzownie w ciasnych szrankach ścisłych prawideł, albo zniknąć zupełnie, albo skarłowacony i zwichnięty, przy-

tłumioném gdzie niegdzie tylko połyskiwać swiatełkiem. Po utworach znakomitych naszych Poetów, wstawiających epokę Stanisława Augusta, którym jako pierwszym i potężniejszym, łatwiej może było z pod form świetne swoje wykazywać zdolności; same tylko następnie zjawiały się już powtarzania. Podrzędne bowiem talenta, rozwodniając coraz bardziej i tak już płytką rymowaną deklamację, posunęły szkodliwość w tym względzie tak dalece; że bez żadnych prawie myśli, samą tylko gładkością i doborem słów wymuskanych zalecające się rymy, raziły każdego jawnie ekliwą, nudzącą jednostajnością. (monotoniją) — Wówczas to, „Literatura polska,” powiada jeden z najznakomitszych naszych pisarzy; „była kopją kopji, przeobrażeniem przeobrażenia. W niej podobno żadna iskierka życia nie tłała. Drzewo zagranicznego szczepu, nie wprost z korzenia ulepszone, obce zrodziło owoce, wysileniem, przymusem i sztuką cieplicy roślinnej..... Obcy zasiew wybujał; ale kłosa czcze były po większej części, a ziarno nie ważne, lekkie; reszta to w łodygę to w nąc się rozrosła”.

Takowe smutne odrętwienie poezji, kiedy

niekiedy wygładzonemi, do pięknej prozy rymowanej podobnemi, przeplatane wierszami, trwało aż do czasu powrotu Brodzińskiego z niewoli. Europa dawno się już była spostrzegła i ze szkodliwego, zbyt niewolniczego otrząsnęła się naśladownictwa. Anglicy zwłaszcza i sąsiedni nam Niemcy, w olbrzymie uposażeni jenjusze, (BAJRON, GETE, SZYLLER) zrzuciwszy z siebie jarzmo francuzkiego rymotwórczego kodexu, własną swoją, rodzimą, coraz pomyślniej rozkrzewiali poezję. Dziwna rzecz zaiste! byli u nas wtedy uczeni, umiejący gruntownie po angielsku i po niemiecku, czytający w obu tych językach najcenniejsze nowsze utwory, tłumaczący z nich nawet niektóre, odbywający naukowe podróże, a stąd bez wątpienia, postrzegający jasno stan opłakany Literatury i Poezji naszej; żaden z nich jednakowoż nie pomyślił zedrzyć z oczu zasłony, nie ozwał się głosem prawdy, żeby uśpionych ziomeków swoich, z niedołęznego wybudzić letargu. Starszym chęci a może i siły, młodszym śmiałości brakowało. Piérwszy w te zaszczytne szranki wystąpił Brodziński. Nie targnął się on wręcz zuchwale na odjęcie z omglonych oczu zeskorupiałej długim nałodo-
Dz. Br. T. X. Pr. 21

giem ślepoty, lecz przystąpił ku temu z największym, wrodzonym skromnemu umysłowi swojemu umiarkowaniem. Nasamprzód w ciągu pierwszych lat trzech pobytu swego w Warszawie, począł ogłaszać w wydawanym ówczesnie przez F. BENTKOWSKIEGO *Pamiętniku warszawskim*, przekłady swoje z poetów niemieckich, szczególnie z ulubionego sobie SZYLLERA, starając się jak najwierniej przećwiczyć ducha poety, później kolejno w tymże *Pamiętniku*, i innych periodycznych pismach, umieszczał poezje oryginalne, nie według przyjętej tworzone skali, nie francuzko naśladownicze, ale wprost czerpane z natury rzeczy, szczeropolskie, własne. Poezjami temi były pieśni ludow słowiańskich ⁸ wiersze z okoliczności owoczesnych narodowych wypadków, i. t. p. Wtedy to właśnie zjawił się jego nieporównany, pierwszy wzór rodzimój naszej Poezji: *Wiesław*, tak trafnie, tak jasno i tak wybornie, jakby w najczystszej zwierciadle odbijający zabawy, obyczaje, prostotę i uczucia wiejskiego krakowskiego ludu. Powszechność do razu prawie pojęła Brodzińskiego i polubiła jego poezje, lecz ówczesni spoczywający na laurach Koryfeusze zfrancuzia-

tój u nas Literatury, oczadzeni z dawna dymem wzajemnie sobie udzielanych kadzideł, okoleni jeszcze wtedy tłumem bijących im kornie czołem i owczym pędem cisnących się koło nich zwolenników; powstawali na niego, i głośno zwłaszcza po towarzystwach domowych warszawskich, odzywali się o pracach jego z obojętnością lub szyderycznym uśmiechem. Nie zraziło to wcale Brodzińskiego, owszem dodawszy mu silniejszego bodźca ku obronie nie siebie, ale rzeczy, wywołało go na pole estetyczne. Jakoż w *Pamiętniku warszawskim* na rok 1818, do którego redakcji i sam już wtedy należał; ogłosił rozprawę swoją: *o Klassycyzmie i Romantycyzmie*.⁹ Tu już zacięta wszczęła się wa'ka. Rozszczerzone stronnictwa pod nazwaniem *Klassyków i Romantyków* napadając na siebie, w zapalczywém uniesieniu nieraz z drogi prawdy a nawet przyzwoitości zbaczwały. Brodziński usunął się na stronę, nie należąc bynajmniej do téj polemicznej wojny. Przewidywał on wcześniej, że prędzej lub później prawda przezeń wykazana nakoniec tryumf odnieść musi. I tak się stało: rozprawa jego stanowiąca epokę w Historji Literatury naszej, z dziwnie skromnym napisana umiarkowaniem, pełna

trafnych uwag, głębokiego rzeczy pojęcia i siły przekonania, wprędce oświeciła umysły nie uprzedzone, i ku opowiadanej nakłoniła je prawdziwie. Sam nawet Jan Sniadecki z należą o tej rozprawie odezwał się pochwałą. Stopniami słabły i nakoniec całkiem przycichły sporne głosy przeciwników, a powszechność coraz więcej oceniać zaczęła dalsze prace Brodzińskiego. Takie to są ważne i wielkie zasługi, które ten mąż niepospolity, w ciszy zacnego swego ducha obmyślił i wykonał. — „On pierwszy” jak sprawiedliwie powiada Michał Grabowski: „zrobił w Literaturze polskiej krok stanowczy, olbrzymi, bo od dowcipu do myśli, od sentymentalności do czucia, od sztuki do natury. Pierwszy przeczuł poezję narodową i we własném ją sercu wynalazł.” —

Po ogłoszeniu wspomnionój rozprawy, wkrótce Brodziński opuścił służbę w Kommissji Spraw Wewnętrznych, i nadal obrał sobie wyłącznie stan naukowy, do którego już wziętość literacka szeroką dlań utorowała drogę. Naprzód (od roku 1818.) dawał lekcje Literatury polskiej i stylu w Konwiktie XX. Pijarów na Zoliborzu, i wtedy (1819, roku) ogłosił przekład swój Tragedji Raynouard'a *Templarjusze* z ob-

szerną historyczną o Zakonie Templarjuszów wiadomością. W roku 1821, ¹⁰ wezwany przez Komissję Wyznań Religijnych i Oświecenia, był zastępcą profesora w Lyceum warszawskim, i zebrawszy w jedno rozproszone po pismach perjodycznych Poezje swoje, wydał je razem we dwóch tomach wraz z dodatkiem przekładu Tragedji Ducisa *Abufar*. Nakoniec roku 1822 począł wyklądać Literaturę polską w warszawskim Uniwersytecie gdzie już kolejno mianowany był: piérwszym Sekretarzem, (1823 roku) professorem *statym*, (1826.) wówczas także Towarzystwo warszawskie przyjaciół Nauk mianowało go swoim członkiem; tegoż roku w celu podratowania nadwerężonego ciągłými pracami zdrowia, udał się za granicę, zwiedził Włochy, Szwajcarję i Paryż. Wróciwszy z téj podróży, został professorem *radnym* (1829) następnego roku wydał swój przekład *Elegji łacińskich* Jana Kochanowskiego, (obok z oryginałem i przemową zawierającą w sobie krótką Biografię czarnoleskiego wieszca) oraz tom 1-szy estetycznych i krytycznych prac swoich. Mianowany naostatek jeneralnym Szkół Wizytatorem, po zamknięciu wkrótce Uniwersytetu, otrzymał pensję emerytalną, poczem jeszcze nie zaprzestając

pracować, należał czas jakiś do wydawania *Magazynu powszechnego*, i ułożył na wzór wydania Deroma *Dzieje starego i nowego Testamentu* dla użytku młodzieży. Wszelkie przyjęte na siebie obowiązki i dobrowolnie z własnej ochoty przedsiębrane prace naukowe, nie tylko wykonywał przez całe życie swoje, sumiennie, ściśle i najgorliwiej; lecz nawet mało bacząc na słabe z przyrodzenia siły ciała, usilną a mozolną pracą tak nadwerżył zdrowie; że w celu jego polepszenia, pojechał naprzód (1834. roku) do Krakowa, gdzie od lat dwudziestu nie był i gdzie z największym przyjętym został uwielbieniem., Wróciwszy do Warszawy wkrótce za radą lekarzy znowu udać się musiał za granicę do wód czeskich. Ale żadne sposoby ratunku już mu pomódz nie mogły, z powodu zupełnego rozwinięcia się choroby piersiowej, która zwolna gasząc jego siły żywotne, nakoniec go dobiła. Umarł w Dreźnie dnia 10 Października 1835 roku. Do ostatniej chwili zachowując przytomność umysłu, okazywał dziwną duszy spokojność, tudzież ciche, łagodne, prawdziwie Chrześcijańskie poddanie się nieodzownej woli Wszehmocnego. Był przy nim obecny aż do jego sko-

nania, znany powszechnie z miłych swoich Poezji, wzorowy nasz tłumacz celniejszych poematów angielskich i niemieckich A. E. ODY-
NIEC Ten wkrótce po zejściu ś. p. Brodzińskiego, następny list napisał do jednej z zacnych przyjaciółek nieboszczyka, (P. Lewockiej) zawierający ciekawe szczegóły ostatnich chwil jego.

z Drezna.

„Dopełniając przypadku na mnie obowiązku, przebacz Pani, iż ja jako bliską znajomą i przyjaciółkę rodziny Kazimierza z Królówki, za pierwszą powierniczkę smutnej wiadomości obieram. Podobają się Bogu wezwać do siebie po nagrodę w lepszym świecie, sprawiedliwego, cnotliwego człowieka. Zacny Kazimierz skończył ziemskie cierpienia i smutki dnia 10 Października, w Sobotę o godzinie 10 wieczorem, (w rocznicę urodzin swęj córki), a skończył tak spokojną, tak łagodną śmiercią, iż ja, świadek jego skonanio, ze czcią patrząc na niego w tej uroczystej godzinie, żałować go nawet nie śmiałem, i tylko

sobie samemu podobnej kiedyś śmierci życzytem. Kto tak jak on żył i umierał, ten, nie godzi się wątpić, jest już tam od nas szczęśliwszy! Ale czuję aż nadto, że chyba sam Bóg pocieszyć zdoła zacną jego żonę i dziecię. Wiadomość o tém zawsze dla nich równie bolesna, mogłaby stać się jeszcze boleśniejszą, gdyby się jej niespodzianie lub z obojętnych ust dowiedzieć miały. Możesz ich Pani jak najsumienniej zaręczyć, że co tylko sztuka i troskliwość lekarzy i przyjaciół uczynić mogły, wszystko to było użyte, aby go przy życiu utrzymać i stan jego cierpień ostodzić! Ale któż się woli Boskiej sprzeciwi?! Choroba jego wolną była od wszelkich gwałtownych boleści; powolne tylko ubywanie sił życia, postęp jej oznaczało.

Spokojność i łagodność duszy i charakteru, nie odstąpiły go ani na chwilę; z pokorą i zaufaniem oddawał się woli Bożej. O żonie i córce wspominał często i zawsze, z największą czułością, ale gdy mu niektórzy radzili, aby je przyzwał do Drezna, nigdy na to zgodzić się nie chciał. Owszem w wigilję śmierci odebrawszy list od żony, która go sama o to prosiła, polecił mi być

odpisać w jego imieniu, prosząc jak najusilniej, aby tego zamiaru nie przyprowadzono do skutku. Uspokojją więc Pani w tym względzie, ażeby się tą myślą nie dręczyła daremnie. Bytność jej tutaj nicby nie pomogła, a byłaby przeciw woli jego. Ostatnia moja z nim rozmowa była o Paniach K.... (Teresie i Nutalji Kickich) które, jak mi powiadał, żona jego w listach swoich Aniołami swymi nazywała. Z czułością przypominał ich dla siebie życzliwość i przyjaźń, i chociaż tak blizkiej śmierci nie przeczuwał, mówił jednakże. „Gdyby mi tu nawet skończyć przyszło, umierałbym z tém przekonaniem, że byłyby zawsze pociechą i opieką mojej biednej żony i dziecka.” Te są prawie jego własne słowa, ile przypomnieć mogę; przesyłam je jako spuszczoną po prawdziwym ich przyjacielu. W wigilję śmierci, uczuł się weselszym i swobodniejszym niż kiedy. Drzemiąc na pół w nocy, miał bardzo piękne widzenie, o którém sam z wielkiem wzruszeniem powiadał i które mu wielką radość i spokojność przyniosło. Widział przed sobą Zbawiciela w białej szacie, który uśmiechając się łagodnie, rę-

kę ku niemu wyciągnął. — ¹². Widzenie to i list żony, którym mu o troskliwości przyjaciół doniosła, były ostodą ostatnich chwil jego. Z wdzięcznością dziękował Bogu i umarł z zaufaniem, że Bóg i przyjaciele nie opuszczą osieroczonej rodziny i pocieszać ją będą. Pokój duszy sprawiedliwego! Oby tylko pokój i pociechę Bóg wlać raczył w duszę bolejących po nim. Pogrzeb odbył się d. 12 Pazdziernika. Wszyscy znajomi oddali mu ostatnią postugę.

A. E. O.

Wkrótce po odbytych pogrzebie, wznosił się staraniem przyjaciół, wśród Smętarza katolickiego, na przedmieściu drezdeńskim *Friedrichstadt*, nad mogiłą zeszłego, skromny pomnik w kształcie czworogranniej kolumny w koło u spodu granitowemi obłożonej kamieniami, z tym prostym przez A. E. ODYŃCA skręslonym napisem:

Kazimierzowi
BRODZIŃSKIEMU.
ZIOMKOWIE.

Ur. 1791 + 1835 Pazdź. 10.

Tak zakończył dni pełne zasług i poczei-

wie nabytėj sławy, nasz nigdy nie zapomniany Kazimiierz w roku życia swojego czterdziestym czwartym. Był on wzros'u średniego, szczupły, nie wydatny, światły blondyn, oczu jasno niebieskich, twarzy ściągłej, bladėj, na której ani zdrowia, ani szczęścia pomimo jaktęjs rzewnėj i tkliwej łagodności, dostrzedz nie można było. Słowem: jak powiada zacna nasza Autorka *Rozrywek*, „był on z tych ludzi, z których duchem Opatrzność pieściła się więcej, niż z losem, dla których ciało jest zdaje się konieczną, chwilową powłoką, jakby tą suknią prostą, tą siermięgą, w jaką pan możny się odziewa, żeby uszedł wśród gminu.” Usmięch miał dziwnie przyjemny, mało mówił, rzadko wpadał w zapał, od wszelkich dysput się usuwał, hucznych i świetnych towarzystw unikał, nowych znajomości zabięrać nie lubił. Nauki, mianowicie swemu odpowiednie zawodowi, posiadał w wysokim stopniu, znał języki: łaciński, włoski, niemiecki i francuzki, prócz własnego, nad którego gruntowném przeznaniem całe życie pracował. Celniejsze tóż dyalekta języka sławiańskiego mniej więcej były mu znajome. Z obcych poetow najbardziej ulubił Szyllera, z filozofow Kanta, którego zgłębiał i poważał, nie

zaciekając się zbyt w zawile metafizyczne abstrakcje. Zawsze cichy i skromny, przechował do zgonu jednostajną, świętą, rzecby można, mimo wewnętrznej boleści, duszy pogodę, bo też to był prawdziwie bogobojny i głęboko religijny człowiek. Jeżeli miał jaką słabość nie odłączną od przyrodzenia ludzkiego, to chyba tę, iż zbyt łatwo, ufny i dobrowolny, często dobroci swojej, bez niedołęztwa wszakże nadużywać pozwalał. Obyczajów był czystych, żadna namiętność, prócz chyba zbyt, z'ujmą zdrowia, zamiłowania w naukach; nie zmąciła jego prostego, zawsze umiarkowanego życia. Mając wieku lat 34, zawarł roku 1825 w okolicach Warszawy związek małżeński, z którego zostawił córkę Karolinę. Od dawnego czasu a zwłaszcza na lat kilka przed śmiercią, pomimo szczęśliwego w stadle małżeńskim pożycia, pomimo szacunku ziomków, tajemny, coraz większy udręczał go smutek, co może w nim przyspieszyło rozwinięcie się choroby piersiowej. Wszelką przeciwność z anielską prawie znosił cierpliwością, wszelkie urazy i krzywdy, szlachetnie, po Cbrześcijańsku przebaczał. Kiedy począł nowe jeszcze natenczas w kraju objawiać myśli, dla zdziałania po-

trzebnej w Literaturze reformy; oburzyło się i powstało na nią wielu, co z samej natury rzeczy wynikać koniecznie musiało, nie każdemu też podobała się jego sielankowa w pismach prostota, niektórzy nawet z młodzieży sarkali z razu przeciw jego idyllicznym pomysłom, lecz on te niechętnie przeciw sobie napady, nie żwawą energiczną obroną, ale skromnością i umiarkowaniem, a najzwyczajniej siłą opowiadanej prawdy odparł i wprędce wszystkich prawie przeciwników ku swój stronie nakłonił. Za młodu wiele z towarzystwa i głębokiej nauki Jacka Przybylskiego korzystał, nie przejąwszy atoli wcale jego uczonych dziwactw i zepsutego smaku. Później ze wszystkiemi znajomymi sobie literatami, w przyjaznych żył stosunkach, na niektórych radami swými czynnie i pożytecznie wpływał. Tak np. jego to wpływowi i zachętom winniśmy znaną powszechnie powieść historyczną Klementyny z Tańskich HOFMANOWEJ p. t. *Jan Kochanowski w Czarnolesie*, wydaną przed dwoma laty (1842) we dwóch tomach w Lipsku, do której napisania nie tylko ustnych, lecz nawet i na piśmie udzielił uwag swoich. Jakoż wdzięczna autorka przypisała piękny ten swój utwór pamięci BRODZIŃSKIEGO.

Nie będziemy wchodzić w ściśły rozbiór poetycznych utworów i estetycznych pism jego. Znani powszechnie z wielostronnych dzieł swoich Mężowie: M. GRABOVSKI i J. I. KRASZEWSKI, ważną tą dla Literatury przysługą, zając się łaskawie przyrzekli, za co im wcześniej należne tu składamy dzięki; a powiemy tylko ogólnie, że Brodziński, nie będąc nigdy, według nas, wzniosłym, jenjalnym wieszczem, jest atoli zawsze znamienitym, wyższego rzędu poetą. Znaczący porównują go z Janem KOCHANOVSKIM i KARPINSKIM, my w żadne nie wdając się porównania, jakkolwiek je w części potwierdzamy, chcemy w nim widzieć miłego, nader wdzięcznego i ujmującego serca czyste, własnego, słowiańskiego śpiewaka¹, którego ta najwyższa zasługa; iż pierwszy opuściwszy gościńiec obcego naśladownictwa, wszedł z gęślą swoją na kwieciste, ale zamierzchłe w pomroce wieków pole rodzimój poezji naszej, gdzie prostował, torował ścieżki; nim młody wieszcz nowogródzki, szeroką łuną potężnego swego je-njuszu cały obszar pola rozjaśnił, i orszak świętych naśladowców, na swą szczytną drogę wywołał. Co do krytycznych i estetycznych praw BRODZINSKIEGO, ileż to zdrowych, światłych u-

wag, ile gruntownych myśli, dowodzących bystrego krytycznego wzroku i głębokiej nauki, obok tkliwej dobroci i wzorowego, pełnego znacznej powagi umiarkowania! Nie jest to wcale surowy, ostry krytyk, gromiący z wyższego swego stanowiska, lub szczypiący złośliwie użytym dowcipem nieudolności cudze; jest to miły, serdeczny, rozsądnie pobłażający przyjaciel, łagodnie wytykający błędy i właściwszą dobrotliwie ukazujący drogę. Styl jego charakterystyczny, z męską siłą łączy niewypowiedzianie miękkiej i delikatny powab. Skierowanie wzroku rodaków, na prawdziwą krytycyzmu drogę, bo u nas piérwój, prócz światłych uwag kilku Literatów; prawie krytyki nie było; oswojenie z pojęciami estetycznemi, mozolna nad Synonimją i w ogólności nad mową krajową praca, wykrywająca nieprzebrane skarby języka; te są cenniejsze zdaniem naszym zasługi Brodzińskiego, w pismach jego prozą podjęte. Słabszą stroną nazwalibyśmy przekłady tragedji *Templarjuszow* i *Abufara* w poezji, a przekład *Cierpień Wertera* i zarysy biograficzne niektórych sławniejszych mężow w prozie. Nie wiadomo co mu było powodem do tłumaczenia

Rajnouard'a i Ducis'a, obu mało cenionych i podrzędnych w Literaturze francuzkiej pisarzy, chyba sama tylko szlachetność i zacność myśli w ich tragedjach zawarta; spółczucie w czystej Brodzińskiego duszy znaleźć potrafiła. Młodzieńczy utwór Getego, równie jak rękopism z Wyspy ś. Heleny, mógł przełożyć na prośbę spekulującego księgarza, jakoż imienia swego na przekładach tych nie umieścić; krótkie zaś biograficzne zarysy, są zapewne albo artykułami do *Magazynu powszechnego*, albo zlekka rzuconą osnową do mających się z czasem ułożyć pism tego rodzaju obszerniejszych, a których ułożenia, wczesna śmierć autora dokonać nie pozwoliła. Naostatek ogólnym charakterem wszystkich utworów tak poezji jak prozy Brodzińskiego, jest to, że im się więcej w nie wczytamy, tym bardziej w nich nieodzownie zasmakować i zamiłować musimy. Wszystkie albowiem osnute są na tle czarowném niewypowiedzianie miłej prostoty, z którego wieje, że tak powiemy, jakaś tkliwa, ujmująca za serce, przeznacna czystość, pochodząca jedynie z tej przyczyny, że Brodziński będąc przez całe życie głęboko religijnym i cnotliwym człowiekiem,

cechę tego moralnego usposobienia na dziełach swych wypiętnował: bo niech kto mówi, co chce, a zawsze wewnętrzny duch pisarza w utworach jego, jakby we zwierciadle, mniej więcej wyraznie się odbija.

Będąc ciągle czynnym, i bez wytchnienia niemal pracowitym, Brodziński pisał wiele. Przebiegając porządkiem lat szczegóły jego życia, wymieniliśmy dzieła, które był drukiem ogłosił. Reszta zostawała w rękopismie. Oto jest wierny spis wszystkich w ogólności dzieł Brodzińskiego, z własnego jego przepisany Autografu. Młody miłośnik Literatury krajowej, wprzód mieszkaniec Warszawy, dziś Obywatel Powiatu słuckiego, *Lucjan WOJNIEŁOWICZ* przepisał go u P. Lewockiej, i nam przed kilką miesiącami nadesłać raczył.

P o e z j a.

- 1) POEZJE we dwóch tomikach, wydane w Warszawie 1821 r., (gdzie między innemi jest **WIESŁAW**).
- 2) ELEGJE JANA KOCHANOWSKIEGO (przekład, drukowany naprzód w Warszawie obok z oryginałem łacińskim 1830).

- 3) **ГІОБ**, poemat oryginalny (dotąd zostawał w rękopismie).
- 4) Mnóstwo wierszy, śpiewów, piosenek gminnych, poezji ulotnych (drukowanych, już to osobno, już po różnych ówczesnych pismach periodycznych, jako to: w *Pamiętnikach* Bentkowskiego, Lacha Szyrmy, samego Brodzińskiego, w *Meliteli* A. E. Odyńca, *Jutrzence* i t. d.)
- 5) **POEZJE** wierszem miarowym, (drukowane w Warszawie 1817 r. — znamy tylko Część Iszą Brodziński na prośbę Elsnera, niektóre śpiewy swoje wydał tu osobno, zastosowawszy je do miary)

P r o z a.

- 1) **WIADOMOŚĆ** o Wincentym Reklewskim.
- 2) **ROZPRAWA** o Klassyczności i Romantyczności
- 3) **O POETACH** i Literaturze Niemców.
- 4) **O WYCHOWANIU** KOBIEĆ, z powodu *Pamiętki po dobrej matce.*
- 5) **O styczności** nauk pięknych ze ścisłemi.
- 6) **O Literaturze** Sławian.
- 7) **Do Zelisława** o Romantyczności.

- 8) O narodowości.
- 9) O Barbarze tragedji Felińskiego.
- 10) Pisma niektóre z Herdera.
- 11) O dążeniu Literatury polskiej.
- 12) O *Jutrzence* i Noworoczniku Odyńca.
- 13) O powołaniu i obowiązku młodzieży akademickiej.
- 14) O Fauście i Twardowskim.
(wszystkie te pisma były drukowane w *Pamiętnikach warszawskich* z lat różnych).
- 15) O Dziewicy Orleańskiej (drukowane w *Gazecie literackiej*).
- 16) Pochwała Józefa Lipińskiego (wprzód wydrukowana w *Roczniku T. W. P. N.*, a później razem do Pism prozą wydanych wcielona).
- 17) Pochwała F. Karpińskiego (wprzód wydrukowana na czele stereotypowego wydania warszawskiego in 4to, później do Pism powyższych przyłączona).
- 18) Pisma różne (prozą.) — (Wyszedł ich tylko tom I-zy — jest to zebranie kilku pism wprzód drukowanych, z dodaniem nowych).
- 19) Różne drobne pisma estetyczne (rozproszone po rozmaitych czasowych periodycznych pismach).
- 20) Synonimy (dotąd zostawały w rękopiśmie)

równie jak kilka o języku i pisowni rozprawy).

21) **DZIEJE STAREGO I NOWEGO TESTAMENTU**, (przekład według wydania T. Deroma we 2ch tomach. (wydrukowany po śmierci autora w Warszawie u Glücksberga 1841, i 120 ozdobiony rycinami).

22) **KURS PRZEŁECZKI UNIWERSYTECKICH** (we dwóch sporych, jakieśmy słyszeli, in 4to w rękopiśmie tomach, nigdzie się już dzisiaj odszukać nie dający).

23, Dodajemy tu jeszcze przekłady *Cierpień Wetera* i rękopisu z wyspy ś. Heleny, nie wzmienione w autografie, tudzież kilka ważnych rozpraw, dotąd nigdzie nie drukowanych w kraju.

Pisma dramatyczne

WIERSZEM I PROZĄ.

1) **TEMPLARUSZE**, tragedia Rajnouard'a, przekład wierszem (drukowany osobno w Warszawie 1819 r. z dwiema rycinami).

2) **ABUFAR** tragedia Ducis'a, przekład wierszem

(drukowany w wyżej wspomnianym Zbiorze Poezji we dwóch tomikach).

- 3) **WŁOSZKA W ALGIERZE**, z włoskiego Opera, muzyka Rossiniego (w rękopismie wierszem).
- 4) **WOLNY MULARZ** Komedja Kotzebue, (przekład prozą, w rękopiśmie).
- 5) **SZCZĘŚLIWE OSZUKANIE**, Komedyjka. (nie wiadomo czy oryginalna, czy tłumaczona, czy wierszem napisana, czy prozą. Były prócz tego umieszczone w *Pamiętniku warszawskim* niektóre sceny z Tragedji Szyllera: *Marja Stuart*, przekładu Brodzińskiego, wszakże całej tej pięknej Tragedji podobno nie przetłumaczył.)

Na tém przedstawieniu wszystkich prac Brodzińskiego, kończymy naostatek naszą wzmiankę. Wiemy sami, ile jej jeszcze nie dostaje. Możemy nawet jaką główną cechę pism jego, jaką celniejszą charakterystykę duszy jego mimowolnie opuścili. Czyniliśmy cośmy mogli. Zdała będącym od miejsca urodzenia i pobytu niegdys Brodzińskiego, piszącym w lat dziewięć po jego śmierci, kiedy przyjaciele i uczniowie tego zacnego męża, rozproszyli się po świecie, a nie jeden z nich nawet zasnął z nim

razem w grobie; trudno nam było z małych pozostałych śladów, utworzyć porządniejszą biograficzną całość, tym bardziej, że pomimo najgorliwszych poszukiwań, nie znaleźliśmy żadnych ważniejszych, stanowczych dla siebie pomocy. Winniśmy atoli oświadczyć tu naszą wdzięczność za okazane w tej pracy spólczucie, trzem znanym chlubnie w Literaturze krajowej Osobom. Wspomnianemu wyżej poecie, który nas świeżo prześlicznym obdarzył przekładem, *Dziwicy Orleańskiej* Szyllera; *A. E. ODYŃCOWI*, oraz uczonym Mężom: *Michałowi* BALIŃSKIEMU, i *Mikołajowi* MALINOWSKIEMU. Pierwszy w ustnych o Brodzińskim rozmowach ciekawe nam i zajmujące szczegóły opowiedział, drugi w korespondencji swój z Warszawy, jakie znalazł, materiały nadesłał, trzeci nareszcie całą tę pracę przejrzawszy, wiele nam światłych uwag swoich udzielił.

Nim więc biegle, mistrzowskie jakie pióro, może i tém naszym pisemkiem, co dałby Bóg! obudzone; skręśli nakoniec dokładny i w każdym względzie zaspokajający obraz żywota i zasług ś. p. Kazimierza Brodzińskiego;

niechaj tym czasem, ten nasz prosty wianek, z rozproszonych tu i ówdzie wspomnień uwity, miejsce jego jakożkolwiek zastąpi. Wszak Brodziński za życia, najbardziej ulubił sobie skromność, śmiemy stąd przeto wnosić, że i ta skromna, choć małej wartości wzmianka nasza, nie będzie może drogiej nam jego pamięci ubliżeniem.

Pisałem w Wilnie Dnia 1. Kwietnia 1844 roku.

Dominik Cezary СНОДЗКО.

1803

Alcibiades ten czasem, ten nasz przyjaciel
i rozpraszacz w łowach wspaniałym
kochał tego jaskółczyka. Wszakże
dziś jest w tym niebezpiecznym dlań sobie
niebezpiecznym, a dla przeto widać, że i to
niebezpiecznym, a dla przeto widać, że i to
niebezpiecznym, a dla przeto widać, że i to
niebezpiecznym, a dla przeto widać, że i to

Wydrukowane w Warszawie w drukarni
Krajowej, w roku 1803.

PRZYPISY.



I

a.) Wyborny artykulik p. t. *O Kazimierz* z *Królówki*, jednej z naszych miłych, a co większa rzetelnie pożytecznych Auterek, (Katarzyny z Lipińskich Lewockiej) która pierwsza między rodakami uczciła pamięć Brodzińskiego; umieszczony w N. 45. *Pismniennictwa krajowego* z 1840 roku.— b.) Tenże artykuł p. t. *Wspomnienie o Kazimierz* *Brodzińskim*, z odmianami, na które się autorka jego sprawiedliwie uskarżała, wydrukowany przed czterema wprzód laty w *Przyjacielu Ludu*; (Rok trzeci 1836, Tom 1. N. 18 str. 141-144.) z dołączonym portretem Brodzińskiego.— c.) *Kilka stów dodatkowych* do powyższego artykułu, napisanych przez Ambrożego Grabowskiego, umieszczonych w témże piśmie i w tymże tomie. (str. 175).— d.) Tamże artykuł p. t. *O Kazimierz* *Brodzińskim i jego pismach stów kilka* z pod-

pisem S. we trzech numerach zawarty (46, 47 48, str. 367-380), z wizerunkiem nagrobku Brodzińskiego w Dreznie. — e.) Krótka Biografijka Brodzińskiego, z której jednak najwięcej korzystać mogliśmy pod względem szczegółów jego życia; napisana przez A. E. Odyńca i umieszczona w wydawanej przez niego *Encyklopedji powszechnej* (Tom III, str. 617-618). — d.) Gruntowne, z głębszym ułożone pomysłem, pisemko znakomitej dziś autorki, Eleonory z Gagatkiewiczów Ziemięckiej, p. t. *Poezja i Kazimierz z Królówki*, umieszczone w *Piérwiosnku*, Noworoczniku wydawanym przez Paulinę Kraków a z pism samych Dam złożonym, (Rok 1841 str. 139-178.) oto są wszystkie niemal źródła z których nam czerpać się udało. W rękopismach nabytych przez T. Glücksberga od Familji ś. p. Brodzińskiego, nie tyczącego się jego Biografji nie było, prócz kilku kartek dzienniczka wojskowego, z którego niżej przytoczą się tu wyjątki. Miała być przytém metryka Brodzińskiego, i patent na otrzymany przez niego stopień naukowy, lecz te gdzieś później zatracone zostały. Na zgłaszanie się nasze do niektórych uczonych warszawskich, żadnej zaspakajającej nie otrzymaliśmy odpowiedzi. Wreszcie znikąd w przedsięwzięciu naszym nie zyskaliśmy pomocy, prócz od kilku osob, którym wyżej należne oświadczyliśmy dzięk.

2.

Wyjątek ten w zupełności wypisaliśmy z artykułu P. Lewockiej. Wspomniane pisemko, ułożył ś. p. Brodziński na dwa lata przed swoją

śmiercią, i doprowadził aż do roku 1830, a odjeżdżając w r. 1835 do Drezna, skąd już do kraju nie wrócił; sam starannie wszystkie związał arkusze, i własnoręcznie na wierzchu wielkiemi napisał literami: *To zostawiam mojej córce Karolinie*. Całości tych szacownych *Wspomnień* nigdzieśmy dostać nie mogli. Oby posiadający je obecnie, raczyli ogłosić drukiem lub osobno, lub w jakimkolwiek z pism tegoczesnych zbiorowych. Byłaby to nieoceniona niczém dla Literatury naszej przysługa.

3.

Andrzej Brodziński, brat Kazimiérza, starszy od niego pięcią laty, urodzony w r. 1786 a poległy w bitwie nad Berezyną 1812 r. prócz przekładu wierszem Tomasza a Kempis *o naśladowaniu Chrystusa Pana* i Tragedji oryginalnej *Ludgarda*, będących w rękopismie; przełożył tragedję Szyllera: *Dziewica Orleańska*. Długo ona, pomimo starań Kazimiérza, nie mogła być przedstawioną na teatrze publicznym, jedynie z tego powodu, że była przeciwną gustowi i prawidłom francuzkim. Nakoniec 1820 r. Ludwik Osiński poczynił w niej odmiany swoje, i pierwszy raz ją odegrano na teatrze warszawskim w Grudniu tegoż roku. W rok zaś Kazimiérz chcąc utrwalić pamięć drogiego sobie brata, przekład ten, bez żadnych już odmian, tak jak był przez niego dokonany; wydał na jaw w Warszawie, p. t. *Dziewica Orleańska, tragedia romantyczna z Szyllera, polskim wierszem przełożona przez Andrzeja Bro-*

dzińskiego, wystawiona pierwszy raz na teatrze narodowym w miesiącu Grudniu 1820, z dodaniem różnych poezji tłumacza. (Warszawa nakładem i drukarni Zawadzkiego i Węckiego 1821. in 8.) W przemowie swojej wydawca Kazimiérz, wzmiankuje o bracie, i o pobudkach, jakie skłoniły go do przełożenia wspomnionój Tragedji, tak zaś tkliwie na końcu przemawia: „Kochany cieniu! nie będę tu wynurzał publicznie moich uczuć dla ciebie. Skromne i czyste było twe życie, równie jak prosta Muza twoja, pamięć o tobie pozostanie tylko w sercach tych, którzy cię znali, ja prócz miłości braterskiej dochowuję ci wdzięczność, za przewodnictwo i wzory twe dla mnie w zawodzie życia i naukę; pamiętny na nie, niemi się pocieszać, niemi naśladować cię pragnę; aż do połączenia się z tobą”

Te wyrazy dostatecznie przekonywają, ile był winien pierwsze swe ukształcenie nasz Kazimiérz bratu swojemu Andrzejowi. Przy tragedji dołączono: dwadzieścia i jedna poezji oryginalnych a dwie przełożone z Klopsztoka i Klejsta. Wszystkich rodzaj sielankowy lub erotyczny: wszędzie przebija się w nich mały wprawdzie, lecz nader miły i czułość serca poety malujący talent.

Cośmy powiedzieli wyżej względem sposobu pojmowania poezji przez Andrzeja Brodzińskiego, że on jeszcze albo istotnego jój ducha nie rozumiał, albo z form powszechnie wtedy panujących otrząsnąć się nie śmiał; dosyć jest dla dowodu odczytać uważnie przekład jój *Dziewicy Orleańskiej*. Szyller, chociaż Filozof i protestant kresląc obraz Dziewicy, wszędzie ją wyobraża taką, jaką była w istocie, to jest: cudownie natchnioną, idącą

wprost za głosem Boga, słuchającą ślepo woli wyższego, działającego w niej ducha. Andrzej Brodziński jakby wstydząc się religijności swojego wzoru, wszędzie to w przekładzie zamienia na jakieś mdłe, blade, bez barwy i znaczenia deistyczne sentencje, a najpiękniejsze miejsca religijno-poetyczne całkiem prawie odrzuca, mając je zapewne za ślady gustu niemieckiego; w przemowie bowiem swojej odzywając się nieraz, iż starał się w tłumaczeniu usunąć miejsca oryginału przeciwne prawidłom i gustowi; naostatek powiada: „nie spodziewam się, aby wiele, co do gustu, śladów niemczyzny w pracy mojej odkrytych było” Dla oczewistszego przeświadczenia się, weźmy niektóre miejsca tragedji przekładu Andrzeja Brodzińskiego i porównajmy je z oryginałem, oraz ze świeżo wyszłym przekładem A. E. Odyńca.

I tak: w Prologu scenie IV gdzie dziewica stojąc w pobliżu starego, wysokiego dębu, przy którym modlić się gorliwie zwykła i tkliwie żegnając rodzinne pola, wzgórza, łąki i trzodę swoją; z uniesieniem mówi:

*Denn der zu Mosen auf des Horebs Höhen,
Im feur'gen Busch sich flammend niederliess
Und ihm befahl, vor Pharao zu stehen,
Der einst den frommen Knaben Isaï's,
Den Hirten, sich zum Streiter ausersehen,
Der stets den Hirten gnädig sich bewies.
Er sprach zu mir aus dieses Baumes Zweigen:
„Geh hin! Du sollst auf Erden für mich zeugen.“*

Co A. E. Odyniec przełożył:

*Bo Ten, co niegdyś ogniem na Horebie.
W duszę Mojżesza swoją wolę tchnął,
I Izajasza pacholę, do siebie
Wzniósł, i z przyszłości chmurę przed nim zdjął;
On, Wszchemogący na ziemi i Niebie.
On mnie pasterkę za swą stugę wziął;
I z drzewa tego tchem wiatru rzekł do mnie:
„Idź, i na ziemi daj świadectwo o mnie —*

Andrzej Brodziński w tym tylko zamknął czworowierszu:

*Tak wielkie z góry na mnie padło powołanie,
Nie moje własne, wyższe w tém byto staranie.
Styszałam z górnych Niebios te wszchemładne słowa;
„Pójdiesz na pole zwycięztw, do walki gotowa.”*

W Akcie II. Scenie 7-jej Dziewica spotyka się z ryeerzem angielskim Montgomerrym, który przerażony jej cudownością, nie chce z nią walczyć, i sądząc że zmiękczyć łatwo serce dziewicze, błaga litości; wtedy między innemi, Dziewica mówi te słowa:

*Doch tödtlich ist's der Jungfrau zu begegnen,
Denn dem Geisterreich, dem strengen, unver-
letzlichen,
Verpflichtet mich der furchtbar bindende Vertrag,
Mit dem Schwert zu tödten alles Lebende, das mir
Der Schlachten Gott verhängnissvoll entgegen
schickt.*

*Kto miecz dziewiczy ujrzał
Ten zginąć musi.—Próżna twa otucha!
Jam nie jest z tego świata;—wyższa wola ducha
Rządzi mną nieugięta: nie może ujść żywy,
Kogo mi raz w moc poda wojny Bóg straszliwy.*

przekład A. E. Odyńca.

To A. Brodziński całkiem opuścił.

W Akcie III scenie 4-tej Król w obec Arcybiskupa z Reims, i wielu znakomitszych dworzan, oświadcza Joannie, że pragnie ją wynagrodzić, uszlachea z całym rodem, sam chce jęj wybrać męża Syn Xięcia Orleanu Dunois i inni znakomici rycerze ubiegają się o jęj rękę, Arcybiskup nakłania ją do przyjęcia ślubów małżeńskich, na to wszystko Joanna odpowiada; zwracając mowę do Króla:

*Dauphin! Bist du der göttlichen Erscheinung
Schon müde, dass du ihr Gefäss zerstören,
Die reine Jungfrau, die dir Gott gesendet,
Herab willst zieh'n in den gemeinen Staub?
Ihr blinden Herzen! Ihr Kleingläubigen!
Des Himmels Herrlichkeit umleuchtet euch,
Vor eurem Aug'enthüllt er seine Wunder,
Und ihr erblickt in mir nichts als ein Weib.
Darf sich ein Weib mit kriegerischem Erz
Umgeben, in die Männerschlacht sich mischen?
Weh mir, wenn ich das Rachs Schwert meines Gottes
In Händen führte, und im eiteln Herzen
Die Neigung trüge zu dem ird'schen Mann!
Mir wäre besser, ich wär nie geboren!*

*Kein solches Wort mehr, sag' ich euch, wenn ihr
Den Geist in mir nicht zürnend wollt entrüsten!
Der Männer Auge schon, das mich begehrt,
Ist mir ein Grauen und Entheiligung.*

*Delfinie! także sył już Bożej taski,
Ze chcesz w proch ziemski rzucić jej narzędzie?
Także cię rażą wyższych światów blaski,
Ze ziemię tylko mieć umiesz na względzie?
O! ślepe serca! ludzie matęj wiary!
Niebo przed wami dziata na odkryte;
Cuda po cudach świadczą jego dary,
A wy w tém tylko widzicie — Kobiętę!
Gdzież jest Kobieta, gdzie jest ziemska sita;
Aby uczynić, co Pan przez mię czyni?
Biadaż mi, biada! gdybym się ważyła
Myślić o sobie — i cudu sprawczyni,
Ziemskim rozumem mierzyć moje życie!
Biada wam wszystkim, którzy mię kusicie!
Lecz Pan jest ze mną!*

Przekład A. E. Odyńca

*O biada mi! jeżeli w świetnym majestacie,
Za pospolitą tylko niewiastę mię macie,
O biada mi, powtarzam, lepiejby się stało
By nigdy oko moje świata nie widziało.
Jesli wtenczas, gdy w mojem ręku ten miecz noszę
Uczuciem mojem ziemskie wtadają rozkosze
Skóńczcie więc —*

Przekład A. Brodzińskiego.

W Akcie V scenie 4-tej Joanna pierwszy raz objawia narzeczonemu niegdyś swemu pasterczowi

Rajmundowi tajemnice swojego cudownego powołania, pierwszy raz wspomina przed nim, o pobudzającym ją do wyższych przedsięwzięć duchu. To wszystko prawie A. Brodziński lub przeistacza lub całkowicie opuszcza. Unikając zbyt znacznej rozwlekłości, nie przytaczamy już z tej sceny wyjątków, których znalazłoby się prócz tego wiele i przedstawiamy na jednym jeszcze tylko przykładzie. W tymże Akcie, scenie ostatniej; Joanna konająca, zachwycona widzeniem, wśród otaczających ją osób, woła w uniesieniu:

*Seht ihr den Regenbogen in der Luft?
Der Himmel öffnet seine goldnen Thore,
Im Chor der Engel steht sie glänzend da,
Sie hält den ew'gen Sohn an ihrer Brust,
Die Arme streckt sie liebend mir entgegen.
Wie wird mir? Leichte Wolken heben mich.—
Der schwere Panzer wird zum Flügelkleide.
Hinauf—hinauf—die Erde flieht zurück—
Kurz ist der Schmerz, und ewig ist die Freude.*

Całe Niebo pała
Blaskiem swęj chwały! Widzicie, widzicie!
Tę jasną tęczę na Niebios błękicie?
To droga moja!— tam widzę— to Ona!
Z Synem na rękę, wśród Aniołów grona
Zstępuje ku mnie!— O! Nicogarniona!
O! Pani moja!— O! jakąż roskoszą
Pierś moja pełna!— Chmury mię unoszą—
Jasność mię od niej otacza słoneczna!—
Krótka jest boleść, ale radość wieczna.

Przekład, A. E. Odyńca.

A. Brodziński, opuściwszy cały uroczy obraz Bogarodzicy, tak tłumaczy:

Widzicie, widzicie!

Tę różnobarwą wstęgę na Niebios błękitcie!
Słyszę, . . . widzę wieczności otwarte podwoje,
Dopełnioném zostało przeznaczenie moje. —
Coż mi jest? Obłok w górne niesie mię przestrzenia,
Ciężki mój pancerz w lekkie skrzydło się zamienia.
W górę, w górę! już znika krąg świata daleki
Z mych oczu— Krótka boleść, radość trwa na wieki!

Z tych kilku przytoczeń, łatwo każdy pozna umysłne przeistaczanie lub usuwanie piękniejszych religijno-poetycznych miejsc Szyllera w przekładzie A. Brodzińskiego, a jednak wiersz gładki, wierność w innych miejscach ścisła, i łatwość wyśłowienia; wykazują zdolność tłumacza. Tak to duch zeszłego wieku i surowość ówczesna rymotwórczych prawideł, krępowały i skierowywały mniej szczęśliwie celniejsze nawet poetyczne talenta.

4.

Gdy młody Brodziński zaciągnął się do wojska, był bardzo wątłej budowy ciała i słabego zdrowia. Naczelnicy to widząc i nie chcąc z tego powodu umieścić go w szeregach bojowych; poruczyli mu naprzód dozór przy ważeniu mięsa dla żołnierzy. Przykry to był zaiste s lachetnemu młodzianowi obowiązek, lecz skromny i cierpliwy, wypełniał z uległością włożoną na siebie powinność, pocieszając się tą myślą, że w każdym stanowisku,

choćby mniej dla zdolności swoich właściwém, można bydź pożytecznym ogółowi. Ta powolność ujęła dłań Zwierzchników serca, i wkrótce przeniesiony został do służby czynnej. W chwilach swobodnych, zwłaszcza stojąc kwatérą czas niejaki w Modlinie, zajmował się naukami i ulubioną sobie poezją, jakkolwiek się uskarżał, że Mars ustawnie płoszy Muzę. W jednym z listów pisanych wtedy do Przyjaciela, (Ambrożego Grabowskiego,) tak się odzywa:

Tu.....

W Świątyni Marsa srogiego.
 Kędy na około wały,
 A w bramie żołdak zuchwały
Kto idzie! wciąż pokrzykiwa:
 Z kwiatami Muza pierzchliwa
 Chociaż wołam, przyjsć się boi,
 Bo szczęk słyszy Marsa zbroi.
 Choćby przyszła: spiże, działa,
 I miecze, gdyby ujrzała;
 Uciekłaby.....

5.

Wiadomość o życiu i pismach W. Reklewskiego, którą dla uczczenia pamięci przyjaciela skreślił sam Brodziński, znajdują czytelnicy w tomie VI. (str. 105.) dzieł jego, wydanych przez Typografa Glücksberga w Wilnie.

6.

W pozostałych rękopismach, znaleźliśmy śla-

dy wspomnionego Dzienniczka, to jest: kilka kartek, które naprędce przepisał P. Holly, brat żony ś. p. Brodzińskiego, zmarłej już także przed kilką laty. Żeby nic nie stracić z pism tak znakomitego męża; umieszczamy tu cenniejsze wyjątki; wraz z dopiskami, które umieścił P. Holly:— Tytuł, tych kartek następny: *Urywki z dziennika wojkowego Kazimierza Brodzińskiego w r. 1813 przez niego samego pisanego. Miał lat wtedy 22.* Dzienniczek zaczyna się od końca miesiąca Kwietnia.

Dnia 29 Kwietnia oboz pod Krakowem.

„Ruszyliśmy z Krakowa do obozu pod Pro-
mnik: radość na wszystkich twarzach jaśniała, bo szliśmy w nadziei walczenia. Ku wieczorowi gdy ogniska zarzyć się poczęły, wyszli niemal wszyscy mieszkańcy z Krakowa. Pożegnania, noszenie nam posiłków do obozu, czyniły nam przechadzki z nie-
mi prawdziwie rozrzewniające, dęszcz przez całą noc moczył nas do nitki.

Dnia 30 Kwietnia. Skotniki.

„Na godzinę 11. dostaliśmy rozkaz wymarszu, nikt nie był pewny gdzie? Wojsko austryackie nadchodziło, zajmując stanowisko obozu naszego. Ruszyliśmy przez miasto na Podgórze, przechodu tego nikt nie był nie rozrzewnionym świadkiem. Przyjaciele i krewni wychodzili przed domy ze łzami w oczach, podawali dłonie wychodzącym. Po tylu trudach i wytrwaniu, ktożby nie był smutny, opuszczać ostatni szczątek ziemi, i iść pomiędzy

obcych! Scena prawdziwie wielka i rzadka! Z Podgórzea podzieliliśmy się na różne drogi. Brygada druga, w której jestem Artylerzystą, udała się do Skotnik. Rozdzieliłem się prócz pozostałych w Krakowie przyjaciół, z kilkoma dobrymi kolegami. Z półkownikiem W. stanęliśmy w małej izdebce wieśniaka. Zeszliśmy się wieczorem z całej brygady Officerowie, na środek wsi, i późno w noc zabawiliśmy się nad różnemi uwagami o przyszłym losie naszym. Jenerał G. bardzo mi się podobał: nagradza on słabe siły fizyczne rozsądkiem i wiadomościami, powagę swoją grzeczną oswaja, a wiek podeszły wesółością w posiedzeniu odżywia.

1. Maja. Tamże.

Dzień najpiękniejszy! Przechadzka dzisiejsza pamiętną mi będzie. Natura wdziąca dzisiaj najuroczystszą szatę, a my w tak żalobnej chodzimy! Wszystko rozkwita: widzę przed sobą już nie nasz Kraków, za sobą już wsi zagraniczne!...

Okolice Skotnik są w pięknym położeniu, leży wieś na płaskiej górze, którą dolina w koło jak woda opasała. Kraków rozciąga się przed oczyma, gęsta mgła tylko, jakby całun żalobny, unosi się nad nim, w około widać góry. Bielany ze Śtą. Bronisławą walczą tak, jak ponurość z przyjemnością: na lewo od Bielán ciągnie się płaszczyna, przez którą Wisła kryjąc się między małe wzgórze i krzemieniste skały, jakby błakająca się, kręto pod Wawel ucieka. Okazała góra Landskorony czerni się zdała przy wzniosłych Karpatach. Dano znać że most na Podgórzeu przygotowany do spalania. Korpus austriacki przechodzi Wisłę.

2. Maja. Tamże.

Było dziś kilku przyjaciół z Krakowa odwiedzić nas, przy żegnaniu się powiedzieliśmy sobie: *Kilka iskier na most, a kto wie, kiedy się obaczymy!* Wieczorku majowy nad Wisłą! winienem ci kilka słodkich godzin. Tyniec zawieszony na skale nad Wisłą, mieści teraz nieszczęśliwych rannych, pamiętne tu złe i dobre czasy, ale nigdy tak smutne. Nocne stráže roznieciły ogniska, dymy kłębam się wznoszące, brudzą lazuruwe sklepienie. Grób Krakusa unosi się nad Krakowem, między obozowemi ogniskami.

3. Maja. Tamże.

Miło z brzegu w Ocean patrzeć rozhukany,
 Jak okrętem miotają gniewliwe bałwany,
 Nie, by nam słodkie były przykre innych losy,
 Lecz znośniej widzieć obce, nieznanie nam ciosy.

O! jak te słowa lubię często powtarzać z tobą Lukrecy! ciebie szczęście, mnie nieszczęście nauczyło tej prawdy.

4. Maja. Tamże.

Wojska austriackie zajęły prawy brzeg Wisły, promyk dla nas nadziei, przechodzą i Wisłę, zajmują Kraków, odbierają wszystkie poczty, a my jeszcze dalej, pomimo nadziei walki, posunąć się musimy. Oficerom naszym zakazano być w Krakowie.

Płk. M. jest mąż prawdziwie dojrzały, z wielkim rozsądkiem, tkliwy w uczuciach i stały

w przedsięwzięciu, ile rozsądku, tyle charakteru dobrego posiadający: z nim w tkliwych rozmowach przepędziłem kilka godzin drogich, bo jeszcze między swoimi. Szacunku, jaki mam dla tego człowieka, wyrazić nie jestem w stanie.

5. Maja. Tamże.

Odwiedzała nas w naszej stodołce Pani D. z córką. Przy pożegnaniu nie obeszło się bez łez. Kilka czułych biletów odebrałem z pożegnaniem.

6. Maja Tamże,

Jutro wychodzi pierwsza kolumna za granicę, według otrzymanego rozkazu Xięcia. Rozkaz ten jako pogoda po burzy, uspokoił nieco skołatane serca nasze.

7. Maja. w Siennicy.

Rozkazano, aby w godzinę gotowym być do marszu. Smutno mi się zrobiło. Uchwyciłem chwilkę czasu, aby wybiegnąć na ustronie, i kilka łez uрониłem, których nie wstydzilem się przed Niebem: od Nieba szczęście i niedola! jemu się więc oddałem, prosiłem o opiekę, przywiodłem na myśl moje nieszczęścia, a że na nie nie szemrałem, byłem w nadziei jakiegokolwiek kiedyś za nie nagrody. Nieszczęść do dziś dnia w przeciągu roku dosyć zniósłem. Oto w nim dla mnie smutne zdarzone straty: K... młodzieniec pełen, jak Maj, nadziei, którego ja sam wywiodłem

na pole boju; zginął mi przy Możajsku, kto go tylko znał, kochał tak jak ja, a wszyscy czynili mi o niego wyrzuty, O! smutne zakończenie przyjaźni! Cieniu drogi! gdybym wiedział że ci nagrodzę życie i stratę twą przyjaciołom, gotowbym znieść większe jeszcze cierpienia nad pamięć o stracie twojej!— R. (Reklewski) dla którego zaciągnąłem się do jednej brygady, pod którego rozkazami, przyjaźnią i dobrodziejstwem żyłem: wielka nadzieja Rycerstwu, naukom i Muzom znikł i wszystko z nim znikło! Po chwalebnej u Smoleńska czynności, zachorował: woziliśmy go w tak przykrych marszach ze Smoleńska aż milę do Rożestwa, (koło Kaługi) ztamtąd w ostatnich słabościach pożegnałem go jadącego do szpitala do Moskwy, gdzie ledwo dojechawszy opuścił nas wszystkich! Strata jego prócz wiecznego żalu, miała wpływ na dalszy los mój szczęśliwszy. Dowodzca mój, Polux poprzedzającego, który losem moim starał się kierować, pożegnał nas na polu bitwy z urwaną nogą po biodro. Mój S. mój P. w niewoli. Tylu zabitych i wziętych innych! Brat mój nakoniec Jędrzej, który mi zazdrościł, że nie dzielił walk przy Smoleńsku, Możajsku, i. t. d. ho został Adjutantem placu w Szklowie, gdyśmy się cofali, złączył się z półkiem, szedł z nami dni trzy, wśród bitwy nad Berezyną dano mi znać, że jest ranny: szukam go między trupami, znajduję już obnażonego i w samo czoło karabinową ugodzonego kulą. Straciłem w nim, co miałem najdroższego na ziemi! tylko już to mnie pozostało, że mogę sobie powiedzieć, iż nic już nie mam do stracenia.— Krewny mój R. którego także do wojska zaciągnąłem, pozostał mi chory

przed Berezyną, i ja który, byłem przyczyną jego straty, musiałem sam tę smutną wieść Rodzicom oznajmić. Boże! czyliż czekają mię jeszcze podobne chwile! Wierny ordynans, który mię we wszelkich nieszczęściach wojny pocieszał, z koniami i rzeczami pojmany i zabity. Słabością, smutkiem i nędzą obciążony, szedłem sam jeden, (kompanja moja już zupełnie była rozbita) przez Kowno za Niemen, bo idąc nocą minąłem przy Wilnie nasz już nie znaczny korpus, który potem udał się w lewo, dwie już mile uszedłszy dopiero dowiedziałem się o tém, kiedy do téj drogi już wrócić nie można było. Za Niemnem dopiero spotkałem podoficera znajomego, który mnie nakarmił i pieniędzmi nieco zasilił, wziął na sanki, jakie z parą koni zdobył. Pocieszony nieco spieszyłem ku Warszawie. Ścigani od kozaków ku Marjanpolu musieliśmy się udać przez Prussy, gdzie na pierwszym noclegu okradziono nas ze wszystkiego, z koni nawet i sanek. Pieszko zatem znowu i żywieni litością szliśmy dalej. Pocziwy obywatel w Prusach zapomógł mi tyle, że przecię mogłem się dostać do Warszawy. Nieszczęsne wojny! Kiedyż mu będę w stanie za to odwdzięczyć. Wytchnąwszy i przyodziawszy się nieco w Warszawie, musieliśmy wkrótce z niej ustąpić. Dobry M. przywoził mi na swój bryczce do Krakowa. Tam przysłał mi opiekun uwiadomienie, iż nic się z Galicji majątku spodziewać nie mam. Nie strata szczupłego majątku, ale stan potrzeb moich prawdziwie mię zasmucił. Stryj mój przysłał mi cessionę na sumkę leżącą w depozycie krakowskim, ale dniem późniejszą; gdy depozyt został wywieziony. Iść bez opóźnienia i konia w marsz, opuścić kraj w takim

stanie, cel wędrówki tak ciemny, tyle wszystkiego! nie podobna, aby nie zasmuciło. Otoż taka to od początku roku była moja przeszłość.

Przyszliśmy do obozu pod wioskę Siedziny, stanęły działa na pięknej łące przy młynie.

8. Maja. Kalwarja.

O 4-tój zrana ruszyliśmy w marsz ku Mogilanom (1½ mili) gdzie natenczas była Komora graniczna Austrii, jeszcze widać szczyty Krakowa. Magilany leżą u podnoża wysokich gór.

Próżno się za swojemi stokrotnie ozierać,
Przedłużać pożegnanie i żale wywierać,
Trzeba iść i opuścić ukochaną ziemię,
Unieść męczarnie smutków i niedoli brzemień.

Przed samą granicą odbyła kolumna nasza rewję, po której defilowały pułki przez rogatki. Austriacy po obu bokach gościńca pozastawiali plutony jazdy i piechoty z muzyką. Generał komenderujący wystąpił z Oficerami przeciw nam, muzyka ta i parada dodawały nam rozrzewnienia. Stanęliśmy na nocleg w Kalwarji. Klasztor w rozkosznym położeniu, ma być ze wszystkiemi podobny do miejsc cierpienia Chrystusa. Zebractwo po drodze wszędzie się przykrzy. Ku wieczorowi poszliśmy do Klasztoru, xięża przyjęli nas grzecznie, prosiliśmy o oprowadzenie nas po ciekawych miejscach w Kościele, nic godnego uwagi. Kaplic i małych Kościołków po wzgórzach rozrzuconych mnóstwo, domki Heroda, Kajfasza i. t. p. zupełnie według wymiaru jak na Ziemi świętej,

stawiane. W jednym Kościółku godne widzenia cztery obrazy Bernardyna Franciszka Lexyckiego, które mimo kurzu, jaki kilka razy do roku pospólstwo czołgające się na kolanach, na te obrazy wznosi, nic żywości nie utraciły. O Zamku Lanskoro-ny, nie mogliśmy się nic od księży dowiedzieć. Imię tylko fundatora, (Zebrzydowski) i dzień jego urodzenia dokładnie wiedzą. Zapytaliśmy o bibliotekę i namieniliśmy, że muszą być w niej potrzebne w tym względzie wiadomości. *Musi tam być coś o tém, odpowiedzieli, bo mamy różne książki in folio i oktawo.*

9. Maja. w Choczni.

Nocowaliśmy ćwierć mili za Wodowicami, w chałupce u Kościółka, w cieniu rozległych drzewin Smętarza nad rokosznym strumieniem. Z W... wyszliśmy wieczorem na przechadzkę po deszczuku majowym, na piękną łąkę.

10. Maja w Kętach.

Był to ciepły po deszczu poranek, kiedy kolumna zebrała się do Kobierzyc i udała się w drogę. Gościniec bity prowadzi około pasma gór Karpat do Kęt, wodząc oko po najpyszniejszych widokach. Staaliśmy na nocleg w mieście, prosto- ta górali i Szlązaków, którzy się zeszli na jarmark, przejmowała nas weselem. Prawie całe popołudnie strawiliśmy z niemi najmiléj. Stałem na końcu miasta już przy samych górach. Siedzieliśmy przed domkiem, koło którego do gór swoich wra-

cali górale, każdy prawie podchmielony. Najmiliej nam było zaczepiać tych dobrych chłopków, i rozmawiać z niemi. Ich otwartość, ich wynurzanie się z miłością ku nam, jak było ujmujące, wyrazić nie łatwo. Nie mają oni tej dzikości, którą ludzie prości, nawet koło naszych wielkich miast, okazują. Zasiadłszy z nami ławki, rozmawiali jak ze swymi sąsiady. Mojego W. zobaczyłem idącego w gronie tychże górali i góralek: zawołał tylko zdala do mnie, że jest najszczęśliwszy! i daleko ich odprowadził. Wieczorem zabawiliśmy się z kilkoma Obywatelami, którzy się ze wsi po-zjeżdżali dla zabawienia z nami. Wśród tkliwych, serdecznych wynurzeń, rozeszliśmy się po północy. W dzisiejszym marszu szliśmy sobie z W. razem naprzód piechotą. Wstąpiliśmy do xiędza, który nas uprzejmie przyjął. Ostatni to raz już prawie bawimy z rodakami. Po wyjściu z tamtąd, spotkaliśmy pocztę bardzo spiesźnie jadącą, nie wiedzieliśmy kto był w powozie, ledwie nas minął, gdy jadąca nieco w tyle za nami jazda, poczęła kilkakroć wołać: *wiwa!* Ciekawi, wróciliśmy i usłyszeli, że to był Jenerał Sokolnicki z placu boju od wielkiego wojska jadący, donosił on nam wiele przyjemnych wiadomości, a między innymi i to, że wkrótce wojsko nasze inny wezmie obrót. Cała kolumna przechodząca, zatrzymywała go po kilkakroć, każdy pułk wykrzykiwał wiwaty. Chwila ta była najżywszym obrazem prawdziwej radości: muzyka grać poczęła, wojsko śpiewało najochotniej. Przed każdym ubogim siedzącym wtenczas przy drodze, leżały stosy chleba, który im nasi żołnierze podawali, dziękując Bogu za pomyślne nowiny. W Andrychowie mieliśmy odpo-

żając jak prędko znikły nasze nadzieje, i pytając co to dalej nas spotka?

14 Maja, w Bobrku.

W Ogrodzanach zebrani, przybyliśmy do Bobrka pod Cieszynem, gospodarz przyjął nas na kwatérze najuprzejmiej, rządność, gościnność tego człowieka, tak mi się podobały, że chodziłem za nim i przysłuchiwałem się gospodarskim jego rozporządzeniom. Dészcz dzień cały kropił. Spoczawszy wspomniałem sobie na słowo Chateaubriand'a: „*Szczęśliwy kto nie widział dymu obcej biesiady, i kto tylko przy ucztach ojca swego siadywał*” Tak śpiewał murzyn gdy po odmówioném mu wspomózeniu, wychodził z obcej chaty, podnosząc łuk, który tam wchodząc oparł o ścianę. Ja memu gospodarzowi nie mogę tak śpiewać, lecz mówić mogę:

Szczęśliwy! kto na własnej osiadłszy zagrodzie,
Nie chodzi w świat o swojej i o cudzej szkodzie,
Ten kto może obcego posilić w swym domu,
Stu zobowiązał, sam nic nie winien nikomu.

15 Maja. w Dobrau.

Przybyliśmy do wsi Dobrau, pod miasteczko Frydek; przez piękne miasto Cieszyn tylkośmy przejechali, dészcz z wiatrem nielitościwie nas przesładował. Oddałem się całe pół dnia samotności i rozmyślaniu: jeśli rzadcy, są to bardzo przyjemni towarzysze.

czynek, spełniliśmy najochotniej toasty za zdrowie Cesarza.

11. Maja. w starym Bilsku.

Przeszliśmy przez Bilsko do wsi starego Bilska o kilka godzin różnica, a już zupełnie inny: lud, język i zwyczaje. Jutro mamy odpoczynek słychać głośno, że tu się zatrzymać i inny obrót wzięść mamy.

12. Maja. Tamże.

Boże wielki! Kto w Tobie swą ufność położył,
Milej zapewne skonał, niż nieufny ożył.

Tak napisałem sobie po nowinach, które nam z miasta przywieziono. Wszyscy nasi pojechali do Bilska. My oba z M. zabawiliśmy razem całe popołudnie.

13. Maja. w Podgórzu.

Zebrała się rano kolumna za wsią Löbnitz. Ledwie od Bilska uszliśmy sto kroków, gdy przybiegł od xięcia goniec, aby się kolumna zwróciła na swoje stanowisko. Jeden drugiego z tą uprzedzał nowiną: rozkaz ten tuszył nam pewny powrót, nie widać było nikogo bez oznak wielkiej radości. Wróciłem do starego Bilska, i gdy za parę godzin zasnęliśmy z M. dano znać o rozkazie do marszu, gdzie?... do Skoczewa! Dla czegośmy wracali i czemu znowu wychodzimy, nie śmiem pisać, przecież to będzie jawno kiedyś. Stanęliśmy we wsi Podgórzu, ćwierć mili ku Skoczewu, w kilku przepędziliśmy resztę dnia, rozwa-

16 Maja. Tamże.

Mieliśmy tu spoczynek. Zeszli się do nas wszyscy prawie koledzy i bawiliśmy razem. Dészcz przeszkodził mi zwiedzić piękne tej wsi okolice.

17. Maja. pod Frydkiem.

Przeszliśmy przez piękne miasteczko Fridek, podobała się nam bardzo piękna oberża, pod wizerunkiem Cesarza austriackiego. Pytaliśmy, jak na to pozwolono? Odpowiedziano że Cesarz Józef objeżdżając swe kraje, nocował w tej oberży, a za dobre przyjęcie od gospodarza, pytał go, czémby chciał, iżby mu to wywdzięczyć? Gospodarz żądał tylko, aby mu wolno było na tę pamiątkę mieć Austeryę pod znakiem Cesarza, na co Józef zezwolił.

Gdy dziś zajechałem do mojej gospodyni, tak się poczęła złościć i krzyżeć, że żołnierzom ledwo rzeczy z rąk nie wypadły, ja *obstupui steteruntque comae, et vox faucibus haesit*. Usiadłem w kącie z pokorną miną, słuchołem głosu nie pospolitego dźwięku i patrzyłem na twarz tak zaczerwienioną, jak najwyborniejsza toruńska cegła. W takim stanie przesiedziałem blisko godzinę, gwałtem zmuszając się do cierpliwości chrześcijańskiej. Ledwie później dowiedziałem się, że tę zemstę poniosłem za jakiegoś szczęśliwszego kollegę, który tu przedemną stojąc kwatérą, do dziewczyny okropnej tej pani, mocno się przysuwał. On to więc był przyczyną całego mego strachu. Chcąc wynagrodzić jakożkolwiek obcesowość mego towarzysza broni, gdy mi około wspomnionęj dzie-

wczynty trafem znaleźć się wypadło, ołchodziłem ją jak mogłem najdalej, ozierając się jedynie za lmością. Ta pokora moja tak się nareszcie pani podobała że odtąd od zbytnej grzeczności i oświadczeń, omal nie omdlewałem. Panowie mężowie! ręczę wam iż na złe żony lepszego nie znajdziecie sposobu nad cierpliwość i pokorę.

(Odtąd braknie: i dalej następują dwie jeszcze ćwiarteczki z dalszej duty).

9. Sierpnia. Witgendorf.

Pastora Szulmejstra i Oberforsztra spotkawszy w lasku na przechadzce, nachodziłem się z niemi kilka godzin. Pan Leśniczy wychwalał wielką zdatność Polaków do myślistwa i ja, ile możności, chciałem go w tej utrzymywać opinji i o dowcipie niedzwiedzi naszych, lubo ich mało skąd więcej znam, jak z **BAJEK KRASICKIEGO**, nagadałem mu dosyć, opowiadałem z przydatkami, jak Kazimierz Wielki na polowaniu zginął, i jak dawni Radziwiłłowie, niedzwiedzie i jelenie do powozów swych zaprzęgali. Zapraszał mię Pan Leśniczy na tę pożyteczną zabawkę, której musiałem odmówić, chociaż z obawą, aby ten Pan wysokiego swego mniemania o myślistwie naszym nie stracił. Wreszcie wszędzie, w każdym stanie, mniej więcej polujemy.

Król poluje za krajami,
 Minister za majątkami,
 Za urzędem Urzędnicy.
 Za pieniaczami prawnicy.

Fizozof z poetą razem,
 Za myślami i pegazem.
 Żołnierz poluje za sławą,
 Za pobożną duszą Xięża,
 Fircyk goni za zabawą,
 Dziewczę chce spolować męża.
 Kupcy strzegą na młodzika,
 Wierzycciele na dłużnika.
 Mędrak w xiędze, złodziej w skrzyni
 Poluje, gdzieby co złowić,
 Obmowca zasadzki czyni,
 Jak co zbadać, lub obmówić,
 Krytyk na cudzą robotę,
 Zazdrośnik na cudzą cnotę,
 Zgoła wszędzie, w każdym stanie,
 Odprawiamy polowanie.

(dalej braknie, na drugiej zaś kartce to następuje.)

„Niezawodne podobieństwo do wojny, straż przy parkach ściśle, obozowanie i patrole się zaczynają. Przez granicę buską już przejść nikomu nie wolno— miałem dzisiaj inspekcję w parku, deszcz z wiatrem uprzykrzał się nam bez litości. Bataljon piechoty zaślania park: porządkowaliśmy amunicję i. t. p. do gotowości. Zluzowany będąc wstąpiłem do kwatery P.— Domek wiejski, gustownej budowy i w bardzo przyjemnym położeniu. Przed deszczem schroniła się tam nie mała liczba Officerów. Gospodyni bardzo ujęzdzona, rozmawiała o niemieckiej, i francuzkiej Literaturze z niepospolitą rzeczy wiadomością. Byłem mocno ciekawy zobaczyć książki, w bardzo porządnej szafie; ale były same kucharskie. Zaproszeni zostaliśmy wszyscy na obiad, o którym, znając stan

Biblioteki, niepoślednie miałem nadzieje. Przy końcu stołu przyjechał mąż pani, gospodarz domu, z Zittau. Bardzo pomieszany siadł do stołu i mało bardzo mówił, przerwał potem milczenie smutnym tonem, że nie ma nic pocieszającego, wojna już jest wypowiedziana z Austrią: sam Jenerał Sułkowski oświadczył mu to i już jest w pogotowiu do marszu i w nocy pewnie wojsko wyruszy. Wiadomość ta odmieniła wszystkich humor: dobra gospodyni rozplakała się, gospodarz dodawał wina i sam się pocieszał z nami. Żal nam było rozejść się, ale ciekawi byliśmy rozkazów naszych. Po łzach, uściskach, błogostawieństwach i politowaniach

(Reszty nie ma: dalej następują trzy dopiski szwagra s. p. Brodzińskiego.)

1). „Przypominam sobie iż czytałem przed kilką laty, jeszcze jedną kartkę, dziś już zatraconą, w której opisywał lustrację czyli powitanie wojsk polskich przez Napoleona. Tam, młody Oficer Brodziński, okazał, że umiał czytać w głębi serc ludzkich, i że miał sąd trafny, przenikliwy, wyższy od powszechnie panującej wtedy opinji.

2). Wiernie co do litery powyższy dzienniczka urywek skopjowałem. — Holly.

3). Dziennik obozowy z dnia 7. Maja z Sienicy pisany przez Kazimierza Brodzińskiego może w części zastąpić biografię tego męża. Rzecz, towarzystwo, przypadki i uczucia, wszystko przez niego samego odmalowane, są najrzetelniejszym obrazem stanu duszy Autora. Wypada tylko dodać ogółową przed wejściem do wojska, o nim

wiadomość: Urodził się r. 1794. w Galicji, w Cyrkule sandeckim, w Starostwie lipnickim. Ojciec jego kupił w tém Starostwie na dożywocie od Starosty, (zda mi się Ossolińskiego) włość *Królówkę*... Oddany był wraz z bratem starszym Jędrzejem do najbliższych i najlepszych wówczas Szkół gimnazjalnych w Tarnowie, z pięciu klass złożonych. Przy ukończeniu tychże około r. 1809, wszedł do wojska, wiedząc zwłaszcza, jak sam powiadał, że mając pogrzebioną matkę, nie zrobi zmartwienia w domu, bo ojciec z siłą mężką pobłogostawi go zdala. Odbył kampanję 1812 roku i nieprzerwanie był we wszystkich wypadkach wojennych przy Artylerji aż do bitwy pod Lipskiem, w której dostał się w niewolę. Z téj wypuszczony, bez funduszu, nie mogąc i nie mając po co wrócić do domu, bo ojciec odumarł; błąkał się tymczasowo u przyjaciół. Wkrótce otworzył mu się spadek po krewnych w Poznańskim, który, dla potrzeby połowę ustąpiwszy, podniósł. Wczasie ogólnego pokoju przybył do Warszawy, a czując stérane siły wojnami, przedsięwziął być użytecznym krajowi w innym zawodzie. Dalsze koleje jego życia są znajome społecznym, a znajdują się w Aktach Komissji Rządowej i w Aktach Emerytalnych. — Szczegóły zaś jego domowego życia, rozmaite doznane w nich przemiany, przyczynę trawiącego smutku i w końcu śmierci, mógłby tylko wykryć sam Brodziński, bo ile głęboko czuł i myślał, tyle wszystko w głębi duszy swojej ukrywał” — HOLLY.

7.

Mimo powszechnej w Literaturze naszej, obu świetniejszych Epok, ku naśladownictwu dążności;

nie możemy atoli ogólnie, bez żadnego już wyjątku powiedzieć, iż nie było u nas wcale poetów, którzyby własnego nigdy nie słuchali natchnienia, mniej bacząc na obce wzory, ale tacy poeci, byli jakby Oazami, wśród niezmierzonej okiem pustyni. Z dawnych w części do tego rzędu zaliczyć można: Reja, Jana Kochanowskiego, Zbylitowskiego, Zimorowicza. Z czasów Stanisława Augusta, był takim Książnin, a mianowicie nieoceniony nasz Karpiński. Sprawiedliwie o nim powiedziano, że nie trzymając się żadnego innego wzoru, prócz własnego natchnienia, śpiewał swobodnie jak ptaszyna wśród gaju, śpiewał co mu serce i czucie do myśli podawały. On jeden tylko był po dawnemu religijnym, i dla tego lud go pokochał, brał przedmioty z cichego wieśniaczego życia, a choć w pięknych sielankach swoich nadawał pastierzom imiona nam obce Filonów, Tyrsysów, Korydonów, jednak w uczuciach ich i mowie maluje wszędzie najtrafniej wiejskie nasze, proste, zaściankowe życie.—Spółczesni uczeni czuli poniekąd wartość Karpińskiego, kiedy go *poetą serca* nazwali. Ich to pochwałami znęcony, tłumaczył niektórych wierszopisów francuzkich, lecz coż się stało?... Oto: ktoż teraz czyta przekład jego *Ogrodów Delilla*, lub oryginalne krojem francuzkim ułożone tragedje? a piosnki i sielanki nie tylko dotąd podobają się ukształceniższemu smakowi, lecz je nawet lud prosty po dawnemu dotychczas powtarza i śpiewa, tak właśnie. jak zapomniano całkiem o *Balonach*, *Rozmarynuch* i innych poematach Książnina, a jego piosnki: *Spij moje złoto! Próżno mnie matko stawisz krosienka, Ozdobo twarzy!* i t. p. wszelkiego stanu ludowi dotychczas są znajome i miłe. Nie tu

jest miejsce rozszerzać się w téj rzeczy, ale jakie było spółczucie ludu naszego do poezji rodziméj, pokazywało się stąd widocznie, że natychmiast utwory poetów, takie, które nie były naśladownicze, lecz wprost pochodzące z natchnienia i malujące obrazy swojskie, z ust do ust przechodząc, w pamięci ludu, utrwały się wiecznie. Na każdą sztukę teatralną, której przedmiot wzięty był z miejscowości, jakeimi mianowicie, były niektóre sztuki znamienitych pisarzy: W. Bogusławskiego, J. N. Kamińskiego i t. p. różnego stanu ludzie zbiegali się tłumnie i ochoczo. Byli także jeszcze poeci, którychby wojskowymi nazwać można. (Reklewski, Gorecki) byli nakoniec poeci wyłącznie krajowi, na czele tych ostatnich, pod względem wzniosłego talentu, stoi niewygasłej nigdy pamięci Arcybiskup Woronicz.

8.

Prócz wprowadzenia na rodzimy tor poezji, jak jeszcze Brodziński gorliwie się starał o to wszystko, cokolwiek jej postęp i zamożność przysporzyć mogło; dowodzą między innemi poezje jego wierszem miarowym, do muzyki zastosowane, i przekłady niektórych wyjątków z Poetów greckich.

Poezje jego miarowe wyszły były w Warszawie 1817 r. in 4. stron nie liczbowanych w 6-góle 32.— Ułożył je na prośbę znanego warszawskiego Kompozytora i muzyka, Józefa Elsnera, autora: *Zasad o metryczności języka polskiego*. W przemowie Brodziński tak tę pożyteczną pracę swoją objaśnia: „Wezwany zostałem od JP. Elsnera, abym zasady jego o metryczności polskiego

wiersza praktycznie mógł objaśnić, wiersz ósmiosylabny, na którym pierwsza część się ogranicza, najpowszechniej w pieśniach do muzyki używany bywa; dla tego sądząc, iż temu rodzajowi wiersza więcej przystoją tkliwe i raczej do uczucia mówiące wyrazy, tenże ton starałem się w nim zachować. W części drugiej, gdzie rzecz już będzie o rozmaitych wierszach, użyte być mogą inne przedmioty, których wyrażenie przez rozmaitość wiersza będzie wolniejszym, a zatem więcej do liryczności zbliżonym.

„Sposob ten upięknienia wiersza, ani w akcencie języka żadnej zmiany nie czyni, ani dla niego jakimkolwiek uszczerbkiem być może, owszem zostawując mu dotychczasowy skład jego, dodaje mu jeszcze tę prawdziwie poetyczną ozdobę, która sama z siebie starożytnych zachwycała, którą wszystkie żyjące języki (wyjawszy francuzki) posiadają, która jedynie poezją do muzyki zbliża, a której budowa języka naszego do starożytnych zbliżona, koniecznie wymagać się zdaje.

„Na zarzut, iż sposob ten, więcej może piszącego utrudniać niż poczę ozdobić, mógłbym odpowiedzieć własnem doświadczeniem, że metryczność nie tylko nie pomnaża trudności, ale owszem dla ucha raz wezwyczajonego, staje się naturalną i niezbędną koniecznością; i jeżeli rymy, które przy metryczności już mniejszą są ozdobą, czasem szczęśliwe nasuwają myśli, częściej je atoli tamują. Przyjemna niewola metryczności, prawie jak muzyka, obudza, utrzymuje i wznosi uczucie. Jeżeli żyjące języki; którym artykuły i gramatyczny słów porządek wiele dodawać musi trudności, tyle wypracowały i uszanowały metryczność, jakże ją od-

tym Cephalasie, żyjącym w wieku X. ułożył we cztery wieki później Maxym Planudes, mnich carogrodzki. Prócz Brodzińskiego tłumaczył z niej także znany powszechnie ze swojego talentu Ignacy Szydłowski i tłumaczenia swe umieszczał w *Dzienniku wileńskim*, a Michał Jurkowski, niegdyś Professor w Lyceum krzemienieckim, wydał był (1815) w oryginale wyjątki z téjże Antologii, dla młodzieży uczącój się języka greckiego.

9.

Kiedy Brodziński ogłosił był drukiem rozprawę swoją; służył jeszcze wtedy w Kommissji Spraw Wewnętrznych i pobierał miesięcznej płacy piętnaście talarków pruskich. Ubogi, cichy, wchodzi raz wezwany, do świetnych salonów Zwierzchnika swego, który wówczas i pierwszy w kraju piastował urząd, i trzymał berło Literatury w Warszawie, a wydawane przezeń dzieła, nieprzerwaną koleją przez wszystkich tamiecznych Literatów pod Nieba wynaszane były. Na stoliku leżał świeżo wyszły exemplarz *Pamiętnika*. Zwierzchnik skończywszy mówić o rzeczy, dla której był wezwał Brodzińskiego, obrócił się ku stolikowi.— *Coż tam Wacpanowie piszecie!*— zapytał, i przewracając niedbale karty Pamiętnika, ukazał niby nieznacznie, że w miejscu, gdzie była jego rozprawa, kart nie przerznięto. Prawdziwie Chrześcijańskiej łagodności Brodziński, twarzą nawet nie okazał najmniejszego wzruszenia. Milcząc, skromnie się ukłonił i odszedł. Dziś, o tyle niegdyś sławionych dziełach jego Zwierzchnika zupełnie prawie zapomniano, a przynajmniej nikt ich nie czyta;

rzucac możemy, my, którym wolność języka w przekładzie słów, tak ją łatwą, tak rozmaity czyni?

„Zarzut drugi, iż sposób ten grozi jednotonnością, jeszcze jest mylniejszym. gdyż metryczność przeciwnie stosowną rzeczy i porządną różnorością wiersze zdobiąc, czyni ją kształtniejszą i daleko więcej wydatną.”

W pierwszej Części umieszczone są poezje następujące:

1) PASTERKA (*wiersz trochaiczno-adoniczny*; 2) MIKON i FILON (*daktyliczno trochaiczny*). 3) MATKA i DZIECIĘ (*daktyliczno-adoniczny*). 4) GOŁĄBKI (pierwszy i trzeci *trochaiczny*, drugi, *daktyliczny*, czwarty *adoniczny*). 5) TĘSKNA. (cztery wiersze, *daktyliczne*, dwa ostatnie: *trochaiczne*). 6) BRAT i SIOSTRA (brat mówi wierszem *trochaicznym*, siostra *daktylicznym*). 7) WIOSNA (*trochaiczny*). 8) PRZODKOWIE (pierwszy i czwarty *adoniczny*, drugi i trzeci *daktyliczny*, piąty i szósty *trochaiczny*.) 9) MUZA WIEJSKA (w każdej zwrotce z szesnastu wierszy złożonej, zamykają się wszystkie cztery rodzaje ósmio zgłoskowego wiersza w następnym porządku: pierwsze cztery wiersze *trochaiczne*, drugie: *adoniczne*, trzecie: *saficzne*, czwarte: *daktyliczne*, i tenże sam porządek wraca do końca. 10) PRACA (*wiersz trochaiczno adoniczny*).

Na tém się kończy Część pierwsza, której pieśni razem z ich miarą, szczegółowie wymieniliśmy dla tego, iż wspomniane wydanie, bardzo już teraz jest rzadkie. Część druga nie wyszła z druku, albo nam przynajmniej wcale dotąd nie jest znajomą.

Co do niektórych przekładów z poetów greckich, są to wyjątki z Antologji, którą po Konstan-

rozprawa zaś Brodzińskiego jak gwiazda stała świeci na widnokręgu Literatury krajowej; bo nową w niej epokę stanowi.

10.

Właśnie w owym czasie i nieco później, celniejsi muzycy warszawscy a mianowicie pełni zasług: Karol Kurpiński i Józef Elsner, dorabiali muzykę do niektórych poezji Brodzińskiego. Pierwszy, między innemi, ułożył muzykę do śpiewów jego przy Ofiarze Mszy ś. i do tej dziwnie naiwnej piosnki:

Gdy słowik zanóci,
A strzałę łuk rzuci,
Znika nagle śpiew.
Ptaszyna upada,
Skrzydółkiem nie włada,
Niemy stoi krzew. i t. d.

Piosnka ta, wraz z muzyką Kurpińskiego, umieszczona była nasamprzód w *Pamiętniku warszawskim*.

11.

Podczas tego pobytu w Krakowie, gdy go wszyscy z największym witali przejęciem i uwielbieniem; sławny tameczny artysta Wojciech Korneli Statler, odmalował był jego portret, który, według świadectwa Ambrożego Grabowskiego, miał być bardzo podobny nie tylko co do rysów, ale i co do charakterystyki twarzy.

12.

Oto jest Elegja napisana przez J. N. J, którą umieszczamy w całości, jako hołd jedyny poezji polskiej, oddany cieniem K Brodzińskiego, chociaż, zdaniem przynajmniej naszym, wszystkie lutnie najcelniejszych poetów krajowych, powinny były jęklwym ozwać się głosem, na uczczenie pamięci z tyłu względów zasłużonego Literaturze męża,

I my gonim za szczęściem, śród łez i powodzi,
Jako ptaki wędrownie przez stepy i morze;
Szczęśliwy! Kto swym śpiewem ukołysać może
Swoje bole i drugich cierpienia osłodzi.

Kto w tój burzy i zawiei,
Znajdzie na swój lutni tony,
I boleści i nadziei:

Niech będzie błogostawiony!

O! nie myślcie, że łatwo przychodzi poecie,
Wyśpiewać pieśń pociechy, przywołać nadzieje,
Często się oko jego gorzką łzą zaleje,
Nim wypłacze swój ciężar, co mu piersi gniecie.

Często, by swój żal ukoić,
Musi lutnię w kąt porzucić,
Albo stróny jój rozstroić,
I żałobną pieśń zanócić.

Brodziński! skąd ty wzięteś uczuć na tve pienia?
Czyś na świat przyniosł z sobą łagodność Anioła?
Czyś jój szukał po kwiatach, jak pracowna pszczoła?
Ześ nią tak upromienił tve Boskie natchnienia!

Ze każdy twój ton radośny,
Razem tęskny, rzewny, tkliwy;

Jak słowika śpiew miłośny,
 Jak nasz lud prosty, poczciwy
 Witam cię, o Wiesławie! z nadobną Haliną!
 W skocznym krakowskim tanie przodkujesz mło-
 dzieży:
 Ktoż cię w zręcznych obrotach, kto w śpiewie
 ubieży?

Witam cię pracowita, rodzinna drużyno!

Ojce miodem podchmielone,

Rosłe syny, córy hoże,

W wieńce ruty umajone,

Świeże jak wiosenne róże.

Witam was z ciężkiem sercem! wasz śpiewak nie
 żyje!

Ktoż słodzić będzie wasze prace i niedole?

Mnóstwo się wieszczów czepia na fortuny kole;

Prostocie nóci śpiewak, w którym serce bije.

Wśród wesela. czy wśród trudu,

Czyjeż miłsze pieśni, czyje?

Płacz prostoto! o! płacz ludu!

Twój poeta już nie żyje!

Umarł, . . . nie na tej ziemi, której lud opiewał,

Której dał myśl ostatnią, w ostatniej godzinie:

Ale smutny, stęskniony, w dalekiej krainie,

Z sercem brzemieniem pieśnią, której nie wy-
 śpiewał,

Jego grób się nie odświeży,

Wonnym kwiatem, łąką perłową;

Chyba wędrowiec pobieży

Rzucić nań różczkę laurową.

Lecz twe imię Poeto! nie zgaśnie na świecie,

Ni pieśń twa w ustach ludu: spocznij bez obawy,

Zyskałeś już zbawienie, nie braknie ci sławy.

A teraz wam pociecha, którzy go płaczecie.

Kiedy wieszcz nasz dogorywał,
 Przyszedł Cnastyś w szacie białej,
 I z uśmiechem ręką wzywał,
 Cnotliwego do Swój chwały.

Elegja ta dopiero we dwa lata po zejściu Brodzińskiego umieszczoną została w *Przyjacielu Ludu*. (Rok IV, 1837. Tom I, N. 20 str. 160).

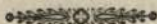
KONIEC TOMU X^{GO} I OSTATNIEGO.

Ogół rzeczy w tym Tomie zawartych.

	Stronica.
Rzecz o wymowie u dawnych Polaków - - -	1
Rozprawa o łagodzeniu języka polskiego - - -	14
Zdanie Sprawy Depntacyi przy złożeniu Towarzystwu Król. Warszawskiemu Przyjaciół Nauk rozpraw i wniosków, tyczących się ustalenia pisowni polskiej	129
1. Znamionowanie samogłosek - - -	134
2. Używanie w pisowni liter <i>i, y, j.</i> - - -	141
3. Końcowa samogłoska <i>e</i> , w rzeczownikach ro- dzaju nijakiego - - -	143
4. Wątpliwość co do zakończeń cechowych <i>emi</i> , <i>imi</i> w 6tym przypadku przymiotników męz- kich, oraz <i>emy, imy</i> w 1szej osobie czasow- ników liczby mnogiej - - -	143
5. Znamionowanie spółgłosek - - -	144
6. Jak się pisać powinna głoska <i>g</i> przed <i>i</i> , tu- dzież <i>s</i> w wyrazach cudzoziemskich - - -	147
7. Końcowe spółgłoski trybu bezokolicznego - - -	148
8. Zakończenia trybu rozkazującego - - -	149
9. O używaniu liter <i>s, z</i> , i wogólności o zmia- nie brzmienia spółgłoski przy zbiegu spół- głoski mocnej ze słabą - - -	150
10. Użycie litery <i>ks</i> lub <i>x</i> - - -	152
11. Szczególne postrzeżenia i sprostowania do- tyczące się niektórych głosek - - -	153
12. O łączeniu i rozłączeniu wyrazów - - -	154
13. Pisownia imion własnych cndzoziemskich - - -	155
14. Większe początkowe litery - - -	156

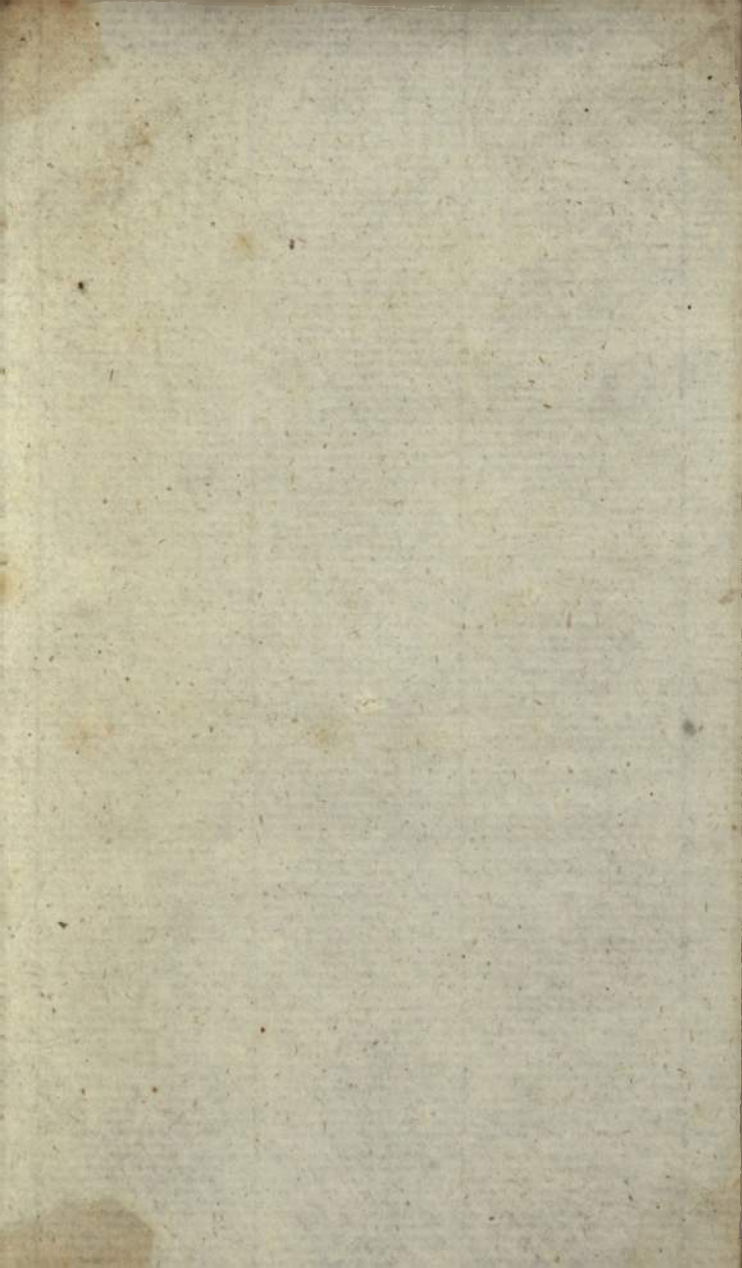
Rozmaitości.

Przemówienie do Zeltnera, Obywatela Szwajcaryi	- 150
Wpływ rodziców na synów	- 164
Wpływ dobrych zasad	- 165
Cechy służące do poznania ludzi	- 166
Upór sumienia i choroba	- 167
Przysłowia arabskie	- 171
Sonet Iszy	- —
— 2gi	- 172
Myśli rozmaite	- 174
Najlepszy sposób uczenia się obcych języków	- 177
Roľnictwo w krajach południowych i północnych, oraz pożyteczne dla rolników uwagi	- 180
O wzroście miast	- 183
Okrucieństwo Chińczyków względem kobiet	- 193
Rozmaitości obrzędów pogrzelbnych	- 194
Rozprawa o muzyce	- 201
O kasgach oszczędności	- 217
Wzmianka o życiu i pismach Kazimierza Brodzińskiego	219
Przypły	- 215





10₁-



Biblioteka Uniwersytetu
MARII CURIE-SKŁODOWSKIEJ
w Lublinie

A/1656

9-10

BIBLIOTEKA U. M. C. S.

Do użytku tylko w obrębie
Biblioteki



1000172174



1000172175